

***Wspomnienia ulotne z życia dziadków, rodziców i samego
autora***

Ryszarda Janoty Bzowskiego

24 grudnia 2005r

Wydanie uzupełnione i w niektórych miejscach poprawione

23 października 2021r

26.12.2003

Po dwóch latach siadam po raz pierwszy do tego urządzenia zwanego komputerem. Mam dużo emocji, bo nigdy nie posługiwałem się dobrze tym dziwnym urządzeniem. Mam jednak silną wolę (jak długo), aby te trudności przełamywać. Komputer to jednak diabelska maszyna, a ma tyle możliwości, że taki człowiek jak ja głupieje.

Marek męczy, abym spisał wszystkie informacje o rodzinie, które pozostały mi w pamięci. Chce abym oparł się na znanych mi opowiadaniach mojego Ojca i Babki jak również o moje własne przeżycia. Spróbuję to zrobić, choć świetnie wiem, że nikomu i niczemu to nie będzie służyć. Patrząc na moje życie wstecz, jest jednak niewielka szansa, że za jakiś 25 lat od momentu napisania tego tekstu któreś z moich dzieci zainteresuje się tym, co to napisałem. Wątpię jednak, aby nastąpiło to wcześniej, bo ciągły pęd nadążania za mijającym czasem uniemożliwia spokojną refleksję.

Ojciec mój Jan urodził się jako drugi syn Józefa Janoty Bzowskiego i Wandy Koziół-Poklewskiej. Miał sześcioro rodzeństwa Tadeusza, Antoniego, Jerzego, Marię i Teresę szóste dziecko (najstarszy chłopiec zmarł jako niemowlę na krup-dyfteryt) Nie pamiętam, aby Tato opowiadał coś o swoich rodzicach – był z nimi chyba bardzo słabo związany a jak będzie wynikać z dalszego tekstu trudno temu dziwić.

Ojciec mój urodził się w 1903r a już w 1916 jego matka a moja Babka po 15 latach małżeństwa wyprowadziła się od męża w Bobrownikach zostawiając go i całą szóstkę dzieci. Najmłodsza siostra ojca ciotka Teresa miała wtedy dwa lata a ojciec 13. Z lakonicznych stwierdzeń mojego ojca wynikało, że Babka moja zakochała się w nauczycielu chłopców (on miał lat osiemnaście ona trzydzieści osiem) i z nim odeszła. Po dwóch latach od tego momentu Dziad mój uzyskał rozwód i do końca życia pozostał samotny a Babka wyszła za mąż za swojego wybrańca i miała z nim jeszcze syna. Małżeństwo układało się podobno dobrze. Babka zmarła gdzieś na początku lata sześćdziesiątych. Dość luźne stosunki z Babką utrzymywały obie moje ciotki głównie Maria i zdecydowanie Teresa. Ojciec tych stosunków nie utrzymywał wcale, nie pamiętam nawet czy był na pogrzebie swojej Matki.

Ja Babkę widziałem raz albo dwa razy w Milanówku u Ciotki Marii przy okazji naszych tam wizyt z Ojcem. Babka o ile pamiętam mieszkała w Radomiu. Do Ciotki Marii, Babka przyjeżdżała na krótkie pobyty. Ojciec tematu swojej Matki praktycznie z nami nie poruszał. Nie przypominam sobie, aby Tato będąc u Ciotki okazywał jakieś serdeczności swojej matce, w moim odczuciu 12-13 chłopca było to powitanie poprawne, ale zupełnie chłodne. Trudno się zresztą dziwić, w momencie rozstania się moich dziadków Ojciec był już myślącym chłopcem i na pewno to rozstanie bardzo przeżył.

Nie przypominam sobie, aby Ojciec opowiadał coś o swoich szkołach czy o okresie pobytu w Bobrownikach majątku będącego własnością Dziadka, w papierach rodzinnych znalazłem informację, że ojciec chodził do jakiś szkół w Kielcach a potem do szkoły in Jana Zamoyskiego w Warszawie. Pewną ciekawostką może być fakt, że jednym z niewielu opowiadań ojca z czasów dzieciństwa pozostała informacja o jakimś ojca kuzynie byłym oficerze kawalerii austriackiej, który będąc z wizytą czy wizytami w Bobrownikach

prowadził ćwiczenia jazdy konnej z ojcem i jego braćmi. W takich przypadkach oficer ten trzymał w ręku długi bat. Każdy z ćwiczących na koniach chłopców w razie błędu otrzymywał lekkie uderzenie batem w udo. Początkowo nie było to bolesne, ale było wymierzane z taką nieomylną precyzją, że po godzinne ćwiczeń – 13 każdy z ćwiczących zsiadał z konia z idealnie na udzie zlokalizowanym siniakiem. Podziw ojca budziła właśnie ta precyzja uderzenia. Faktem jest, że te treningi przydał się bardzo mojemu ojcu w latach następnych. Z mglistych wspomnień z rozmów z ojcem lub moimi stryjami wyłania się obraz młodych bisurmanów rozrabiających nad Pilicą, Dziad chyba nie bardzo panował nad chłopakami. Do wspomnień rodzinnych przeszło to jak stryj Tadeusz założył się, że połknie jajko na twardo i o mało nie udusił się. Były też jakieś wspomnienia o przygodach w Pilicy, ale nic konkretnego nie pamiętam. Wydaje mi się, że Dziadek gospodarował słabo i w Bobrownikach wyraźnie nie przelewało się.

W odróżnieniu od mojego ojca wspomnienia Bobrownickie bardzo mocno tkwiły w stryjach Antonim i Tadeuszu, ojciec ten okres pomijał i chyba go unikał.

Przeżycie, do którego ojciec dość często powracał to wojna dwudziestego roku. Zaciągnął się na nią jako ochotnik nie mając skończonych 17 lat. Było tam jakieś kłamstwo przed komisją poborową. Ale dla Ojca skuteczne. Ojciec został włączony do I pułku szwoleżerów, znałem nr kompanii, ale mi to wyparowało, chyba druga. Niestety szlaku bojowego, który mi ojciec szczegółowo opowiadał nie jestem w stanie odtworzyć.

Z faktów, które pamiętam – Dziad chcąc ojcu dać dobrego wierzchowca dał mu ogiera, który okazał się najwyższym koniem w kompanii, co powodowało, że ojciec jeździł w pierwszej czwórce kompani, powodowało to mnóstwo kłopotów, bo koń był słabo ujeżdżony a jeździec zbyt słaby fizycznie a na dodatek szczeniak popełniał mnóstwo błędów wynikających z całkowitego braku wyszkolenia wojskowego. Ojciec był wtedy chłopcem niezbyt wyrosniętym a siodło szwoleżerskie z pełnym oporządzeniem ważyło ponad 30kg. Ojciec nie miał siły zarzucić takiego siodła na grzbiet wysokiego konia.

Z kłopotów wywabiał Ojca kolega szwoleżer (który wiekowo mógł być jego ojcem). Szwoleżer ten w momencie komendy siodłaj wrzucał najpierw siodło na konia mojego ojca a dopiero potem na swojego. Ojciec wymieniał wielokrotnie nazwisko tego szwoleżera, ale oczywiście wyleciało mi z głowy. Pytany o zawód szwoleżer ten podawał całkiem poważnie i bez cienia drwiny – złodziej na dworcu towarowym w Warszawie – podawał to zawsze, ojciec wierzył, że nie był to żart.

Wydaje się, że działania I pułku szwoleżerów w czasie, kiedy Ojciec tam już był dotyczyły okresu przełamania frontu na Krznie, więc od początku Ojciec szedł już w pogoni, bo w jego wspomnieniach nie było kresu cofania się ani poczucia nawet przejściowej paniki.

Dowódca kompani (może pułku) Orlicz Dreszer zorientował się, że mikrus nie radzi sobie z koniem i siodłem, więc polecił Ojcu przekazać konia innemu żołnierzowi a ojciec dostał zdobycznego kałmuka. (Ogier Taty okulał lub coś w tym rodzaju, bo to przyspieszyło decyzję zmiany konia) Nowym nabytkiem ojca, był koń zdobyty od Rosjan, całkowicie bez rasowy pochodzący gdzieś z głębi Rosji szalenie twardy a na dodatek na szczęście dla mojego ojca świetnie wyszkolony. Wielkim atutem tego konia był to, że był niewysoki. Co zresztą spowodowało, że z pierwszej czwórki w kompanii Ojciec wyładował w ostatniej.

Ojciec nigdy nie mógł wyjść z podziwu nad zaletami tego konia. W wielu rozmowach podkreślał, że koń ten wyprowadził go z paru poważnych kłopotów. Z tego, co pamiętam na którymś z patroli szwoleżerowie nadziali się na karabin maszynowy Rosjan, zanim się Ojciec zorientował, koń już zrobił zwrot o 180 stopni i pełnym galopem wywinął w zarośla gdzie natychmiast się zatrzymał umożliwiając ojcu obserwację. Już nie pamiętam ilu z tego patrolu szwoleżerów nie wróciło, ale straty były poważne.

Na tym kałmuku przeszedł ojciec całą kampanię do ostatniego dnia służby,

Późną jesienią 1920r pułk miał za zadanie przebyć jakiś gigantyczny zagon (chyba na Korosten). Według słów Ojca był to bardzo intensywne marsze trwające dłuższy czas ponad 100 km dziennie, praktycznie bez postojów w układzie 10 km na siodle ileś km prowadzenia konia w rękę łącznie z karmieniem i pojeniem koni z ręki. Kompanie doszły zgodnie z rozkazem na czas i natychmiast zostały poderwane do szarży na cofających się Rosjan. Podobno tylko dowódcy pułku i paru szwoleżerom udało się zmusić konie do galopu, pułk wszedł do szarży w klusie. Rosjanie byli w tym momencie w rozsypce, więc brak impetu w szarży nie zakończył się tragicznie dla szarżujących klusem oddziałów a liczba wziętych w tej szarży jeńców była bardzo duża.

Ojciec brał udział w kilku szarżach niestety nie znam ich miejsc. W szarżach tych za podpowiedzią dowódcy ojciec zachowywał się nietypowo, nie mając siły dźwigać ciężkiej kawaleryjskiej szabli a tym bardziej władać nią w galopie po komendzie do szarży, opuszczał szablę wtykał ją pod kolano, wodze zarzucał na przedni łęk i szarżował z dwoma pistoletami w rękach. (w tym momencie zwracam uwagę jak ten mikrus musiał dobrze jeździć konno – w pełnym galopie utrzymać i nie zgubić z pod kolana szabli na nierównym i nieznanym terenie to wielka sztuka).

W jednej z tych szarż metoda trzymania pistoletów w rękach uratowała ojcu życie, bo najechał na niego Rosjanin już z uniesioną szablą, ojcu udało się strzelić koniowi między oczy, koń się zwałił a Rosjanin nie zdążył już spuścić szabli.

Wojna polsko-rosyjska była bardzo okrutna, o czym bardzo mało się wie. Pewnego dnia kompania, w której służył ojciec odnalazł swoich kolegów z patrolu, który cały dostał się do niewoli rosyjskiej. Żołnierze ci zostali żywcem zakopani po same głowy tak, że podusili się z braku powietrza a wieś chodziła tam na ich ciała, aby załatwiać swoje potrzeby fizjologiczne.

Dowódca zdecydował likwidację wsi w zemście za ten uczynek, wieś została otoczona popalona i absolutnie wszyscy mieszkańcy tej wsi w trakcie prób ucieczki zostali zastrzeleni z karabinów maszynowych lub wybuchów granatów. Eksterminację tej wsi Ojciec bardzo przeżył, brał w tym udział a z tego przeżycia nie mógł się wyzwolić parę lat, szczegóły nawet przez pryzmat opowiadania Ojca były drastyczne.

W czasie tej wojny żołnierze nie obchodzi się delikatnie z kobietami. Ojciec przyznawał się, że parę lat po wojnie jeszcze nie chciał zbliżyć się do kobiet.

W 1921 wojna dobiegała końca a służba na dalekich kresach dla chłopca bez matury z nieskończoną szkołą była całkiem bez sensu, stąd też podobno z własnej inicjatywy Ojciec napisał raport o przeniesieniu do korpusu kadetów w Modlinie. Było to najprostszą drogą wycofania się z oddziałów liniowych a dodatkowo korpus kadetów był instytucją państwową, więc za szkołę i internat nie płaciło się, co w sytuacji finansowej

Dziadka nie było sprawą obojętną. Rozkaz przeniesienia przyszedł do Warszawy po paru tygodniach i zastał Ojca gdzieś daleko na Podolu.

28.12.2003

Koledzy szwoleżerowie urządzili ojcu huczne pożegnanie, jak się okazało nie zupełnie bezinteresownie, w efekcie tego pożegnania Ojciec obudzi się o 24 godziny jazdy od miejsca postoju kompanii wieziony na chłopskiej furmance do najbliższej stacji kolejowej. Skonstatował wtedy z przerażeniem, że koledzy „pozostawili” w kompani jego oficerki (a były bardzo porządne, kupowane przez Dziadka przed wymarszem ojca na front) i dokument, który Ojciec powinien mieć przy sobie o pozostawieniu konia jednostce (szansa na zwrot pieniędzy). Jak się później okazało –problemem w dalszych działaniach był brak oficerek. Po zameldowaniu się w komendzie garnizonu warszawskiego szwoleżer bez wysokich butów a w jakiś kamaszach spowodował, że komendant garnizonu odesłał go „może nie w trybie karny, ale pilnym” na odwach i ze stwierdzeniem, że szwoleżer bez wysokich butów to jak tu długi kawaleryjskie przekleństwo i poleceniem zameldowania się jak już buty będą. Z kłopotu wybawił mojego Ojca dopiero Dziadek kupując mu nowe oficerki. Szczęśliwie dziadek w tym czasie mieszkał już w Warszawie.

Powtórny meldunek przeszedł już bez problemu i Ojciec została wpisany do korpusu kadetów w Modlinie do pierwszego rocznika, ale na zwrot pieniędzy za konia nie było już żadnych szans.

Był to początek roku 1921. Stosunkowo niedługo po wejściu Ojca do Korpusu kadetów rozpoczęło się trzecie powstanie śląskie. Praktycznie cały korpus chciał natychmiast udać się na front, na to nie mogło pozwolić dowództwo, bo oficjalnie Polska nie pomagała powstańcom a Komisja Międzynarodowa Francuzi i Anglicy bardzo tej neutralności starali się pilnować.

W samym Modlinie była nawet siedziba jakiejś misji. W tej sytuacji Forty w Modlinie zostały otoczone wojskiem polskim a Kadetom zapowiedziano, że jeżeli któryś z nich złamie rozkaz i pójdzie do powstania to zostanie wylany z korpusu.

Tak się jakoś dziwnie złożyło, że prawie 100% kadetów z trzeciego roku rozmyślało się w nicości a na dodatek z długą bronią. Rozkaz pozostania w Korpusie wykonał pierwszy i drugi rok (generalnie najmłodsi żołnierze) oraz maturzyści (wojsko potrzebowało bardzo podoficerów i oficerów do służby zawodowej). Te trzy roczniki były bardzo twardo trzymane w karchach przez dowództwo. Znikanie kolejnych trzecioroczników było dość sprytnie maskowane przed misją międzynarodową dość, że z tego powodu nie było żadnych oficjalnych wystąpień, choć dowódca korpusu miał jakieś kłopoty. W pomocy przy znikaniu brały udział wszystkie pozostające w Modlinie roczniki. Sprawa była o tyle trudna, że fort był dość dokładnie pilnowany.

Kilku z tych ochotników zginęło w powstaniu, ale pozostali wrócili do Korpusu i go szczęśliwie pokonczyli. Oczywiście żadnych konsekwencji za „niesubordynację nie ponieśli” Ojciec był pełen podziwu za rozsądek Dowódcy Korpusu blokującego najmłodszych i tych z ostatniego rocznika bardzo potrzebnych tworzącemu się wojsku. Ucieczka trzeciego roku kadetów była oczywiście organizowana za cichą zgodą Dowódcy Korpusu a młodzi ludzie poszli do tego powstania nie z rozkazu a na ochotnika.

2003.12.29

Wspomnienia z Korpusu Kadetów albo mi zupełnie umknęły z pamięci albo Ojciec niewiele o nich mówił, bo znów pojawia mi się biała plama dla tego okresu.

Faktem jest, że pobyt w Korpusie kadetów był finansowany przez państwo i miał za zadanie szkolenie kadry zawodowej dla wojska.

Ociec nie chciał zostać zawodowym żołnierzem stąd po ukończonym korpusie zgłosił się do szkoły oficerów kawalerii do Grudziądza z równoczesnym raportem o zgodę na przejście na studia bezpośrednio po przejściu szkolenia.

Szkolenie to trwało trzy miesiące o po uzyskaniu stopnia podporucznika Ojciec zapisał się na wydział Rolny Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego.

Z opowiadań „grudziądzkich” pozostało mi wspomnienie, jakie były największe okaleczenia koni w czasie ćwiczeń i manewrów. Chodziło o to, że wiele koni po ćwiczeniach trzeba było wycofywać z wojska, bo szkolący się przyszli oficerowie w czasie ścinania manekinów zbyt blisko cięli szablą koło głowy konia i obcinali koniom uszy. Taki koń bez ucha musiał być wycofywany z wojska.

Podziw ojca budziła też kwiecistość przekleństw sosowana prze podoficerów, niestety przekleństw tych nie potrafię sobie przypomnieć.

Nie potrafię określić czy w okresie studiów to jest w latach 1925 -1929 ojciec utrzymywał się sam czy też utrzymywał go Dziadek. Dziadek w tym czasie mieszkał już w Warszawie przy ulicy Oboźnej 11 (naprzeciw teatru Polskiego) i ojciec mój mieszkał tam razem z siostrami i chyba z Tadeuszem, bo Antek i Jerzy odbywali korpus kadetów w Chełmie a po jej ukończeniu Jerzy poszedł do szkoły lotniczej. W każdym razie w tym czasie sytuacja finansowa Ojca chyba była niezła, bo renomowane praktyki rolnicze w tamtych czasach były kosztowne a Ojciec dobywał praktyki w świetnie administrowanych gospodarstwach. Nazwy tych gospodarstw i nazwiska właścicieli znałem, ale już nie potrafię określić. Do obowiązków praktykanta należało nie tylko dogłądanie prac już od czwartej rano aż do ich zakończenia, ale też uczestniczeniu w życiu towarzyskim, co powodowało bardzo silne niedobory snu. Tu nie chcę fantazjować, bo wspomnień z praktyk rolniczych tamtych czasów czytałem kilka, więc nie chcę tworzyć kolejnej wersji. Faktem jest jedno, że po kolacji trzeba było siadać do brydża lub bawić rozmowami panie.

Wydaje mi się, choć może to sugestia, że Ojciec przynajmniej część praktyk odbywał w majątkach, które podlegały administracji pana Maringa uznawanego w tym czasie za jednego z najlepszych organizatorów rolnych w Polsce.

W czasie studiów Ojciec był bardzo aktywnym członkiem korporacji Jagiellonia. Korporacja istniała przy SGGW i grupowała studentów rodzin ziemiańskich. Korporacja ta działała zdecydowanie w duchu patriotycznym i pozytywistycznym a obserwowałem tych ludzi jako młody człowiek i jestem przekonany, że była to grupa o bardzo wysokim morale i twardych kręgosłupach. Bardzo niewielu z nich zniżyło się do wpisania do PZPR lub podobnych organizacji. Ludzie ci w tych bardzo trudnych powojennych czasach bardzo się z sobą solidaryzowali utrzymywali bliskie kontakty i w miarę możliwości bardzo sobie pomagali.

Jeszcze dziś a jest rok 2003 na mszę za dusze zmarłych Jagiellonów zjeżdżają się do kościoła św. Marka dziewięćdziesięcioletni Jagielloni często nie tylko z Polski.

Może kiedyś sprowokowany tym pisaniem spróbuję dostać się do statutu tej korporacji, bo chyba wiem gdzie mógłbym przynajmniej go obejrzeć. Jeszcze rok a może dwa temu Jagielloni wydawali do korporantów rozsyłanych na całym świecie swoje pismo.

Ojciec w okresie studiów przez dwa lata był „szefem” korporacji z tz. (seniorem, a po skończeniu studiów był tz starym strzechą, (filistrem) to jest członkiem już nie aktywnym (aktywni mogli być tylko studenci), ale członkiem wspierającym.

Spotkania Jagiellonów nazywano komersami, na których omawiano istotne dla uczestników sprawy a dodatkowo pito dość duże ilości piwa. Jednym z warunków statutu było to, że Jagiellonowie mogli brać udział w pojedynkach, ale zastrzeżono, że pojedynki trwają nie do pierwszej krwi, co w tamtych czasach było dość popularne a do niemożności walki przez jednego z uczestników. Pozornie ten absurdalny zapis miał jednak głęboki sens. Były to czasy w czasach nagminnego pojedynkowania się. Po prostu potencjalni przeciwnicy wiedzieli, że pojedynek z Jagiellonem nie będzie parodią a niesie za sobą poważne konsekwencje, świadomość ta radykalnie zmniejszyła liczbę pojedynków. Dodatkowo obowiązkiem Jagiellonów był udział w treningach na białą broń i strzelaniu. Tak surowy statut jak i treningi powodowały, że Jagielloni mieli stosunkowo mało pojedynków.

Tatulek musiał się jednak w coś takiego wpakować, bo strzelił w twarz jakiego młodzieńca, gdy ten wyrażał się nie zbyt oględnie o jakiejś pani. Nie znam nazwisk ani Pana ani Pani, chyba Ojciec nigdy tych nazwisk nie wymienił, nie znam też rzeczywistego uczuciowego Taty stosunku do tej Pani.

Pojedynek był na pistolety. Ojciec przestrzelił przeciwnikowi obojczyk. Jak to się stało, że innych konsekwencji prawnych nie było nie wiem? Faktem jest jednak, że w tamtych czasach prawo zakazywało pojedynków i je surowo karało.

2003.12.30

Jedną ze znanych imprez Jagielloni był organizowany coroczny bal karnawałowy.

Bal Jagielloni był zawsze wydarzeniem towarzyskim w balu tym uczestniczyli obowiązkowo wszyscy czynni korporanci i oczywiście stare strzechy. Na bal ten jako zaproszeni goście zjeżdżały rodziny ziemiańskie mające córki na wydaniu.

Na takim balu bardzo trudną rolę pełnili ts. Fuksy to jest studenci pierwszego rocznika kandydujący na korporantów. Obowiązkiem ich było bawienie, asystowanie i tańce ze wszystkimi brzydkimi i będącymi bez powodzenia pannami. Stały opiekun fuksów, (bo i taka funkcja istniała) bardzo baczył, aby nie było panien pozostawionych pod ścianami przy mamusiach i ciotkach.

Jak pisałem wyżej wszystkie korporacje były bardzo elitarne i wejście tam na członka nie było wcale łatwe.

Potencjalny kandydat musiał być zaprotegowany na oficjalnym spotkaniu przez dwóch członków aktywnych, którzy przedstawiali jego kandydaturę. Kandydat po wstępnej akceptacji zostawał fuksem i miał prawo uczestniczyć w spotkaniach i treningach

korporantów (fuksy były dość mocno wykorzystywani przez starczych i stare strzechy). Po okresie fuksowania następował tzn. Balotaż to jest głosowanie białymi i czarnymi kulami, jedna czarna kula w urnie wystarczała, aby młody człowiek nie był przyjmowany do korporacji. Przypadki nie przyjęcia nie były wcale rzadkością.

2004.01.01

Ojciec na temat zasad i życia środowiska jagiellońskiego sporo opowiadał. Środowisko to na pewno pozostawiło bardzo trwały ślad na jego poglądach i zachowaniu. Niestety w pamięci pozostały mi tylko okruchy opowiadań stąd w tym fragmencie opierać się będę na wspomnieniach młodszego od mojego ojca Jagiellona a mojego wuja Tadeusza Czaplickiego zawartych w jego książce Szlacheckie Ostatki. Wuj działał w Jagielloni praktycznie 10 lat później jak mój ojciec, bo w latach 1935-1939.

Różnych korporacji studenckich było w Polsce około 120. Najbardziej znane w środowisku warszawskim to poza Jagiellonią, to Arkonia, Polonia, Walencja, Sarmacja. Szefostwo w Jagielloni było wybierane corocznie, na czele korporacji stał senior mając zastępcę conseniora i scriptora – sekretarza, szefem młodego zaciągu – fuksów był wojewoda. Korporacja podzielona była na stopnie: fuks, brander, (starszy fuks) semestrant (barwiarz), stary strzecha (filister).

Jagiellonia powstała w Wiedniu w 1910r. założona przez grupę studentów polskich dla prowadzenia wspólnej, zorganizowanej pracy – w duchu koleżeńskości, karność i zasad rycerskich - nad kształtowaniem siebie i innych na patriotów i obywateli. Jagiellonia nawiązywała do idei wileńskich Filomatów i Filaretów. W Jagielloni w odróżnieniu od szeregu innych korporacji obowiązywał zakaz należenia do organizacji politycznych. Jagiellonia rozpoczęła działalność w Warszawie przy Politechnice Warszawskiej 1 1920r i skupiała młodzież ziemiańską. Do 1934 była to organizacja między uczelniana od 1934r zgodnie z ustawą o reformie szkolnictwa została przypisana do SGGW.

Poza założeniami spotkań towarzyskich celem było doskonalenie wiedzy i jej poszerzanie przykładowo każdy starszy fuks, aby dostać stopień (barwę) semestranta obowiązany był napisać opracowanie na temat społeczny czy ogólnogospodarczy opracowanie to było dyskutowane na spotkaniu korporacyjnym całkiem poważnie i opracowujący uzyskiwał nową barwę dopiero po pozytywnym zaopiniowaniu tego opracowania przez gremium.

„Korporacje akademickie były, więc poważnymi organizacjami, które oprócz zabawy i wyrobienia towarzyskiego wymagały od swoich członków odpowiedzialność za swoje czyny i postępowania zgodnego z poczuciem honoru. Nakładały także pewne obowiązki naukowe” – wg. Czaplickiego

Wuj Czaplicki był korporantem w latach 1934-1939 a więc dużo później jak mój ojciec. Wuj nie pisze już o treningach fechtunku, więc może już w tym czasie atmosfera pojedynkowa zanikła. Zwraca jednak uwagę na wzrost ruchów nacjonalistycznych i antyżydowskich, z jego wspomnień wynika, że praktycznie do wojny Jagiellonia nie angażowała się w działalność polityczną nawet więcej, bo Wuj wspomina o relegowaniu korporantów za działalność polityczną.

2004-01-04

Każda z korporacji miała swój barwy Jagiellonia nakrycie głowy to jest czapkę /dekiel z otokiem trójkolorowym i główką czerwoną/ oraz trójkolorową bandę /szarfę/ zakładaną przy ważnych uroczystościach lub do pocztu sztandarowego.

Wyżej wspomniałem o corocznych balach Jagielloni. We wspomnieniach Wuja wyczytałem, że w 1936r wodzirejem balu był mój ojciec i podobno wspaniale wywiązywał się z tego zadania. W krótkiej notatce, którą pozostawiła moja Matka jest też stwierdzenie, że Ojciec był wodzirejem jakiegoś balu, na którym była.

Ze wspomnień „Balowych Ojca” pozostało mi opowiadanie, o jakimś straszliwie nudnym baliku u którejś ze starcy ciotek. Balik był bez alkoholu i z nudnymi pannami. Bliski kuzyn gospodyni znalazł gdzieś za firanką sporą butelkę czegoś, co przypominała nalewkę stąd paru z uczestników balu obciągnęło ją bez skrpułów, co poprawiło humory. W tej historyjce ważne jest, że cioteczka nawet według ojca była bardzo a bardzo nieestetyczna – drugiego dnia po tym nieudanym balu wypadało złożyć wizytę cioteczce i pech chciał, że ojciec zjawił się tam z jednym z tych, z którym tą butelczynę obciągali – cioteczka w chwili szczerości stwierdziła, że nie może znaleźć lekarstwa, którym nacierała się tu i ówdzie – obaj panowie bardzo szybko skończyli wizytę delikatnie mówiąc szarzy na twarzach i z poważanymi odruchami wymiotnymi.

Ze wspomnień studenckich Ojciec wspominał egzamin u profesora Malinowskiego – egzamin był poza normalnym terminem i ojciec miał zgłosić się do mieszkania profesora.

Gdy zgłosił się w terminie drzwi mu otworzył jakiś człowiek niezbyt wygłędny, ojciec wyłożył powód swojego przybycia i stwierdził, że związku z tym chciałby spotkać się z profesorem. Człowieczek przeprowadził Tatę przez mieszkanie wprowadził do jakiegoś pokoju i poprosił, aby chwilę poczekał. W chwilę potem ten sam człowiek wszedł do pokoju już w marynarce usiadł za stołem i spytał, o co chodzi – wtedy wydawało się, że ojciec w życiu profesora nie widział, bo nie był na żadnym z jego wykładów. Profesor nie był złośliwy, bo Tato ten egzamin wtedy zdał.

2004.01.05

W trakcie studiów Ojciec chyba był popularny i miłą powodzenie u kobiet, bo pamiątkowej papierośnicy, która jako jedna z nielicznych przedwojennych pamiątek po ojcu pozostał są podpisy szeregu jego sympatii. Sama papierośnica jest już zabytkowa są na niej umieszczone podstawowe symbole dotyczące Ojca a więc herb rodzinny proporczyk szwoleżerski, cyrkiel (to jest znak Jagielloni), znak Koła Rolników, w którym Ojciec aktywnie działał oraz znak zapytanie, co życie przyniesie dalej. Jestem bardzo niezadowolony, że nie pamiętam całej symboliki cyrkla, w tym pięknym rysunku każda pętla czy bardzkiej znaczący łuk miał coś oznaczać. Kiedyż to umiałem, ale po 45 latach wszystko uleciało z głowy. Do tej papierośnicy mam duży sentyment, bo stosunkowo łatwo pod jej pretekstem udawało mi się ojca naciągać na wspominki.

Okres studiów przeszedł ojcu chyba bezproblemowo w miarę wesoło to, co utkwilo mi w pamięci to raczej jakieś krótkie impresje balowe lub wspomnienia ze spotkań jagiellońskich.

Ojciec ukończył studia w 1929r i stosunkowo szybko po ich ukończeniu został plenipotentem rodziny Arkuszewskich. Funkcja ta jest dziś nieznana stąd parę słów na ten temat. Po śmierci seniora rodu Arkuszewskich pozostał duży dobrze prosperujący majątek Lubiec położony niedaleko Łasku. Pozostało chyba pięciu lub sześciu spadkobierców, którzy nie potrafili (a może nie chcieli) dokonać podziału spadku. W grupie tej nie było żadnego rolnika natomiast byli prawnicy lekarze i inne zawody. Rodzina była dość solidarna na zewnątrz, ale skłócona wewnętrznie stąd potrafili się dogadać, aby w ich imieniu gospodarował plenipotent rozliczający się corocznie z wyniku finansowego. Plenipotent miał pełne uprawnienia poza możliwością zadłużania gospodarstwa i jego sprzedaży bez zgody rady rodzinnej. Ojciec otrzymywał team stosunkowo wysokie uposażenie a 1000zł/miesięcznie.

Plenipotencja miał z jednej strony duży plus- możliwość całkowicie samodzielnego gospodarowania i olbrzymi minus rada rodzinna chciał otrzymywać wysokie dywidendy.

Z opowiadań Ojca wynikało, że animozje wewnątrz rodzinne umożliwiały mu w miarę samodzielne gospodarowanie, bo poszczególni członkowie rady mieli różne zdanie, ale aby uchwała była ważna konieczna była jednomyślność.

Z opowiadania mojego Stryja Tadeusza wynikało, że animozje pomiędzy Radą rodzinną a plenipotentem bywał czasami dość poważne, bo nawet Stryj jeździł mediować.

Trzeba pamiętać, że w okresie, kiedy chciałem i mogłem wyciągać z Ojca różne wspomnienia Ziemiańscy byli bardzo źle widziani przez władze, stąd opowiadań na temat pracy zawodowej i stosunków panujących na wsi w okresie przedwojennym ojciec raczej unikał. Dużo więcej na ten temat wiem z powiadań Dziadków Czaplicki, ale wynikało to już zupełnie z innych przyczyn i mam nadzieję, że wyjaśnię to w dalszych częściach tego opowiadania.

Praca w Lubcu była dla ojca bardzo ciekawa i satysfakcjonująca stąd było to pierwsze i jedyne stanowisko na przestrzeni 1928-1940r.

W 1929 zakończyła się dzierżawa Bobrownik i rodzeństwo Ojca zgodnie ustalił, że majątek od bankructwa ratował będzie brat Ojca Tadeusz. Tadeusz jakoś wywijał się wierzycielom równolegle prowadząc administrację Raby Wyżnej. Udało mu się nawet nie pogorszyć sytuacji Bobrownik, ale sytuacja była dość kiepska. W 1937r drugi brat Ojca ożenił się bogato i rodzina zdecydowała, że całe rodzeństwo zrzeknie się praw do Bobrownik, które od tej pory stały się własnością Antoniego. Nie ulega wątpliwości, że posag Ciotki (z domu Szymanowskiej) uratował w tym momencie Bobrowniki a jak się potem okazało ślub ten był właściwie dla posagu, bo bezpośrednio po zabraniu majątku przez reformę rolną stryj rozstał się z ciotką i w niecały rok potem ożenił się powtórnie to drugie małżeństwo było już udane a ciotkę bardzo lubiłem w odróżnieniu do Stryja i siostr Ojca.

Ociec mój poznał Mamę na wystawie rolniczej w Lublinie w 1937r, zaiskrzyło na jakimś balu w karnawale zimą 1938r. a ślub odbył się w październiku. Mama Irena Czaplicka była córką bogatego ziemiańszczyzny płockiej Antoniego Czaplickiego i Józefy z domu Piwnickiej. Dziad mojej mamy Waldemar Piwnicki był wieloletnim prezesem Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego guberni płockiej a funkcję tę pełnił do 1913r (?)r (majątkiem pradiadka Waldemara był majątek Glin leżący blisko Płocka).

Mój dziad Antoni Czaplicki był właścicielem majątków Osiek i Krubice ogółem około 850 ha (obecnie gmina Bulkowo). Były to gospodarstwa wysokiej kulturze rolnej świetnie zarządzane tak, że pomimo szeregu kryzysów rolnych w latach 1912-1939 gospodarstwa rozwijały się a dodatkowo 1938 Dziadka stać było na kupienie mojej matce mająteczku Wilanowo (ok 150ha). Dziadek jeździł konno brał udział w konkursach hipicznych i to nie tylko w konkursach lokalnych, ale i większych w Warszawie i Płocku. Duża rozrywkowość Dziadka, chęć bywania w środowiskach pięknych kobiet, przy bardzo ograniczonych możliwościach ruchowych Babci przysparzała jej sporo zmartwień choć było to małżeństwo bardzo dobre i bardzo o siebie troskliwe. Dziadek, choć lubił się pokazać i otaczać kobietami umiał liczyć pieniądze a na zonie nie oszczędzał.

Babcia na ówczesne czasy była kobietą wykształconą dobrze mówiła po francusku, nie miała co prawda ukończonej szkoły muzycznej, ale dobrze grała na fortepianie i przez długą wojnę światową dużo komponowała. Kompozycje te niestety zginęły, gdy Babcia przesłała utwory te na jakiś konkurs muzyczny w Polskim Radiu w 1958 lub 1959r

Mama urodziła się w 1914r jako najstarsza w rodzinie miała jeszcze siostrę Jadwigę i brata Janusza. Dwoje bliźnięt zmarło bezpośrednio po urodzeniu. Ten poród babcia Józefa przypłaciła niedowładem kończyn dolnych w tym głównie sztywnością stawów kolanowych. Z tą niesprawiedliwością Babcia walczyła całymi latami a pełnej sprawności kolan nie odzyskała nigdy. Mama wraz z siostrą zgodnie z ówczesną tradycją uczona była przez guwernantki a potem została zapisana do szkoły w Warszawie „Pensji panny Zybert – Plater” była to szkoła prywatna głównie dla córek ziemian mająca uprawnienia przeprowadzania matur dla swoich absolwentek. Mam świadectwo maturalne Mamy. Mama nie miała predyspozycji do przedmiotów ścisłych bardziej do humanistycznych a zdecydowanie miała smykałkę do rękodziela i przedmiotów artystycznych. Rzeczą imponującą była utrzymująca się przez wiele lat solidarność platerowien. Obserwowałem to w okresie śmiertelnej choroby mojej Matki i przez wiele lat następnych.

Nie ma, co ukrywać, że pensja miała za cel tak matury dziewczyn jak i drugi ukryty cel znalezienie mężów. Temu drugiemu celowi służył udział w licznie organizowanych w tych czasach balach, na które oczywiście zjeżdżali rodzice panien i oczywiście dużo studentów wszystkich kierunków studiów. W okresie przedwojennym wiele małżeństw dobieranych było ze względów majątkowych, ale jak to wynikało z opowiadań wujów, ciotek i przyjaciół moich rodziców młodzi mieli już bardzo dużo do powiedzenia, a małżeństw wbrew woli młodych było bardzo mało.

W chwili poznania się rodziców Ojciec miał 35 lat a Mama 24, praktycznie różnica wieku wynosiła 12 lat. Już w tamtych czasach uważano tę różnicę wieku za dużą.

2004.01.06

Małżeństwo moich rodziców na pewno nie było kartowane i młodzi pobrali się z uczucia, choć nie wierzę, aby Dziadek, który był z założenia „kalkulatorem” nie brał pod uwagę wszystkich za i przeciw.

Z pamiętnika Mamy wynika, że rodzice poznali się w trakcie Wystawy Rolnicze w Lublinie wiosną 1937r, miłość wybuchła chyba na balu Jagielloni tj. w lutym 1938r.

Ślub odbył się w Osieku to jest w majątku dziadków. Z opisu zawartego w łącznie Rodzinnym (z 1939) wynika – tekst dosłowny – Ślub odbył się w dniu 11 października 1938r w filialnym kościele w Bulkowie parafii Pilichowo. Rodzice panny młodej gościnnie podejmowali liczne grono krewnych i przyjaciół obu rodzin. Wesele miało charakter staropolski z lepszych niż dzisiejsze czasów. Bawiono się ochoczo do rana. Tradycyjnego mazura prowadził ojciec panny młodej, drugą parę stanowili ojciec pana młodego z matką panny młodej. Młoda para zamieszkała w Lubcu pow. Łaski.

Tadeusz Czaplicki w Szlacheckich Ostatkach tak opisuje ten ślub – w początkach październik dostaję trzydniowy urlop i jadę do Osieka na ślub Irki z Jankiem Bzowskim. W Osieku jest już oficjalna delegacja Jagielloni z Heniem de Phulem na czele (jeden z założycieli Jagielloni bardzo szanowany w środowisku korporacyjnym) aby w kościele trzymać „bramkę” podniesionymi szlagierami. Henio na biesiadzie trzyma mowę jako korporacyjny ojciec pana młodego. Tematem dnia jest oczywiście Monachium, Zaolzie i Czesi (-----)

W Osieku zabawa szampańska. Irka jedzie do kościoła wspaniałą czwórką gniadych ze swą własną wierzchówką Delicją w leju. Jagiellonia siedmioosobowym buickiem de Phulla z trójkolorową flagą na błotniku. Stryj uradowany, bo i druga córka ma narzeczonego.

Tu chyba powinienem przerwać to opowiadanie i wrócić do wcześniejszego pokolenia to jest do losów Dziadków Bzowskich i Dziadków Czaplickich.

2004.01.11

O Dziadkach Bzowskich i ich nieudanym małżeństwie pisałem na początku. Po odejściu żony Dziadek gospodarował jeszcze jakiś czas, ale chyba w 1918 wydzierżawił Bobrowniki a sam z dziećmi przeprowadził się do Warszawy. W Warszawie podjął pracę w Związku Izby i Organizacji Rolniczych a potem aż do 1939r w Związku Ziemian. Niezależnie od wychowywania dzieci Dziadek bardzo intensywnie działał społecznie, był wieloletnim prezesem kół rodzicielskich przy szkołach im. Zamoyskiego, pensji Plater – Zyberkówny, Antoniny Walickiej a także prezesem Towarzystwa Przyjaciół Polskich Korpusów Kadetów, udzielał się w pracach Macierzy Szkolnej i Towarzystwa Przyjaciół Harcerstwa Powołał do życia Związek Rodziny Janota Bzowskich.

Jak się okazało dzierżawca Bobrownik okazał się bardzo nie udany więc po zakończeniu dzierżawy w 1930r stryj Tadeusz rozpoczął tam gospodarowanie będąc równocześnie administratorem Raby Wyżnej. W 1938 całe rodzeństwo zrzekło się praw do Bobrownik, które przejął na własność stryj Antoni i właśnie u niego w Bobrownikach Dziadek spędza wojnę i ostatnie lata życia opiekują się żoną i dziećmi Jerzego, który w tym czasie jako lotnik walczył w Anglii (informacje na podstawie wspomnień Teresy Konarskiej siostry ojca) Dziadek zmarł w czerwcu 1945r niestety zdążył jeszcze przeżyć dewastację i rozbiórkę dworu dokonaną przez służbę folwarczną oraz parcelację Bobrownik jak również wiadomość o śmierci syna Jerzego, który w 1941r zginął jako pilot bombowca w nalocie na Bremę służąc w dywizjonie 305 w Anglii (mam kopię pamiątnika stryja prowadzonego do ostatniego lotu - jest on tak wstrząsający, nie potrafię go czytać bez ściśniętego gardła.)

2004.04.07

Czytając powtórnie tekst przyszło mi na myśl, że zanim opiszę w miarę szczegółowo losy moich Dziadków Czaplickich warto może zatrzymać się chwilę na moich wspomnieniach zasłyszanych od Dziadków, Rodziców i kuzynów a dotyczących atmosfery domowej rodzin ziemiańskich na przełomie wieku XIX i XX może to być interesujące jako tło do burzliwych niestety losów moich Dziadków. To co piszę wynika jednak w większości z opowiadań głównie Babci Czaplickiej, która była wspaniałą gawędziarką, miała świetną pamięć i lubiła opowiadać.

Okres od początku wieku do wybuchu pierwszej wojny światowej był dla rolnictwa w Kongresówce a tym samym ziemian okresem dobrej koniunktury. Rodziców Dziadka Antoniego stać było na wysłanie syna na prawie cztery lata do szkoły Rolnicze w Czernichowie a więc do zaboru austriackiego pod Cieszyn. Po powrocie dziadek przejął Krubice i Osiek a jego brat Lucjan wzenił się w majątek Jarantowice nie daleko Chodcza. Natomiast siostra wyszła za mąż za ziemianina Pana Pruskiego.

Dziadek był człowiekiem interesownym stąd zainteresował się bogatą przyszłą dziedziczką Giliną Józefą Piwnicką. Ojciec mojej Babki jako prezes Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego mieszkał z żoną i dwoma córkami w Płocku. Stanowisko Prezesa było miejscem bardzo prestiżowym i dobrze płatnym. Zajmowane stanowisko pradziadka powodowało, że obie jego córki były bardzo atrakcyjnymi partiami. Dziadek też wychodził z rodziny uznawanej za majątną. Młodzi przez zaręczynami widzieli się zaledwie kilka razy, ale na pewno gustowali w sobie. Dziadek z założenia rozsądny ryzykant przyjechał do Warszawy w momencie, kiedy pradziadkowie byli z córkami w Warszawie. Wykorzystując ten fakt całe rodzinę Piwnickich zaprosiła na wrotkarnię gdzie można było obserwować jeżdżących na wrotkach. Z opowiadania Babci wynikało, że huk na tej Sali był bardzo duży. Dziadziuś sprytnie zaaranżował rozsądzenia rodziny, przyszli Teściowie siedzieli tak daleko, że nie mieli żadnej szansy usłyszenia, a o czym rozmawiają młodzi. Nie jestem tego pewny, ale zdaje się, że było to pierwsze spotkanie, w którym młodzi mogli rozmawiać sami bez bezpośrednich świadków. W trakcie tej rozmowy Dziadek oświadczył się i został przyjęty. Rodzice Babci dowiedzieli się o decyzji młodych bezpośrednio po wyjściu z wrotkarni. Ze względu na podobny status majątkowy uzgodnienia posagowe nie trwały długo. Dziadek objął majątki swojego Ojca Krubice i Osiek a Babcia miała wnieść w posagu połowę kwoty ze sprzedaży Glina. Uzgodnienia posagowe były w przybliżeniu następujące, Glin zostanie sprzedany a uzyskane pieniądze w połowie zostaną u Piwnickich a druga połowa podzielona między dwie ich córki. Kiedy miała być dokonana ta transakcja nie wiem, ale na pewno przyspieszyła ją śmierć pradziada Piwnickiego. Sprzedaż Gilina nastąpiła chyba tuż przed wybuchem I wojny światowej. Wiem, że Dziadek chcąc inwestować w Osieku do tej sprzedaży mocno przyciskał. Podobno uzyskana cena była bardzo korzystna niestety zawirowania wojny a zaraz po niej galopująca inflacja spowodowała, że już w 1919r prababka za te pieniądze mogła kupić parę paczek papierosów. Dziadek czuł się winny zaistniałej sytuacji stąd Prababka do śmierci mieszkała w Warszawie na jego koszt a siostrę Babci starał się jakoś wyposażyć, ale to, co mógł jej przekazać nie mogło zrekompensować straconych środków a przecież na lokatę środków sprzedaży Gilina nie miał wpływu. Więc moralna jego wina polegała tylko na niemożności przewidzenia przebiegu wypadków. Dziadek sam środki ze sprzedaży Gilina jeszcze przed wojną zainwestował w Osiek, tym samym posag Babi nie zmarnował się.

Babcia do małżeństwa była całkowicie nie przygotowana o gospodarowaniu domem wiedziała bardzo mało a o życiu w małżeństwie to już kompletna tragedia.

Ciekawostką może być fakt, że na temat służby, która była w domu Piwnickich moja Babka nie wiedziała kompletnie nic. Np. w mieszkaniu Piwnickich był wieloletni lokaj Babcia pamiętała go do „zawsze”, ale na pytanie czy miał rodzinę i jak z nią się kontaktowała twierdziła, że tego nie wiedziała a lokaj był ponoć stale.

Pierwsza noc po ślubie była dla Babci kompletnym szokiem, sama przyznawała, że w jej świadomości zaloty motyli to była pełna wiedza seksualna. Przerażona i z szokowana po nocy poślubnej chciała uciekać do rodziców. Przed wyjazdem i kompromitacją uchroniły Babcie kuzynki, które wystąpiły w roli, mediatorów, chyba i ambicja pomogła nie pozwalając Babci wyjechać. W krótko po tym Dziadek zabrał ją w podróż poślubną do Monte Carlo, tam mając dość niedoświadczonej żony urywał się na całe noce chyba nie do kasyna, a ją zostawiając samą. Dość powiedzieć, podróż tą Babcia wspominała bardzo niechętnie.

W końcu sprawy między Dziadkami utarły się, bo było to bardzo dobre małżeństwo, Babcia była mądrą i wyrozumiałą żoną Dziadek bardzo dbał o Babcię i bardzo starał się, aby jego rozrywkowość nie rzucała cienia na ich małżeństwo. To, że po pięciu latach małżeństwa Babci była po trzech porodach w tym jednym nieudanym (poród ten spowodował, że Babcia miała bardzo usztywnione kolana /powodowało dodatkowe trudności. Babcia z konieczności była mało ruchliwa a Dziadek uwielbiał bywać między ludźmi i błyszczeć. Nie mnie pata ta mogła być przykładem dla wielu małżeństw.

2004.01.13

Los dla Dziadków Czaplickich jak wielu rodzin polskich tego okresu nie był łaskawy. Dziadkowie pobrali się w 1912.

Po dwóch latach wybuchła I wojna światowa, która bardzo szybko przesunęła front w rejon Osieka. Gdy front poszedł dalej na wschód pozostały częściowo spalone Krubice a Osiek był mocno rozszabrowany. Dziadkowie znaleźli się w złej sytuacji ekonomicznej, bo kontrybucje niemieckie apotem inflacja spowodowały ogołocenie majątku. W tym czasie urodziła się moja Mama. Sytuacja finansowa Dziadków jak i innych ziemian tej okolicy w tym czasie była bardzo niewesoła Dziadkowie cały ten okres mieszkali początkowo w Krubicach a potem w Osieku. Szczęśliwie Dziadek wpadł na pomysł uruchomienia suszarni cykorii (w tym czasie wszystkie cukrownie w okolicy były unieruchomione a dodatkowo cena na cukier tragiczna) Produkcja i sprzedaż suszonej cykorii z przeznaczeniem na produkcję substytutu kawy pozwoliły Dziadkowi podratować sytuację finansową i rozpocząć w 1918 lub na początku 1919r budowę dworu w Osieku. W 1920 wojna polsko-rosyjska zaczęła się gwałtownie zbliżać w stronę Osiaka. W czerwcu 1920r Dziadek zaciągnął się do wojska, aby wraz z ziemianami ziemi płockiej udać się na front. Oddział był w początkowym okresie bardzo słabo uzbrojony i całkowicie nie wyszkolony. Przygoda z wojną skończyła się dla Dziadka stosunkowo szybko, bo po dwóch miesiącach wrócił do domu nie wachając frontu za to z bardzo pokiereszowanymi plecami przez karabin typowo piechotny, który całkowicie nie nadawał się do wożenia go na plecach przez ułana. Przez tą nietypową broń dla ułanów bardzo wielu ochotników tej jednostki musiało być zdemobilizowanych. Po przebrojeniu jednostka ta spisywała się bardzo dzielnie i przeszła cały szlak bojowy aż

do zakończenia wojny. Dowódcą jej był pan Protasiewicz późniejszy mąż najśłynniejszej aktorki filmowej okresu przedwojennego Jadwigi Smosarskiej. Dziadek nie był by sobą aby z państwem Protasiewiczami nie utrzymywać kontaktów, gdy początkowo razem a potem sam pan Protasiewicz w latach 60-siątych przyjeżdżali do Polski z USA.

W czasie kiedy Dziadek poszedł na front, Rosjanie zajęli Płocki i bardzo zbliżyli się do Osieka. Według słów Babci łuny były już niedaleko huk artylerii bardzo wyraźny. Babcia zdecydowała się zabrać Irkę i uciekać z Osieka. Jej przerażenie musiała być olbrzymie, kiedy na polecenie wydane stangretowi, że ma założyć konie do karety i zajechać otrzymała butne stwierdzenie, że nigdzie nie wyjedzie, bo musi być wydana Rosjanom. Stangret (a był to przecież wyróżniany latami pracownik Osieka) dodatkowo stwierdził, że nie pozwoli, aby ktokolwiek założył konie. Babci udało uprosić się osieckiego ogrodnika, aby ten konie założył. Człowiek ten zaprzął konie, ale bał się jednak podjechać pod dwór obawiając się o siebie i rodzinę. Przeciwwstawienie się służbie folwarcznej nie wróżyło nic dobrego. W tym czasie w budowanym dworze pracował inżynier nadzorujący instalację kaloryferów. Człowiek ten też chciał uciekać obawiając się Rosjan, stąd też zdecydował się wsiąść na kozioł, choć w życiu końmi nie powoził. Udało mu się podjechać pod dwór i Babcia w wielkim pośpiechu wrzuciła coś rzeczy do karety, wzięła Irkę i jak opowiadała modląc się głośno wsiadła do karety. Służba folwarczna wraz z przewodzącym stangretem nie odważyła się przeciwdziałać wsiadaniu. Fornale ustawili się w bramie i w alei wjazdowej chcąc uniemożliwić odjazd. Inżynier sam przerażony dał koniom po bacie i konie w pełnym galopie poszły w bramę. Szczęśliwie trafiły w nią a ludzie rozprysnęli się na boki, dzięki temu babci udało się wyjechać i przez Wyszogród dojechać do swojej Matki, która w tym czasie mieszkała w Warszawie. Ta dalsza część podróży odbywała się chyba bez przygód, bo Babci nic na ten temat już nie wspominała.

W tym czasie kilku znajomych Dziadków, ziemian ziemi płockiej rozstało się z życiem albo dzięki wchodzącym Rosjanom albo nawet dzięki własnej służbie folwarcznej .

Rosjanie szczęśliwie do Osieka nie doszli a w Płocku byli bardzo krótko.

Po odsunięciu się frontu na wschód Dziadkowie wrócili do Osieka (oczywiście ograbionego z koni i sprzętów) ale dzięki zapobiegliwości Dziadka i cykorii majątek szybko stanął na nogi.

Ciekawostką może być mentalność wspomnianego wyżej stangreta, który bezpośrednio po powrocie za aresztu (był zaraz aresztowany po cofnięciu się Rosjan) zgłosił do Dziadka z prośbą o powrót na stare stanowisko – stwierdził, że teraz już będzie wszystko w porządku i był wyraźnie zdziwiony kategoryczną odmową Dziadka.

Jak wynika ze zdjęć już w latach 1922-24 Dziadków stać już było na wyjazdy Babci wraz z dziećmi do Wód na rehabilitację a Dziadek nie darowałby udziału ich obojga w balach karnawałowych w Płocku i Warszawie.

Budowę dworu w Osieku zakończono w 1922.

Życie Dziadków jak i mojej mamy i jej rodzeństwa w okresie 1921-1938 przebiega spokojnie, gdyby nie choroba Babci wymagająca stałych rehabilitacji można powiedzieć szczęśliwie. Pozostałe z tamtego okresu zdjęcia pokazują spotkanie rodzinne, bale i

zabawy, konkursy hipiczne, wyjazdy letnie do Sopotu, Karlsbadu itp. Ze zdjęć płynie piękna sielanka, choć jak w życiu pewno różnych kłopotów nie brakowało.

24.04.2004

Dom był pełny służby to jest niania do dzieci potem guwernantki, pokojowe, kucharz i oczywiście ogrodnik. Tak ogrodnik jak i niania do końca swojego życia pomimo zmiany ustroju kontaktowali się z Dziadkami a resztki przedmiotów pochodzących z Osieka będące w posiadaniu mojej siostry i mojej zawdzięczamy tej parze. Ważną osobą we dworze był też szofer, bo Dziadek oczywiście musiał mieć samochód.

Część ziemian gospodarowała źle stąd w okresie dwudziestolecia było dużo bankructw, do których przyczyniały się też kryzysy ekonomiczne, ale część z nich w tym Dziadek radziło sobie zupełnie dobrze. Służba rolna w bankrutujących gospodarstwach miała rzeczywiście bardzo źle, ale dobrzy gospodarze na ogół płacili terminowo a dodatkowo poczuwali się nawet do tego aby opłacać szkoły dzieciom wybranych ordynariuszy.

Rodziny ziemiańskiego tamtego okresu ostro z sobą konkurowały w zakresie wyposażenia dworów w dzieła sztuki tak stare jak i współczesne stąd obecność malarzy portrecistów w dworach nie była rzadkością, często też obrazy były zamawiane u znanych malarzy w Warszawie. Ostra konkurencja dotyczyła też urządzania ogrodów i oranżerii. Jako ciekawostkę Babcia opowiadała następującą historyjkę. Otóż kiedyś poleciła przygotować ogrodnikowi jakąś rozsadę czy okłady dla którejś z przyjaciółek ogrodnik zgodnie z poleceniem wydał, ale następnego dnia przyszedł do Babci „niech się Dziedziczka nie niepokoi korzonki dobrze sparzyłem nie się nie przyjmie”. Babcia opowiadała to wręcz pewną dumą.

Jak pisałem wyżej Dziadek Osiek prowadził bardzo dobrze, produkcja nastawiona była na uprawę roślin, główne pieniądze dawały buraki a cukrownia w Nowej Wsi doprowadziła nawet kolejkę wąskotorową do Osieka i sąsiednich majątków. Drugim poważnym źródłem dochodu była hodowla koni dla wojska tj koni remontowych.

Będzie to pewno ciekawostką dla czytających (sprawa ta była przez władzę ludową bardzo ukrywana), że władze polskie przed drugą wojną światową prowadziły reformę rolną. Reforma ta była prowadzona na dużą skalę, rolnik otrzymujący ziemię praktycznie ją kupował tylko na bardzo korzystane wielokrotne raty. Z reformy zwolnione były gospodarstwa posiadające przemysł tj. gorzelnie, krochmalnie, płatkarnie młyny, stawy rybne i prowadzące produkcję dla wojska. Ustawa ta powodowała, gwałtowny rozwój uprzemysłowienia gospodarstw, oraz liczne budowy stawów. Dziadek zawsze kochał konie a przepis o reformie jeszcze bardziej motywował Dziadka do hodowli koni pod potrzeby wojska, co zabezpieczało jego majątki przed parcelacją.

2004.01.14

Wojna 1939 zastała Dziadków w Osieku gdzie też w pierwszych dniach września dotarła moja matka. Dziadkowie po doświadczeniach pierwszej wojny i agresji rosyjskiej natychmiast wiele cennych rzeczy zakopali w parku mając nadzieję, że w spokojnych czasach przedmioty te wydobędą. Niestety porcelanę stracili praktycznie do razu we wrześniu 1939r, bo czołg niemiecki stanął w miejscu jej zakopania i oczywiście wszystko został zgnieciony. (Jak się okazało po wojnie większość rzeczy zakopanych przez Dziadków pracownicy osieccy odnaleźli i oczywiście zabrali).

Stosunkowo szybko po wkroczeniu Niemcy wyznaczyli też trojchendera to jest zarządcę ze strony władz niemieckich. Wspomnienia o tym Panu Dziadkowie mieli złe, trudno się zresztą dziwić. Gdzieś późną jesienią 1939r lub wczesną wiosną 1940r Dziadek, który jak pisałem był zawsze bardzo zaradny i obrotny otrzymał wiadomość, że Niemcy zamierzają wszystkich okolicznych ziemian aresztować. Nie chcąc trafić do więzienia w parę godzin wyjechał do Warszawy, Babcia miała jechać za nim razem z rzeczami po ich zapakowaniu to jest w dwa dni później. Po załadowaniu chyba dwóch wozów rzeczy i landa karawana udała się w stronę Warszawy wioząc Babcię jej córkę Jadwigę i syna Janusza. Wtedy Babcia po raz ostatni widziała Osiek. Do kawalkady dołączył wieloletni rządcą Dziadka pan Wodzyński ze swoim wozem. Babci zawsze twierdziła, że była przeciwna temu dołączeniu, ale wozy poszły razem. Nie pamiętam, z jakiego powodu na rogatkach w Łomiankach Niemcy początkowo przepuścili lando i wozy Babci, ale coś nie grało przy wozie Wodzyńskiego i Niemcy cofnęli jego wóz część wozów Babci. Oczywiście tych rzeczy, które były na tych wozach Dziadkowie nigdy nie odzyskali. Wiem że Wodzyński po wojnie coś kiedyś próbował tłumaczyć Dziadkowi, ale Dziadek nie chciał z nim rozmawiać.

Szybki wyjazd Dziadka z Osieka uratował mu życie, bo wszyscy ziemianie aresztowani w tym znanym Dziadkowi terminie zginęli w Dachau. Sprawa o tyle jest przykra, że Dziadek przed wyjazdem namawiał kilku sąsiadów na wyjazd, ale oni zostali z różnych powodów a to skończyło się tragicznie.

Dziadkowie zamieszkali z córką i synem na ul. Mokotowskiej w mieszkaniu, które wydierżawili od rodziny żydowskiej, która przenosiła się bez własnej woli do getta i przed przenosinami szukała jakiejś porządnej rodziny, która zaopiekowałaby się ich mieszkaniem, Dziś wiadomo, jaki los czekał tę rodzinę.

Dziadek do spółki z panem Czychrynem, uruchomił jedną z pierwszych w Warszawie firm rykzarskich, w której jego własnością było pięć rykz jeżdżących stale po mieście. Firma nie przyniosła wielkich dochodów, ale pozwalała jakoś wiązać koniec z końcem. Ciocia Jadzia pracowała jako kelnerka a wuj Anusz jeszcze się uczył. Obje młodych weszło głęboko w działalność Akowską.

W 1944r. wybuchło powstanie już w pierwszych godzinach powstania jeszcze 1.08. Wuj Janusz zginął w ataku na budynek wojskowy przy ul. Szopena 2. Tragizmu tej śmierci dodaje fakt, że Babcia z okna widziała jak jego oddział idzie do ataku a w chwilę później opatrywała jednego z kolegów Janusza, który chwilę wcześniej lekko ranny do tego ostatecznego ataku nie poszedł i jako jedyny z oddziału przeżył. W trakcie opatrywania wmawiał Be Janusz żyje, choć wiedziała, że nie. Całe powstanie Dziadkowie przeżyli na Mokotowskiej zdając sobie sprawę, że Janusz nie żyje nie wiedząc ni o Cioci Jadzi, która jako sanitariuszka była na Starym Mieście. Tak Dziadkowie jak i Ciocia przeszło przez obóz transportowy w Pruszkowie i gdzieś się spotkali pod Warszawą chyba u siostry mojego ojca Marii w Milanówku. Oczywiście z Warszawy Dziadkowie wyszli tak jak stali zupełnie bez niczego jak wszyscy, którzy opuszczali Warszawę.

Początkowo zamieszkali w Trębkach to jest niedaleko Warszawy, a chyba na początku 1946r wyjechali na ziemie Zachodnie. Tu w Centralnej Polsce było zbyt niebezpiecznie dla byłych ziemian, stale groziło im aresztowanie lub co najmniej szikany. Dekret o reformie rolnej a właściwie jego realizacja powodowała, że pobyt w pobliżu własnego majątku groził nawet śmiercią.

2004.01.16

Tak, więc Dziadkowie drugi raz zaczynają od niczego. Po różnych zabiegach, o których słyszałem ale niestety nic w głowie nie zostało, z Osieka udało się odzyskać lustro (jest u nas jako depozyt naszej córki – dostała je od Babci Józefy – była to jedyna twarda dyspozycja Dziadków) parę obrazów i tyle. Babcia z Ciocią, choć każda w innym transporcie wyniosły z Warszawy parę pierścionków i parę złotych monet, które były zapłatą za sprzedaną w 1942r willę w Sopocie. Precjoza te były wszyte w paski od sukienek i dzięki temu uratowały się.

Po wojnie z ruin Mokotowskiej udało się Cioci i Dziadkowi jeszcze coś wynieść, ale były to rzeczy mało wartościowe np. albumy ze zdjęciami. Los łagodniej obszedł się ze srebrnymi sztuczkami Dziadków, Mojej Mamy i Cioci Jadzi były one zdeponowane w Banku chyba Polskim, jak się okazało skarbiec był splądrowany, ale sztuczki te zostały przywalone jakimiś drzwiami, czego szabrownicy nie zauważyli i w 1946 udało się odzyskać. Niestety w wiele lat później w 1992r złodzieje włamali się do naszego mieszkania i wszystkie sztuczki mojej matki ukradli.

16.08.2004

Może pewną charakterystyką tamtych czasów będzie moja impresja z 1946r. Dziadkowie przyjechali do Warszawy, bo za wszelką cenę chcieli odnaleźć ciało syna, po wielkich zabiegach udało się dziadkowi doprowadzić do tego, aby grupa robotników przeszukała ruiny spalonego domu Szopena 2 w trakcie poszukiwań jeden z pracowników znalazł szczękę z aparatem do prostowania zębów taką jak nosił Janusz oraz trochę kości ludzkich. Dziadkowie uznali, że to szczeka Janusza i wtedy rozpoczął się kolejny dramat. Dziadkowie nie znali numeru Oddziału Janusza ani jego przydziału wojskowego stąd pomimo tego, że władze wyraziły zgodę na poszukiwanie szczątków i ekshumację nie wyrażały zgody na pochowanie tych szczątków na cmentarzu gdzie chowano powstańców to jest na cmentarzu wojskowym.

Władzy zdecydowanie zależało, aby kwatery powstańcze były jak najmniejsze i jak najmniej widoczne. (Pomnik krzyża Virtuti Militari dla Powstańców stojący na Cmentarzu Wojskowym tylko dlatego powstał, że został postawiony już wiosną 1946r potem było by to już niemożliwe)

Trzeba było uporu Dziadka Czaplickiego i jego przedwojennych kontaktów aby dotrzeć do pułkownika Rojcewicza (Radosława) dowódcy batalionu Kiliński aby on wyraził zgodę na pochówek w kwaterze tego batalionu. Ta zgoda pozwoliła na pochowanie Janusza, leży w kwaterze Kiliński w kwaterze tego batalionu. Ta zgoda pozwoliła na pochowanie Janusza, leży w kwaterze Kiliński wraz ze szczątkami prawdopodobnie kolegów z oddziału. Oczywiście pogrzeb był robiony prawie w tajemnicy bo już w 1946 roku powstaniec warszawski to coś wstydliviego a w rok później już tylko samo złoto. Moje wspomnienie polega na tym, że późnym wieczorem stoimy z Dziadkami i chyba rodzicami przed ruinami Szopena 2 ktoś zapala świecę i ktoś mówi, że szczątki Janusza dziś znaleziono.

18.01.2004

Ustawa o reformie rolnej zabrała moim Dziadkom i mojej Mamie Osiek, Krubice i Wilkanów dodatkowo groziła konsekwencjami ziemianom, którzy chcieli pozostać

pobliżu swoich majątków. Urząd Bezpieczeństwa w tych sprawach bywał bezwzględny do tego stopnia, że pokazanie się w majątku groziło murowanym więzieniem a często i śmiercią. Teoretycznie ziemianin miał prawo pozostawić sobie zabudowanie i zdaje się 30ha pod warunkiem, że pozostał na miejscu. Ja znam tylko jeden taki przypadek gdzie ziemianin został na 25ha i przetrwał na tym - chodzi o pana Janowskiego z majątku Bartodzieje koło Jedlińska.

O ile wiem Dziadek chyba raz jeden pod koniec 1945r był jedną noc w Osieku i było to ostatnie spotkanie z ukochanym majątkiem.

Na Mazowszu nie było żadnych szans, aby Dziadek mógł dostać jakąś pracę, dodatkowo jako były ziemianin był „trędowatym” stąd jak propaganda rządowa zaczęła namawiać na osiedlanie się na ziemiach zachodnich Dziadkowie z Ciocią zdecydowali się przenieść do ówczesnego woj. Koszalińskiego. Na tamtym terenie Dziadek już w 1946 dostał posadę administratora w majątkach poniemieckich. Majątki te zostały podporządkowane naczelnej dyrekcji PNZ Państwowych Nieruchomości Ziemskich. Naczelnym dyrektorem PNZ został wymieniany już przeze mnie p. Marengo a jego zastępcą p. Potworowski do losów tych panów wróć opowiadając historię mojego ojca. Pomimo teoretycznej podległości pod Dyrekcją PNZ, władze polityczne i UB bardzo często decydowały o konieczności zmiany administratora stąd w okresie 1946-51 Dziadek zmieniał wielokrotnie gospodarstwa którymi administrował. Historie, które opowiadała Babcia dotyczące tego okresu przypominają historie z Dzikiego Zachodu lub film Prawo i Pięść. Utkwiła mi opowieść Dziadka jak w jednym z gospodarstw oddział rosyjski odkrył przy gorzelni pełny zbiornik spirytusu- sprawa odbyła się błyskawicznie oficerowie, którzy z bronią w ręku próbowali powstrzymać żołnierzy przed zbliżeniem się do zbiornika zostali utopieni w tym spirytusie a spirytus momentalnie wypity pomimo pływających ciał w zbiorniku.

W innym przypadku dowódca oddziału dostał przeniesienie zebrął, więc oddział przed pałacem w szereg i wygłaszał przemówienie (Babcia widziała to z okna) Dowódca wydał komendę salwa honorowa (zupełnie nie wiadomo, po co). W takcie salwy padł martwy, strzał padł chyba z pałacu. Sprawa nie miała żadnych konsekwencji.

W chyba dwóch wypadkach. Dziadkowie dostawali 24 godz. Na zmianę gospodarstw. Ostatnie z gospodarstw, w którym gospodarował Dziadek to Damno niedaleko Ustki. W tym czasie Babcia mieszkała już w Słupsku a Dziadek wracał do Słupska na niedzielę.

Cioci Jadzi pomimo prób pomocy ze strony narzeczonego nie udało się uciec na Zachód i Wuj Andrzej po ośmiu latach nie widzenia kobiety, którą kochał przyjechał z Anglii jednym z ostatnich transportów wracających żołnierzy. Wujostwo pobrali się bardzo prędko i zamieszkali w Lipce to jest miasteczku w gdańskim gdzie wuj był kierownikiem przetwórci owocowej. Jako były żołnierz Armii walczącej na Zachodzie miała bardzo dużo przykrości i szykan, ale szczęśliwie nie był aresztowany przez UB.

W roku 1949 po dwuletniej chorobie umiera moja Matka i w 1950r Dziadkowie decydują się przeprowadzić się do Warszawy, aby z jednej strony pomóc mojemu Ojcu w wychowaniu mnie i mojej siostry a z drugiej strony atmosfera przeciwko byłym ziemianom tak się zagęściła, że dla Dziadka lepiej było wyjść z rolnictwa. Przyjeżdżając do Warszawy znów Dziadkowie musieli zredukować do minimum swoje rzeczy, które przywozili, bo pokój, w którym mieli zamieszkać miał 18 może 20m². Praktycznie

przyjechał stół krzesła komoda, pianino, szafa, szafka wisząca i oczywiście obrazy (musiały stać za szafą, nie było gdzie ich powiesić) i dwa lustra.

Więc trzeci raz Dziadkowie rozpoczynali wszystko od nowa – Dziadek jakiś czas pracował w Centrali Nasiennej, ale znów przez kadrowego (byli to zawsze albo zaufani albo pracownicy UB) został usunięty i został kierownikiem wytwórni lepiku w Pustelniku to jest miejscowości odległej o 30 km od Warszawy dokąd dojeżdżał pociągiem wychodząc z domu po 4 rano.

Babcia zajmowała się nami a kiedy odeszła służąca praktycznie prowadziła cały dom. Babcia miała o tyle trudną sytuację, że Ojciec mój zafundował sobie gruzlicę i pół roku przesiedział w Otwocku a my z Jolą mieliśmy też poważne zacieki w płucach. Powodowało to konieczność stałego prowadzenia nad do przychodni przeciwgruzliczej pilnowania leków i stałej profilaktyki. Tego działania absolutnie Babci nie ułatwialiśmy.

Około 1958 roku Dziadek przeszedł na emeryturę i przez parę lat dorabiał jako przysięgły rzeczoznawca w Centrali Nasiennej pobierając próbki nasion.

Pomimo bardzo trudnej sytuacji finansowej Dziadka nigdy nie opuszczał dobrego humoru zawsze optymistycznie patrzył w przyszłość uwielbiał bywać między ludźmi i był zawsze i wszędzie mile widziany. W roku 1960 jako 74 letni Pan został kierownikiem Sali w Klubie Lekarzy a Al. Ujazdowskich. Na tym stanowisku pozostał do 1966 lub nawet 1967. Pracę tą bardzo lubił i czuł się świetnie, bo był między ludźmi i czuł, że jest lubiany.

W całym okresie mieszkania w Warszawie Babcia raczej wolała spokój i pianino, na którym grywała. Gości i wizyt nie unikała i miała szereg znajomych, ale też specjalnie kontaktów nie prowokowała. Poważnym dla mnie przeżyciem a było to prawdopodobnie gdzieś w 1955 lub 1956 była sprzedaż pianina. Zawsze lubiłem słuchać jak Babcia gra. Sprzedaż spowodowana była bardzo trudną sytuacją finansową Dziadków

2004.01.23

W 1962 roku razem z siostrą urządziliśmy Dziadkom pięćdziesięciolecie ślubu, w tych czasach był to duży wyczyn, przez dom przewinęło się ponad 100 osób a na kolacji było około 60. Wspominam tą imprezę z sympatią przez jej niepowtarzalną atmosferę jak również możliwość jedyny raz w życiu obserwowanie jak pokolenie moich rodziców i dziadków potrafiło tańczyć mazura. Dziadek oczywiście przez całą noc robił za wodzireja i był absolutnie w swoim żywiole. Zabawa musiała być udana, bo sąsiedzi mieszkający pod nami przyznawali wielokrotnie, że woleli całonocne tańce rock end rola w wykonaniu kolegów i koleżanek Rysia i Joli niż jedno pięćdziesięciolecie Dziadków. Podobno nie tylko nie spali, ale jeszcze stracili żyrandol, który oberwał się od wstrząsów wywołanych tańcami starszych państwa. Przyznaję, że po odprowadzeniu ostatnich ciotek do tramwaju gdzieś między czwartą a piątą rano ledwie wlokłem nogi. Większość Ciotek i przyjaciółek Mamy w 1962 miała 42-48 lat a to pokolenie lubiło tańczyć ja nie mogłem przecież być gorszy od Dziadka i rówieśników mojego Ojca.

W 1963r Babcia złamała nogę w biodrze i od tego czasu chodziła bardzo słabo.

W 1964r. moja siostra wyszła za mąż ja wyjechałem do pracy i Dziadkowie wraz z moim Ojcem pozostali sami. Pod naszymi namowami to jest Joli i moją Ojciec mój zamienił mieszkanie i wraz z Dziadkami przeprowadzili się na ul. Francuską 1. W domu tym

mieszkała Ciocia Jadzia, więc Dziadkowie mogli zamieszkać w pobliżu już swojej jedynej córki. Dziadek zmarł w 1972r w ostatnich dwóch latach życia miał już kłopoty z chodzeniem, ale jak na starca powyżej 84r życia długo był sprawny.

W 1978 umiera nagle na skutek pęknięcia wrzodu w żołądka jedyny syn Cioci Jadzi i Wuja Andrzeja – Tadeusz. Ciocia utraciła swojego ukochanego jedynaka a mając poważną wadę serca nie wytrzymała długo straty i na początku 1978r umiera.

Sytuacja Babci była nie do pozazdroszczenia, bo mając troje dzieci wszystkie utraciła a na dodatek jeszcze traciła ukochanego wnuka. W 1980r do Babci sprowadziła się moja siostra z synami i ona też opiekowała się nią do jej śmierci w 1986r.

Pomimo bardzo trudnego życia i tylu tragedii Babcia zachowała do końca pogodę ducha i świetną pamięć. Niestety w czasie, kiedy mogła opowiadać mnie to nie interesowało i to co usłyszałem wypuszczałem drugim uchem. Oczywiście dziś tego żałuję i jest to też jeden z powodów, dlaczego piszę te wspomnienia.

2004.02.21

Czas chyba zająć się moimi rodzicami. Losy ich do daty ślubu w 1938r już opisałem a więc teraz dalsze ich losy. Jak pisałem wyżej w 1938r Dziadek kupił dla mamy Wilkonowo. Był to mająteczek kupowany od Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego a więc majątek przejęty przez Towarzystwo za długi, bardzo zaniedbany, bez sprzętazu, inwentarza i z bardzo zaniedbanymi polami. Aby to ruszyć Dziadek musiał tam dać ludzi i sprzęt z Osieka. Zdecydował też, że w pierwszym okresie będzie tam gospodarował jako rządcą Jerzy Czaplicki syn jego Brata.

Ojciec mój był bardzo ambitny nie chciał być na utrzymaniu Teścia, dodatkowo miał dobrą posadę w Lubcu stąd młodzi już w listopadzie 1938r osiedli w Lubcu. Niestety wojna już nadchodziła wielkimi krokami. W ostatnich godzinach sierpnia Ojciec został zmobilizowany i objął dowództwo chyba plutonu, no nie był to duży oddział. Oczywiście nie wiem jaki to był pułk i gdzie stacjonował, wiem, że ojciec jak wszyscy tamtego okresu miał poczucie bałaganu braku rozkazów i pełnej dezinformacji. Jako sukces określał tato to że udało mu się praktycznie cały oddział doprowadzić do ostatniej bitwy prawie w komplecie. Wynikało to z zastosowanego patentu mojego Ojca. W momencie pokazywanie się samolotów niemieckich Ojciec dawał komendę na koń. Przy pierwszych strzałach czy wybuchu bomby konie zrywały się do galopu i przebiegały w grupie do kolejnych zarośli stąd stale byli razem. Oddziały, które starały się ukryć się w zaroślach i trzymały konie w rękach rozpadały się szybko, bo przy wybuchach konie wyrzywały się ułanom i już były nie do odzyskania tym samym oddziały dekompletowały się bardzo szybko.

Tu mogę fantazjować - Oddział Ojca kierował się przez lubelskie w stronę Lwowa. Oczywiście nie mogę określić daty, ale Oddział znalazł się w strefie zgrupowania dowodzonego przez gen. Andersa i tu wziął udział w ostatniej bitwie tego zgrupowania musiało to być gdzieś w rejonie Krasnegostawu albo Zamościa.

O ile pamiętam Tato opowiadał, że Niemcy zabili mu konia i ostatni fragment bitwy ojciec spędził powożąc taczanką (Taczanka dwukonny wózek, na którym zamontowany był karabin maszynowy). Ostatecznie zgrupowanie zostało otoczone przez Niemców walka nie miała sensu stąd trzeba się było poddać. Rozbrojenie nastąpiło wieczorem, ale

było z konieczności nie bardzo dokładne a jeńcy bez żadnego sortowania zostali spędzeni na dużą polanę śródleśną.

Według oceny ojca polana była otoczona stosunkowo jeszcze rzadko wartownikami. Ale liczba tych wartowników wzrastała z każdą godziną. Widząc tą sytuacją Tato zdecydował się na ucieczkę, zdając sobie sprawę, że jak nadzieje się na wartownika to może dostać kulę. Wyczekał do pełnych ciemności i udało mu się przejść między wartownikami na wolość. Sprawa o tyle się komplikowała, że był w mundurze oficerskim miał przy sobie pistolet a to, co było najbardziej rozpoznawalne miał na nogach oficerki.

Tak, więc drugi raz w życiu oficerki stawały się dla ojca problemem. Szczęśliwie rankiem udało się Ojcu dojść do jakiejś wioski gdzie za oficerki dostał jakieś ciuchy i zwykłe buty a pistolet utopił w studni.

Cały powrót do Osieka gdzie była w tym czasie Mama a potem do Lubca pozostał dla mnie pełną tajemnicą nie przypominam sobie, aby poza wymianą oficerek Ojciec o czymś opowiadał, wiem że parę dni przesiedział w jakimś majątku w swoich znajomych, ale to wszystko. Ojciec musiał wrócić do Osieka gdzieś późną jesienią, bo na początku 1940 roku rodzice są już w Lubcu.

Po mimo nie pewnej sytuacji wojennej małżeństwo moich rodziców musiało układać się dobrze, bo już 15. 11.1940 roku urodziłem się w najbliższym od Lubca szpitalu w Łasku.

Niestety w tym czasie cały powiat Łaski został włączony do Rzeszy i dla Polaków po wyższych studiach nie było tam miejsca. Rodzice nie mieli innego wyjścia i musieli przedostać się do Generalnej Guberni. Tak, więc bezpośrednio ze szpitala Tato odebrał mnie i Mamę i jako dziesięciodniowego Rodzice przenosili mnie nielegalnie przez zieloną granicę. Przeprowa trwała wg opowiadania trzy dni w czasie, których Ojciec niósł mnie cały czas na rękach. Dość powiedzieć, że jak Rodzice dotarli do Dziadków do Warszawy na Mokotowską to ileś tam godzin ojciec nie mógł opuścić ani wyprostować rąk. Ręce rękami ale stan noworodka na skutek odparzeń był tragiczny, lekarz nie dawał mi dużych szans przeżycia a ze względu na kolor mojej twarzy i tyłeczka przez długi czas Rodzice i Ciocia Jadzia nazywali mnie karminopupkiem. Poza Mamą w odratowaniu mnie duże zasługi miała Ciocia Jadzia siostra mamy, która wielkim poświęceniem pomagała.

Na początku roku ojciec dostał pracę jako administrator w Walewicach u właścicieli majątku Pani Grabińskiej.

Ojciec mój miał dość trudny charakter więc stosunki z panią Grabińską układały się źle, i po mimo mediacyjnych działań Dziadka Czaplickiego zimą 1941r lub wczesną wiosną 1942r Ojciec musiał z Walewic odejść.

Walewice leżą między Łęczycą a Łowiczem to jest na terenie gdzie we wrześniu 1939r rozegrały się krwawe walki Armii Poznań dowodzonej przez gen. Kutrzebę z oddziałami niemieckimi tj bitwa nad Bzurą. W czasie pracy Ojca w Walewicach wiele ciał polskich żołnierzy było pochowanych w miejscach całkowicie przypadkowych. Niemcy nie byli zainteresowani organizacją cmentarza a wręcz byli temu przeciwni. W tej sytuacji Ojciec nocami wraz ze służbą folwarczną ekshumował i wywoził ciała żołnierzy z łąk na bzurzańskich a za wiedzą proboszcza dokonywał pochówku na cmentarzu w Bielawach. Po wojnie cmentarz ten został uporządkowany i istnieje do dziś. Wydaj mi się, że już w tym czasie ojciec współdziałał ze Związkiem Walki Zbrojnej.

2004.02.27

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności (szczegóły nie są mi znane) tuż pod Warszawą koło Jabłonny udało się mojemu Ojcu wydzierżawić niewielki folwarczek Stasinek – 5ha. Ziemi nastwiony na produkcję warzywną. Stasinek znajdował się na terenie obecnej wioski Buhnik , Ojcu o tyle się też udało, że jego kolega z Jagielloni pan Kazimierz Walewski musiał w przyspieszonym tempie opuścić swój majątek, z którego między innymi wyprowadził kilka krów. Pan Walewski krów tych nie chciał sprzedawać, bo były bardzo dobre i zostawił je ojcu na przechowanie. Zasad tej umowy nie znam, ale faktem jest, że głównie mleko od tych krów i trochę warzywa pozwoliły na spokojne gospodarowanie. Wspomniane wyżej krowy były istną manną niebiańską.

Ojciec mój w opinii Dziadka nie gospodarował zbyt dobrze. (choć trzeba wziąć poprawkę na Dziadka, który jak pisałem wyżej był świetnym gospodarzem o wspaniałym wyczuciu menedżerskim a gospodarujących znajomych i lub krewnych oceniał według swojej miary).

Moja siostra Jolanta urodziła się 25.03.1943r w Warszawie więc w czasie kiedy rodzice mieszkali w Stasinku. Jak pisałem wcześniej Tato osiadł w Stasinku prawdopodobnie wiosną 1942r a już we wrześniu 1942r ojciec objął funkcję dowódcy 7 kompanii AK w Jabłonninie, I batalionu, I rejonu obwód VII „Obroża”. Kompania w krótkim czasie podwaja swój stan ilościowy wynoszący w 1944r 237 ludzi.

W tej sytuacji Ojciec od początku miał bardzo mało czasu na prowadzenie folwarku.

Działalność organizacyjna i szkoleniowa AK pochłaniała go bez reszty. Ojciec miał wielkie uznanie u swoich podkomendnych, z którymi po 1956 ro utrzymywał kontakty a wiem, że w miarę swoich bardzo ograniczonych możliwości starał się pomagać tym z nich, którzy po 1946r byli aresztowani.

Utworzona kompania była największa w rejonie i chyba bardzo dobrze wyszkolona, bo jednym z jej stałych zadań było odbieranie zrzutów alianckich w lasach chotomowskich i przekazywanie broni z tych zrzutów do Warszawy. Ojciec osobiście dowodził odbiorem kolejnych zrzutów. Były to akcje wymagające bardzo silnych nerwów - godzina przylotu samolotu nie była znana, każdy warkot samolotów powodował zaktywizowanie się licznych patroli niemieckich. Polanę, na którą dokonywano zrzutu należało oświetlić a latarki do tego nie wystarczały trzeba było rozpalać ogień, co Niemcom też ułatwiało działanie. Czasem samolot nie nadlatywał wcale, czasem zbyt długo szukał ognisk, rzadko zdarzało się, aby pobyt w lesie i oczekiwanie trwało krótko. Jedna z tych akcji zamoczyła się szczęśliwie, choć niestety była tragiczna.

Sam zrzut przeszedł bez problemów wszystkie pojemniki zrzucone odnaleziono i załadowano na trzy wozy konne. Niestety jeden z pojemników przy upadku pękł i jego zawartość trzeba było w pośpiechu wrzucić na wóz na wierzch ułożono drzewo opałowe i wozy ruszyły w stronę Jabłonny. Po paru kilometrach oddział nadział się na silny patrol niemiecki. Na wozach byli tylko furmani z pomocnikami reszta oddziału osłaniała furmanki po bokach, ale lasem. Rozmowa z oficerem niemieckim przy pierwszym i drugim wozie przeszła bez przeszkód przy trzecim oficer włożył rękę między kłody i ku przerażeniu Ojca w świetle reflektora ukazał się ręką wyjmującą z wozu pistolet. Ojciec siedział na pierwszym wozie koło furmana. W tym momencie osolona zorientowała się

co się dzieje i natychmiast zaczęła strzelać, furmani dali koniom po bacie i galopem wszystkie trzy wozy wyjechały ze strefy ognia. Osłona podzieliła się na dwie grupy zostawiając z ręcznym karabinem maszynowym dwóch partyzantów, którzy w pierwszym momencie przygwoździli Niemców do ziemi reszta osłony wycofała się dalej zabezpieczając wozy. Tych dwóch młodych ludzi (pseudonimy tych młodych ludzi wyleciały mi z pamięci) blokowało Niemców do ostatniego naboju obaj zginęli, ale reszta oddziału z całym zrzutem dotarła do miejsca przekazania . Dziś w Jabłonce stoi pomnik na cześć tych dwóch młodych dzielnych ludzi. W ocenie Ojca tylko błyskawiczna orientacja osłony umożliwiła odwrót i nie skończyła się wystrzelaniem przez Niemców całego oddziału.

2004.03.08

Podstawowym celem oddziałów Akowskich w tym okresie było szkolenie i przygotowanie się do ewentualnych działań stąd też Ojciec miał stałe problemy z młodymi ludźmi, którzy rwali się do walki. Jedną z zasad konspiracji było to, że młody człowiek będący w jednym z oddziałów nie mógł równocześnie działać w innym. Dowództwo AK przyjęło tylko wyjątek dopuszczający wejście do jednostki Kedywu poszczególnych młodych ludzi mających za zadanie likwidację szpicli, aferzystów oraz osób zagrażających organizacji. Kilku podchorążych z oddziału Ojca tych najaktywniejszych ojciec odkomenderował do tej jednostki, co okupili wieloletnimi więzieniami z łaski władz komunistycznych i UB. Znałem jednego z tych ludzi niestety za pisanie wziąłem się za późno, bo jak zadzwoniłem dziś do jego mieszkania to jego żona powiedziała mi, że od dwóch lat nie żyje.

Ojciec opowiadała o paru akcjach wojskowych przeprowadzanych przez jego kompanię niestety akcje wyleciały i z głowy. Poza impresja, że między innymi rozbili jakiś magazyn broni AL- u. Jednak główną działalnością to był odbiór zrzutów i szkolenie.

Działania w rejonie Legionowa i Jabłonce o tyle były utrudnione, bo na tym terenie był zlokalizowany obóz jeńców rosyjskich, w którym Niemcy rekrutowali i szkoli ochotników do dywizji Własowa. Dywizja ta była rekrutowana z jeńców rosyjskich a wsławiła się między innymi strasliwymi mordami przy likwidacji powstania warszawskiego.

Rekrutacja do tej dywizji była prowokowana nie ludzkimi warunkami i głodem. Obóz był mocno osłaniany jednostkami niemieckimi.

Na dwa dni przed wybuchem powstania na teren Jabłonce, Buchnika i Legionowa weszła jedna z lepszych niemieckich dywizji pancernych „Herman Gering” rozstawiając kopanie czołgowe na całym terenie, między innymi jeden z czołgów stanął tak, że między gąsienicami znajdował się jeden z magazynów broni, szczęśliwie wyjechał potem swoim śladem więc magazynu nie zawalił.

Ojciec zdając sobie sprawę, że rozkaz rozpoczęcia powstania może pojawić się lada chwila wysłał do dowództwa pilny raport o nadejściu dywizji niemieckiej. Datę i godzinę wysłania tego raportu znałem, lecz nie ma jej w mojej pamięci. Wygląda jednak na to , że raport ten do Bora- Komorowskiego nie dotarł.

Na dobę przed godz. W. Ojciec otrzymał rozkaz z terminem rozpoczęcia powstania. Rozkaz ten był zaszyfrowany jakimś bardzo prostym szyfrem i napisany był na małej bibułce. Jak Tato opowiadał, bardzo nierozważnie włożył tą bibułę między papiery w

portfelu i poszedł na punkt kontaktowy. Idąc z tym niesamowicie ważnym dokumentem nadział się na patrol niemiecki, który zrewidował go dokładnie, szczęśliwie bibułka przykleiła się do jakiegoś z papierów i Niemiec jej nie zauważył. W opowiadaniu Ojca to przeszukanie, to była jedna z dłuższych chwil w jego ówczesnym życiu.

Znając dokładnie sytuację Jabłonny to jest, obecność nowo przybyłej dywizji pancerniej oraz istnienia obozu Własowców Ojciec do spółki z dowódcą II Batalionu podejmują decyzję nie rozpoczynania powstania w tym rejonie i ataku na oddziały niemieckie stacjonujące w Jabłonce. Decyzja ta musiał mojego Ojca dużo kosztować, bo było to przecież nie wykonanie rozkazu. W ocenach jego podkomendnych wydawanych w latach 60-70 decyzja ta uratowała Jabłonnę przed kompletnym zniszczeniem i wymordowaniem mieszkańców. Z perspektywy lat ta i podobne decyzje podjęte przez dowódcę rejonu Praga uratowały prawą stronę Wisły i przed całkowitym zniszczeniem tego rejonu.

W związku z decyzją o nie rozpoczęciu powstania na Pradze wycofał się stamtąd dobrze uzbrojony oddział VI obwodu Praga. Oddział ten parę dni stacjonował na terenie działania kompani Taty. Zgodnie z planem Burza, Ojciec ze swojej kompani wydzielił oddział złożony z samych kawalerów który wraz z oddziałem praskim został włączony do Batalionu Legionowskiego, który w ramach akcji niesienia pomocy Warszawie przeprowadził się przez Wisłę i wszedł w skład „Grupy Kampinos”. Ojciec miał dowodzić tym oddziałem.

Ze względu na bardzo silny atak kamieni nerkowych, przy którym stracił przytomność i parę dni „gryzł ściany z bólu” oddział wyszedł już bez Ojca.

13.03.2004

Trudno mi określić , w którym momencie ale przez teren Jabłonnę przechodziły do Kampinosu resztki 27 dywizji AK z Wileńszczyzny sam dowódca oddziału Dolina był w ścisłym kontakcie z moim Ojcem stąd też Tato dokładnie wiedział czego można spodziewać się od Rosjan (Dla tych co nie na ten temat niewiedzą – 27 dywizja AK rozpoczęła powstanie w Wilnie pomagając szturmującym Rosjanom. Współpraca w tym okresie układała się między dowództwem Rosyjskim a dowództwem AK bardzo dobrze, bezpośrednio po wyparciu Niemców z Wilna Rosjanie aresztowali dowództwo AK i większość dowódców rozstrzelali natomiast żołnierzy jak było wywozili na Sybir skąd wróciło ich do Polski po 1956r bardzo niewielu. Reszta wymarła w nieludzkich warunkach w gułagach) Dolina ze swoim oddziałem przeszło do lasów Kampinoskich gdzie walczył w czasie powstania potem przeszedł przez kielecczynę a na początku 1945r nie atakując Niemców przeszedł do Niemiec wszedł w strefę Amerykanów. Propaganda PRL stale twierdziła, że był to kolaboracja i wieszała psy na 27 dywizji AK ile mogła.

Wracając do losów batalionu, Legionowskiego – oddział ten operował na terenie Kampinosu przez okres powstania warszawskiego. Z oddziału wydzielonego z kompanii Taty zginęło dwóch żołnierzy. Obaj zginęli pod Jaktorowem w czasie przebijania się Zgrupowania Kampinos przez tory kolejowe bronione przez pociąg pancerny. W czasie tego przebijania zginęło wielu żołnierzy , z wielu wspomnień wynika, że duże straty po stronie polskiej wyniknęły z błędnych decyzji Dowódcy Zgrupowania majora „Okonia”. On sam zdaje się też wtedy zginął.

Z tego okresu tułaczki w czasie przejścia frontu i pobytu w Sochaczewie pamiętam parę faktów. Są to wyrywkowe impresje i tak je przedstawię.

Późny wieczór siedzimy w piwnicy w duże grupie osób z naszej rodziny Mama, ja i Jola, ojca nie ma z nami czuje się duże napięcie, do pomieszczenia wchodzi grupa umundurowanych mężczyzn z bronią, kilku ma pasy z nabojami przełożone przez piersi, chyba buli w hełmach, coś mówią podniesionymi głosami i tyle impresja. Fakt drugi ojciec siedzi za Matką jest wyraźnie poruszony i opowiada, że stał przy drodze z oficerem rosyjskim a na drodze leżał ranny ale przytomny żołnierz, drogą jadą czołgi, ojciec zwraca się do oficera żeby rannego zabrać z drogi, on odpowiada „naplewat” i czołg rannego przejeżdża. Fakt trzeci musiało to być w lutym 45 już w czasie przejazdu przez Płock – podjeżdżamy wozem nad rzekę obok rozbitego mostu, tam przewoźnicy przekładają rzeczy na sanie i przeprowadzają sanie po łodzi na drugą stronę rzeki a my całą czwórką w asyście dwóch przewodników niosących poziomo długie kije przechodzimy za saniami z tej przeprawy jako wrażenie pozostał strach. Szczęśliwie nic się nie stało. Tak dotarliśmy do Warszawy. Rodzice zamieszkali na Bielanach przy ul. Swarzewskiej 65. Tacie udało się wynająć tam dwa pokoje z kuchnią i łazienką.

Może jeszcze impresja z Płocka chyba była to zima z 1945/46 wieczór oboje z Jolą jesteśmy już w łózkach nagle dudnienie w drzwi, mama wpada do pokoju gdzie leże i pod materac wciska jakieś zawiniątko polecając bardzo twardo, że mam nic nie mówić i leżeć cicho. Otwierają się drzwi, wchodzi paru umundurowanych, bardzo głośno mówią coś do mamy grzebią w szafie po czym wychodzą, w pamięci pozostało mi, że mama bardzo się do mnie przytuliła i płakała. Jak wiem z późniejszych opowiadań byli to Rosjanie, których działon artyleryjski stał przed naszym domem.

17.03.2004

Koniec roku 1946 i początek 1947 był dla Rodziców okresem w miarę spokojnym. Pod koniec roku Mama zaczęła chorować jak się okazało na nieuleczalną wtedy chorobę odmianę nowotworu to ziarnicę gruczolów. Ojciec robił co mógł aby Mamę uratować niestety medycyna była bezradna i 6.08.1949 Mama zmarła. W tym czasie miałem niepełne dziewięć lat a Jola siedem z kawałkiem. Ojciec ze śmiercią Mamy przez wiele lat nie potrafił się pogodzić, dodatkowo chyba idąc śladem swojego Ojca chciał dzieci chować sam, oba te fakty spowodowały, że do 1964r więc przez 15 lat nie ożenił się.

Lato i jesień 1949 była tragiczna dla Taty. W tym czasie władze doszły do wniosku, że należy zlikwidować Państwowe Nieruchomości Ziemskie popularnie zwane PNZ a w to miejsce utworzyć Państwowe Gospodarstwa Rolne na czele z Ministerstwem PGR. W tamtych czasach likwidacja nie przebiegała normalnie, należało dyrektorom wtoczyć procesy wykazać, że są przestępcami i oczywiście skazać. Naczelnym dyrektorem PZN był wtedy wspomniany przeze mnie dużo wcześniej pan Mainge a jego zastępcą pan Potworowski. Ojcu jako kierownikowi działu kredytów w Baku Rolnym, PNZ-ety podlegały pośrednio, bo zrozumiałe jest, że gospodarstwa rolne nie mogą gospodarować bez kredytów. Nie mniej Urząd Bezpieczeństwa chcąc doprowadzić do skazania szefów PNZ dobrał się do Taty,ciągając go na wielogodzinne przesłuchania tak w godzinach pracy jak i popołudniami. Minimum dwukrotnie został zabrany prosto z pracy na przesłuchania 48 godzinne. Wiem, że był ostrzegany przez tych przemyśłych panów, że dzieci mogą wylądować w domach dziecka itp. W domu mieliśmy też rewizje na pewno jedną ale może nawet dwie. Na tym tle może wyglądać komicznie pretekst pierwszej

rewizji, szukanie dokumentów z działalności Taty w handlu półszorkami w Płocku w roku 1945.

Pretekst był grubo szyty, rewizję przeprowadzono pod nieobecność Ojca, wszystko powywalano: szafy łóżka szuflady, gdy rewidujący właściwie skończyli Ojciec wszedł do domu, powiedziano mu wtedy, że sprawa dotyczy półszorków. Tato podszedł do biurka i w pierwszej szufladzie na wierzchu leżał komplet dokumentów związany i podpisany. Ub-owcy wzięli papiery bez żadnego zainteresowania a po jakimś czasie (Chyba roku) zwrócono je bez żadnych śladów otwierania. W obu rewizjach szukający nic nie znaleźli.

Ostatecznie ojciec nie został aresztowany ani sądzony, ale szykany UB trwały dłuższy czas. Decydenci doprowadzili do procesów dyrektora PNZ ci bardzo uczciwi, pracowici i nastawieni patriotycznie ludzie za naprawdę bardzo uczciwą i ciężką pracę dostali sześć wyroków śmierci, klika dożywoci i kilka wieloletnich wyroków. O ile wiem żadnego z tych wyroków nie wykonano, ale ludzie Ci przesiedzieli się do 1956r często parę lat w celach śmierci. Sam Maringe i Potworowski wyroków śmierci nie mieli ale chyba dożywocia. Zarzuty, które im stawiano to najczęściej szpiegostwo, było to łatwe oskarżenie, bo w latach 1946-1948 przychodziły dostawy z UNRA z pomocą dla Polski dotyczące tak środków spożywczych jak i środków do produkcji, a żeby te transporty koordynować trzeba było uzgadniać dostawy z przedstawicielami UNRA.

Z opowiadań Ojca wynika, że śledczy UB wiedzieli już dokładnie o jego działalności Akowskiej ale z kłopotów w tym zakresie wybawił go któryś z jego podkomendnych bo w jednym z przesłuchań dochodzeniowy wygadał się, że mają pochlebne opinie z Jabłonny. Ojciec potem nawet wiedział, który z jego podwładnych mu te pochlebne opinie wystawił.

Jak pisałem wcześniej Mama umarła na początku sierpnia a z dniem 1 września Tato został zwolniony z Banku z tz. Czarnym biletem co oznaczało, że nie może być zatrudniony w państwowej instytucji. Praktycznie równało się to z brakiem możliwości pracy, bo wszystkie instytucje były państwowe.

Szczęśliwie w tym czasie rozpoczęto opracowywanie planów urzędniowych dla PGR ojcu od czasu do czasu udawało się taki plan dostać do pracowania. Plany te opracowywał albo pod własnym nazwiskiem albo częściej pod nazwiskami, któregoś z kolegów bardzo często byłych Jagiellonów. Dawał oto jakiś niewielki zastrzyk gotówki ale Tato tkwił w długach i z konieczności musiał od czasu do czasu sprzedawać resztki biżuterii Mamy. Sytuacja ta trwała do jesieni 1951 kiedy to prof. Kanafjski ówczesny dyrektor Instytutu Mechanizacji i Elektryfikacji Rolnictwa będąc bardzo „mocny” partyjnie zdecydował się wziąć ojca na kierownika Administracyjnego.

Na stanowisku tym Tato utrzymał się ponad rok, ale i tu UB doszło do wniosku, że Tato nie może pracować na tym stanowisku i kadrowa zwolniła go w trybie natychmiastowym z wyjaśnieniem o braku możliwości pracy na stanowisku kierowniczym człowieka, który działał w AK.

Profesor był w tym przypadku jeż bezradny.

31.03.2004

To, że Tato już miał przez rok jakieś zatrudnienie ułatwiło. Prof. Listowskiemu zatrudnienie Taty w Instytucie Uprawy i Nawożenia Gleby. W instytucie Tato objął stanowisko inspektora Zakładów doświadczalnych. Stanowisko to widać już UB nie kuło bo więcej z tą instytucją nie miał Tato kontaktów. W instytucie tato przepracował do 1958r. W 1958 Prof. Listowski przeszedł na stanowisko dyrektora V oddziału (rolnictwo) Polskiej Akademii Nauk , Tato pracował do przejścia na emeryturę w roku 1973.

Wchodząc do Akademii Tato zdawał sobie sprawę, że chcąc tam pracować musi obronić doktorat. W więc w 1959 rozpoczął pisanie. Doktorat został napisany z olbrzymim wysiłkiem i obroniony w 1962r u prof. Mantoyffla na wydz. Ekonomiki SGGW.

Smaczku dodaje to, że profesor był kolegą Ojca ze studiów a będąc nieprawdopodobnie wymagającym wycisnął z Ojca ostatnie poty.

Przez cały okres od 1949 do 1964 sytuacja finansowa naszej rodziny była bardzo trudna ale powoli poprawiała się. Najtrudniejszy okres to lata 1949-1959. Przy bardzo niskich pensjach ratunkiem były plany urządzeniowe PGR na które od czasu do czasu udawało się Ojcu dostawać zlecenia.

W roku 1964 w czerwcu moja siostra wychodzi za mąż za Henryka Piotrowskiego i w tym samym miesiącu kończę studia i wyjeżdżamy z Warszawy.

Ojciec w sprawach domowych był całkowicie bezradny potrafił ugotować herbatę , usmażyć befsztyk z polędwicy i usmażyć jajecznicę (w tym okresie nie był wyjątkiem w tych sprawach) na dodatek miał bardzo wiele nietypowych przyzwyczajęń.

W tej sytuacji oboje z siostrą już od 1962r napuszczaliśmy ojca aby zmienił mieszkanie i zamieszkał z Dziadkami w tym samym domu gdzie mieszkała siostra naszej Matki w równocześnie mieliśmy cichą nadzieję, że Tato ożeni się. Już nawet było blisko ale okazało się, że potencjalna kandydatka na nowotwór i w 1962r zmarła.

Ojciec miał wieloletnią znajomą wdowę z jednym synem p. Morawską moment nasze to wyjścia z domu przyspieszył decyzję i w grudniu 1964 po 15 latach wdowieństwa Tato ożenił się.

W międzyczasie zmienił mieszkanie przenosząc się razem z Dziadkami na ul Francuską 1 m 9 gdzie przez ścianę mieszkała Ciotka Krąkowska (siostra Mamy) z mężem i dorastającym synem Tadeuszem.

Bezpośrednio po ślubie tato zamieszkał w mieszkaniu żony na u. Pługa. Przez cztery lata małżeństwo układało się dobrze potem niestety zaczęło się psuć. Ostatecznie Tato rozstał się z moją macochą i na rok przed śmiercią zamieszkał w domu rencisty Polskiej Akademii Nauk w Konstancinie. W psuciu tego małżeństwa zasłużyło się rodzeństwo mojego Ojca: Marychna, Teresa i bardzo mocno Antek. Faktem jest, że jak pisałem wyżej Tato był w miarę ubywających lat coraz większym dziwakiem i w tym małżeństwie sam popełnił wiele błędów. Tato zmarł w Konstancinie 6 czerwca 1977r.

W latach drugiego małżeństwa mojego Ojca nie było mnie w Warszawie stąd moje stosunki z macochą były poprawne ale chłodne natomiast Jola uzyskała od niej bardzo

dużo serca w okresie dla Joli tragicznym to jest w czasie kiedy Henryk jej Mąż stracił nogę. Jola bliskie stosunki z Janulą utrzymywała aż do jej śmierci w 1996r.

Na koniec tych wspomnień wydaje mi się, że powinienem podać parę faktów z pogrzebu ojca. W przeddzień pogrzebu zgłosił się do mnie podwładny Taty z AK z prośbą, że Akowcy z Jabłonny chcą postawić wartę przy trumnie w kościele i na cmentarzu wyraziłem na to zgodę choć takich demonstracji nie lubię, dopiero w kościele stwierdziłem jakie to było wielkie przeżycie dla tych podkomendnych wtedy już ludzi mających sporo powyżej 50lat. W kościele i na cmentarzu warty honorowe trwały cały czas a brało w tym udział dwie zmiany po czterech ludzi, duża grupa byłych podwładnych też wyróżniała się w kościele. W Kościele byłem zbyt zdenerwowany aby oceniać ilu ich było, z tej grupy znałem tylko jednego człowieka. O tyle było to godne podziwu, że ludzie Ci skrzyknęli się praktycznie w ciągu 48godzin.

Na pogrzebie były mowy z ramienia Jagielloni – p. Jan Higersberger, z ramienia PAN przełożony bezpośredni Taty pan doc. Nowicki. Generalnie Ojciec musiał być dość znany i chyba lubiany bo w kościele św. Jakuba w czasie pogrzebu było dużo ludzi a przecież był to pogrzeb człowieka będącego od paru lat na emeryturze i właściwie nie utrzymującego w ostatnich latach życia kontaktów towarzyskich.

Na tym mógłbym skończyć opisy i dać sobie i czytelnikowi spokój ale podejrzewam, że jeżeli ten tekst będzie kiedykolwiek wzbudzał zainteresowanie to nastąpi to w momencie kiedy już sam będę pamiętał bardzo mało albo nawet mnie już nie będzie na tym świecie. Wtedy może pojawić się żal, że nie spróbowałem pociągnąć rodzinnych wspomnień z mojego pokolenia.

Muszę się jednak zastrzec, że o ile wszystko co napisałem powyżej starałem się pisać w miarę obiektywnie o tyle dalszy tekst na pewno będzie subiektywny i nie będzie też spowiedzią.

24.04.2004

Jakoś nie mogę zabrać się do moich wspomnień jak siadam to natychmiast uciekam w czasy rodziców i dziadków, dziś muszę jednak zacząć.

Pierwsze trzy fakty mojego życia dotyczą okresu mieszkania moich rodziców w Stasiku pod Jabłonną. Czasowo dwóch wspomnień nie potrafię określić trzeci niestety już bardzo dokładnie.

Fakt pierwszy przypominam sobie, że stoję na trawniku (lub po nim idę) przede mną jest koza z rogami, w pewnym momencie koza bierze mnie na rogi i przewraca. Obok trawnika stoi jakiś człowiek, który się z tego śmieje. Nigdy nie doszedłem kto to był.

Wspomnienie drugie stoję przed gankiem domku, w którym mieszkamy, na ganku Mama pierze coś w bali lub dużej miednicy, przed gankiem dużo motocykli z przyczepami, koło których kręcą się żołnierze (niemieccy) są w błyszczących płaszczach i mają hełmy i karabiny.

W sumie ta scena nie pozostawiła uczucia strachu, jakaś impresja ale dlaczego nie wiem.

Obie scenki musiały być w okresie jak byłem trzy może trzy i pół latkiem. Ostatnie wspomnienie ze Stasinka to moment – jesteśmy z rodzicami na łące przy wale Wiślanym,

obok nas stoi stóg okrągły (siana). Na stóg ten wchodzi mój ojciec z lewej strony widać wielką chmurę i ojciec patrzy w tamtą stronę. Były to dymy na palącą się w czasie powstania Warszawą. (Podobno ale to już wiem z opowiadania , że zapytałem czy tato poszedł patrzeć czy Dziadkowie na się nie spalą w Warszawie) Pamiętam wyraźnie, że obserwowana chmura (dymy) była bardzo a bardzo potężna. Data jest więc dokładna sierpień 1944 Powstanie Warszawskie.

29.04.2004

Wyjazdu ze Stasinka nie kojarzę, następna impresja pochodzi jak dziś wiem z rejonu Sochaczewa. Duża piwnica jest w niej dużo ludzi piwnica dobrze oświetlona. Obok mnie jest Mama i Jola, drzwi się otwierają i z dużym hałasem wchodzi kilku Rosjan z bronią na piersiach z taśmami nabojęw przewieszonym na krzyż przez pierś. Dziś wiem, że kogoś szukali i po chwili wyszli. Pamiętam strat tego momentu byłem mocno wtulony w nogę mamy, Ojca w tym czasie nie było z nami, wraz z innymi mężczyznami został oddzielny przez Rosjan i zgromadzono ich na jakimś podwórzu a podobno Rosjanie zastanawiali się ilu jet między nimi szpiegów do rozstrzelania. O ile wiem rozstrzelań wtedy nie było.

6.05.2004

Z tego zatrzymania opowiadał Tato następujące wrażenia „po wypuszczeniu przez Rosjan stał koło jakiegoś oficera rosyjskiego. Na drodze niedaleko od nich w chwilę wcześniej nastąpił wybuch i na jezdni leży ranny żołnierz rosyjski. Człowiek ten żyje ale nie może się ruszyć. Drogą jedzie kolumna czołgów, ojciec zwraca się od oficera, że tego rannego trzeba zdjąć z drogi usłyszał tylko= to ranny h.... z nim i czołg rannego zgniotł.

Kolejne moje wojenne a właściwie powojenne wspomnienie dotyczy Płocka w którym pewno mieszkaliśmy w lutym a najdalej w marcu 1945r.

Jest wieczór okna zabite deskami i z jakimiś kawałkami szyb jest późny wieczór, wiem, że z okien widać na podwórzu stojące działa przeciwlotnicze i wiem, że na podwórzu kręcą się Rosjanie. Leżę już w łóżku słychać rumor i w tym momencie Mama wyraźnie przestraszona przynosi mi do łóżka zegarek budzik i mówiąc, że mam nic nie mówić chowa ten budzik pode mnie pod materac. Rosjanie dudnią w drzwi a po otwarciu wchodzi do pokoju o coś pytają dość ordynarnie zaglądają do pokoju w którym leżę i wychodzą. Wspomnienia z Płocka to kolejne impresje - jak z basenu ogrodowego (był nie głęboki) wyciągnąłem jakieś małe dziecko, które w padło do wody i wiem, że byłem mocno chwalony , pamiętam też jak rodzeństwo Zgliczyńskich pobiło się ze sobą a obecnie bardzo znany endokrynolog prog. Zgliczyński uciekł na dach szopy a jego rodzeństwo ciskało w niego grudami ziemi. W tej awanturze byłem tylko obserwatorem.

Ostatnie wspomnienie Płockie to moje wielkie zdziwienie jak stojąc w jednym z rogów pokoju widzę jak Jola ze szczoteczką i szufelką próbuje zamiatać podłogę bardzo dziwnie zataczając się i potykając. Rodzice są wyraźnie zdziwieni, Dziś wiem, że moja siostrzyczka dorwała się do wiśni po zlanu nalewki i po prostu urnęła się tymi wiśniami.

Kolejne wspomnienia dotyczą omówione w poprzedniej części przeprowadzi z Płocka do Warszawy. W szoferce siedział kierowca, Mama i nas dwoje, wjazd w bramę fortu w Modlinie i huk spadających rzeczy a następnie powtórne ich utykanie. Utkwiło mi też w pamięci przejście po lodzie z Pragi do Warszawy (Dotyczy przejścia w lutym 1945 do Płocka) Najpierw dyskusje Mamy z mężczyznami stojącymi na brzegu potem

przeładunek rzeczy z samochodu na sanie a potem wyraźny niepokój Mamy czy uda się szczęśliwie przeprowadzić rzeczy na drugą stronę a potem niepewny marsz po lodzie już prawie po ciemku, strach udzielił się i mnie i Joli. Przeprawa ta odbyła się w pobliżu któregoś ze zwalonych mostów chyba Kierbedzia ale tego nie jestem pewien.

Pierwszy mój kontakt z nowym mieszkaniem na Swarzewskiej 65 skończył się przygodą, po prostu oglądając dokładnie nowe lokum stwierdziłem, że częścią mieszkania jest duży taras koło, którego rosła sosna z „piękną gałązką”, którą należało zerwać. Wychyliłem się na zewnątrz i z wysokości ponad dwóch metrów zleciałem do ogródka. Nic mi się nie stało po płocie wdrapałem się z powrotem u dawałam, że sprawa nie istnieje, ale wspomnienie zostało.

W tym czasie wyprawa z Bielany do Śródmieścia była ni tylko dla dzieci przeżyciem. Przykładowo ze śródmieścia wyjeżdżało się ciężarówką z Placu Trzech Krzyży kierowcy zwoływali pasażerów okrzykami „Na Żoliborz” a ruszali wtedy jak już nikt nowy nawet nogi nie mógł wstawić na pakę. Trasa prowadziła Nowym Światem, Miodową do zrujnowanego Dworca Gdańskiego tam przechodziło się przez tory (wiadukt był zburzony) i wsiadało się na furmankę a w 1947 lub w końcu 1946 w tramwaj o nr 15, który jechał na Bielany po odbudowie wiaduktu nad torami [przy dworcu Gdańskim stopniowo przedłużono linię tramwajową przez Miodową do placu Trzech Krzyży. Jednak po przebicciu ulicy obecnie Andersa (poprzednio Nowotki) tramwaje z Miodowej skasowano i puszczono je dzisiejszą Andersa placem Bankowym do Marszałkowskiej a na Miodową wpuszczono trolejbusy.

W 1946 i praktycznie do 1950r Bielany to niewielka dzielnica willowa otoczona ruchomymi wydmi. Na Wydmach tych w początkowym okresie leżało dużo broni, nabojów łusek a istniało prawdopodobieństwo, że min w początkowym okresie stał tam nawet rozbity czołg. Oczywiście mieliśmy zakaz chodzenia na te pola ale pewnego razu poszliśmy bawić się tam z Jolą, sprawa wykryła się i Matka poleciła się na położyć na tapczanie po czym ścierką czy jakim paskiem spuściła na lanie, nie wiem czy celów czy przez przypadek położyłem się bliżej stojącej Mamy w efekcie do dziś dnia Jola nie może mi darować, że byłem cwany bo leżąc bliżej oberwałem mniej.

W rok po przyjeździe do Warszawy we wrześniu 1947r zostałem zapisany do szkoły podstawowej nr 5 znajdującej się przy ulicy Zuga. Z kolegów i koleżanek pamiętam nazwiska Mozdyniewicza, Nowackiego, Pyca, Zamojską reszta wyleciała mi z pamięci. Z nauczycielek utkwiło mi w pamięci nazwisko pani Iwanickiej a to z tego powodu, że stale miała bardzo silne bóle głowy i stale wysyłała nas do apteki po proszki z krzyżykiem , których łykała olbrzymie ilości . Olbrzymi respekt czułem przez panią od matematyki ale niestety nazwiska jej nie pamiętam.

W ziemi 47/48 Bank Rolny, w którym pracował Tato zorganizował choinkę dla dzieci, w której ochotnicy mogli recytować wierszyki oczywiście wyrwałem się jako pierwszy aby wygłosić wierszyk – Płacze pani Słowikowa – ten występ to pełna kompromitacja Mama musiała mi podpowiadać cały tekst. OD wyrywania się jako pierwszy ta przygoda mnie nie wyleczyła i stale się wyrywam ale kompromitacja pozostała w pamięci jako bardzo wstydlive przeżycie.

7.04.2004

Latem 1947r wyjechaliśmy na kolonie do Rabki chyba z Mamą. Z wrażen to tylko to pozostało, że pociąg szedł bardzo długo. Od Krakowa bardzo dymił a stacja w Chabówce miała bardzo dużą ilość torów i wagonów kolejowych o kształtach, które dziś można oglądać tylko w muzeum.

W trakcie jakiejś rozgrywki piłkarskiej wywróciłem się i złamałem nogę. Byłem z tego bardzo dumny, bo do szkoły we wrześniu poszedłem z laską. W 1948r należałem do zuchów późną jesienią drużna zorganizowała zbiórkę drużyny w jednym z mieszkań. Dla dzieci pełnie przeżycie – na podłodze świeczka my siedzimy w kręgu drużna czyta opowiadanie (dziś wiem, że były to opowiadania Kamińskiego). Potem coś w rodzaju przyrzeczenia zuchowego następnie składanie podpisów gęsim piórem i własną krwią pod tekstem tego przyrzeczenia. Teks zostaje zwinięty i włożony do rogu krowiego, otwór drużna załata stearyną ze świeczki i całą drużyna w milczeniu wyszła na pole aby nasz skarb zakopać.

Niestety była to już ostatnia zbiórka pierwszego okresu harcerstwa. Drużna powiedziała ku naszemu zaskoczeniu, że zbiórek więcej nie będzie chyba nie tłumacząc dla czego.

W parę tygodni po tym całą klasą zostaliśmy wpisani do OH – Organizacji Harcerskiej. Była to organizacja całkowicie sterowana przez PPR. Zbiórek tej organizacji nie pamiętam ale wiem, że od czasu do czasu musiałem paradować w białej koszuli z czerwoną chusta.

Raz nawet zostaliśmy zaprowadzeni chyba na zjazd zjednoczeniowym PPS i PPR na politechnikę Warszawską gdzie dumnie wkroczyliśmy na hol pomiędzy siedzących delegatów tam odstaliśmy jakiś czas nic nie rozumiejąc i wróciliśmy do domów. Dużo później bo w 1950r OH perfidnie ustawiło swoje przyrzeczenie i rozdawanie znaczków bo w dniu pierwszej komunii naszej klasy tyle, że w południe. Oczywiście na tym nie byłem, w efekcie znaczek dostałem dopiero w 1952r a nieobecność na tej uroczystości wypominano mi często, praktycznie do momentu przyznania znaczka.

Wolna Europa i Głos Ameryki lub BBC były słuchane przez ojca dość często choć nie codziennie. Moje wielkie przeżycie z tą stacją to próba złapania transmisji z koronacji królowej angielskiej. ZE dwie godziny próbowałem złapać, którąś z tych stacji. Niestety zagłuszanie było mocniejsze od mojej niewprawnej ręki i bardzo mało usłyszałem ale wrażenie pozostało do dziś. Na naszym radiu łapało się najłatwiej Głos Ameryki pozostałe stacje łapało się bardzo trudno.

21.05.2004

Od 1947r rodzice przyjęli gospość 17-letnią Lilkę, która początkowo zajmowała się domem a w czasie choroby mamy i po jej śmierci prowadziła dom i opiekowała się nami. Pamiętam co piątkowe prania w bali na metalowej tarze, dużą ręczną wyżymaczkę, kotły z gotującą się na kuchni bielizną i mnóstwo pary w kuchni. Już wtedy Lilka chodziła w kolejki na dobrych parę godzin aby zrobić jakieś zakupy. Nie rzadko musiał stać całą noc. Nie dam jednak głowy czy te kolejki to jeszcze 1949r czy dopiero 1950.

Mamę pamiętam bardzo słabo, poza opisanymi wyżej faktami w pamięci pozostała mi impresja jak Mama tłumaczyła nam przy pomocy świeczki i dwóch piłek obroty księżycy

koło ziemi .Pamiętam jakieś karcenia za nieporządek oraz ostatnie spotkanie z Matką przed jej wyjazdem do szpitala kiedy już wiedziała, że jedzie umierać. Oczywiście nie pamiętam co do mnie mówiła ale ta atmosfera bardzo smutnego niepokoju powraca. Tym boleśniej, że nie wytrzymałem tego czekania na karetkę i uciekłem w pola skąd obserwowałem już tylko przejazd karetki z której chyba Mama mi pomachała. Dopiero wiele lat potem zrozumiałem co musiała przeżywać kiedy mnie nie było a ją wnoszono do karetki.

Wiem, że Mama nie pozwoliła aby Tato przyprowadzał nas do szpitala chciała aby pozostała w naszej pamięci nie jako umierająca i miała rację choć dopiero dziś wiem ile musiało ją to kosztować. Ostatnie trzy tygodnie jej życia upłynęły mnie i Joli na koloniach w Świdrze. Ojciec cały ten okres praktycznie Tato przesiedział w szpitalu. Siódmego sierpnia przyjechała po nas siostra Mamy Ciocia Jadzi dopiero na Żoliborzu a więc na pięć minut przed wejściem do domu powiedziała nam, że Mama nie żyje. Oboje z Jolą jednak czuliśmy co się stało bo podróż tą ze Świdra pamiętam dość dokładnie. Wspomnienia pogrzebu nie muszą być dla czytelnika istotne więc je pominę tyle tylko powiem, że do dziś dnia mam przed oczyma fotograficzny oraz zamurowywanie grobu i konkretnych kuzynów i kuzynki oraz ich reakcji i zachowań.

Wracając do spraw weselszych wakacje 1950 i 1951 spędziliśmy u Dziadków w Słupsku były to bardzo miłe wakacje, które wspominam zawsze bardzo dobrze. W pierwszym roku duża część tego pobytu spędziliśmy w majątku, w którym gospodarował dziadek to jest w Damnie a drugi pobyt to już wyłącznie Słupsk.

W 1951r Tacie udało się doprowadzić do wyprowadzenia się z naszego mieszkania współlokatorów a tym samym uzyskać nakaz kwaterunkowy dla Dziadków na ten opróżniony pokój (w tym czasie obowiązywał przydział metrażu dla każdego mieszkańca bardzo ostro respektowany choć zawierał wiele furtek – jedną z nich było to, że Ojcu udało się wytargować przydział metrów jako pomieszczenia do pracy i na tej zasadzie uzyskał prawo zameldowania 6 osób w trzech pokojach. Ojciec, ja z siostrą, Dziadkowie i Lilka, to, że Lilka nie była członkiem rodziny i musiała mieszkać w kuchni nikogo nie obchodziło bo znam przypadku i to nie rzadkie, że 5-6 osób mieszkało w jednym pokoju) Na początku 1952r lub jeszcze 1951 Dziadkowie zamieszkali z nami.

Zasadniczo Babcia prowadziła dom i nadzorowała Lilkę. Panie zdecydowanie się nie lubiły ale z konieczności współpracowały ze sobą. Chyba w 1955 Lilka wyszła za mąż i wyprowadziła się, od tej pory dom prowadziła Babi przy moim i Joli współudziale.

O ile moje stosunki z Dziadkami układały się dobrze o tyle Jola nie znajdowała wspólnego języka i z Ojcem i Babcią. Sytuacja ta spowodowała, że w 1955r została wysłana do szkoły z internatem Zgromadzenia Sacre Cuere koło Pobiedzisk. Pobyt ten to epopeja al. Nie mnie go opisywać.

9.02.2004

Pod względem ekonomicznym sytuacja finansowa naszej rodziny w latach 1949 do 53 była bardzo ciężka ale na pewno nie było głodu. Ojciec często musiał pożyczać aby dociągnąć do pierwszego. Lata 1954-1959 było już trochę lepiej bo UB dało Ojcu spokój i zaczął już normalnie pracować. Od 1958 nie przelewało się i Tato wiązał już koniec z końcem a i ja już jako student powoli zacząłem zarabiać. W latach 1949 – 1958 szereg

rzeczy, które rodzicom udało się uratować z wojny Tato musiał sprzedać bo nie było innego wyjścia. Faktem jest jednak, że całymi latami podstawową potrawą na kolacje były kluski kładzione w okresach lepszych finansowo kraszone szmalcem a jak było gorzej margaryną. (Mimo wszystko kluch te lubię do dziś dnia) Cały ten okres wydatki na żywność były więcej jak skromne. Jedna z siostr Ojca była nieźle sytuowana i stała się nam pomagać przez przekazywanie sukienek dla Joli, były to porządne rzeczy ale z ambicji strasznie tych darów z Jolą nie lubiliśmy.

22.05.2004

Faktem jest, że cały okres dzieciństwa i młodości byłem zafascynowany ojcem, byłem chyba jedynym, który z ojca potrafił wyciągać wspomnienia wojenne (co w tamtym czasie nie było zbyt rozsądne bo praktycznie do 1956r wychylenie się z pozytywnym zdaniem na temat AK mogło skończyć się bardzo nieprzyjemnym kontaktem z UB). Po mimo tego, że świetnie sobie zdawałem sprawę z wad i dziwnych przyzwyczajęń Ojca jego słowo było dla mnie przykazaniem a to, że Tato bardzo rzadko mówił o późnym swoim powrocie, z często wracał z pracy bardzo późno, powodowało katusze, bo z nerwów nie zasypiałem do jego powrotu i żadne argumenty nie skutkowały. Sytuacja ta była niezmienna nawet w okresie moich studiów tyle, że już w tym okresie ja wracałem normalnie dużo później jak Ojciec tyle tylko, że zawsze opowiadałem się i to pozostałymi właściwie do dziś.

Odbiegłem jednak od wrażeń tego okresu w marcu 1953 umarł Stalin efektem tej śmierci przez tydzień były godzinne apele na stojąco na korytarzu szkoły, odsłuchiwanie też w formie apelowej koncertów muzyki żałobnej i komunikatów z przygotowań pogrzebowych a potem trzy albo cztery godziny stania całej szkoły na korytarzu odsłuchującej z radia transmisji pogrzebowej a co dla mnie najbardziej kompromitujące to wystąpienie do wychowawczyni, że chcemy pełnić wartę przy zdjęciu Stalina. Oczywiście nic nas dzieci nie obchodził Stalin ale istniała możliwość wymigania się z matematyki praktycznie prze cały tydzień. Do dziś pamiętam wzrok matematyczki jak zwróciłem się do niej, „że muszę iść na wartę”, i ona i ja wiedzieliśmy o co chodzi ale ona nie mogła mi zabronić. W radiu i gazetach stworzono atmosferę tragedii, jakoś to się na nas dzieciakach odbijało, rozmów starszych na ten temat nie pamiętam.

Podstawówkę ukończyłem w 1954 i przeszedłem do ogólniaka szkoła nr 22 początkowo szkoła ta mieściła się na Barcickiej a od 1955r na ul. Żeromskiego.

9.02.2004

Wakacje 1954 to wielkie przeżycie, pojechałem do stryja Tadeusza (brat ojca) do Tarnowa. Stryj w tym czasie był inspektorem „parków końskich” w lasach Bieszczadzkich. (Miał zakaz pracy na stanowiskach kierowniczych jako były ziemianin były współpracownik AK a na dodatek człowiek o niewyparzonym języku, przez ten język przesiedział w rok w więzieniu (Do jego obowiązków należała kontrola ośrodków leśnych, w których utrzymywane były konie przeznaczone do zrywki i wywożenia drzewa z lasów. Normalne życie stryja to 25 dni pobytu w Bieszczadach na cztery dni powrót do żony i dzieci do Tarnowa i z powrotem w Bieszczady. Stryj zabrał mnie i swojego syna Tomka (o dwa lata młodszego ode mnie) na jedną taką turę było to w lipcu. Z Tarnowa wyjechaliśmy ciężarówką stryj z szoferem w szoferce, my dwaj na odkrytej pace. Jechaliśmy w stronę Gorlic i jak dziś wiem około 120-140km) droga trwała około ośmiu

godzin. Na miejscu i zresztą w każdym kolejnym najczęściej żona brygadzysty szykowała coś do jedzenia. Spaliśmy albo w łóżkach zupełnie przypadkowych albo wręcz na sianie w szopach. Stryj jak się śmiał spał zawsze w ciepłym łóżku bo gospodyni w takim przypadku szła spać do męża a on spał w jej łóżku. W trakcie tych przejazdów dotarliśmy do bazy w Krępnej tam razem ze stryjem poszliśmy na jakieś łąki czy oczerety (były to tereny walk z 1945 na kierunek przełęczy Dukielskiej) Pomimo tego, że był to rok 1954 teren którym szliśmy pełen był rowów wojskowych, zasieków z drutu kolczastego jakiś wojskowych rupieci metalowych. Ponieważ stryj straszył, że mogą być miny szedłem niepewnie i gdzieś przełaząc przez jakiś zasiek paskudnie skaleczyłem tydkę praktycznie w trzech miejscach od kostki prawie do kolana. Nawet mocno nie krwawiło. Wróciliśmy na bazę gdzie tą nogę zabandażowano mi. Wypadek miał miejsce rano a wieczorem konie po powrocie z prac leśnych były przez wozaków prowadzane do strumienia. Stryj zaproponował abyśmy z Tomkiem wsiedli na konie i pojechali je napić. Pomysł był dobry tylko nikt nie wziął pod uwagę, że konie te chodzą do strumienia swoim drogami i żadne ciągnięcia za lejce przez niewprawnego młokosa nie będzie skutkować. Mój wierzchowiec miał swoją drogę przez gęste krzaki i to w obie strony. Jak wyglądała moja noga po powrocie nie muszę tłumaczyć blizny po 50 latach są jak nowe. Nie mniej po powrocie do bazy większych dezynfekcji poza bandażowaniem raczej nie było.

Któregoś dnia dojechaliśmy do bazy w olbrzymi upał nie wiem dlaczego nie można było niczego napić się więc Stryj wprowadził nas do jakiego ubożuchnego sklepiku gdzie o ile pamiętam był tylko wino marki „wino” i chyba nic więcej nic. Dostaliśmy to wino do picia a wynik łatwy do przewidzenia, Ja noc miałem złą a Tomek tragiczną. Pobyty na bazach w Komańczy, Smolniku, Cisnej i Dołżycy to wielka przygoda bo nie można zapominać, że wozakami w Bieszczadach byli wyrzutowie społeczni z całej Polski same oryginały choć często niebezpieczni ale bardzo życzliwi mojemu stryjowi u których miał niesamowity mir. Dotyczyło to tak Polaków jak u Ukraińców czy Łemków. Zasadniczo wyprawa zakończyła się w Dołżycy lub Wetlinie gdzie wsiedliśmy na ciężarówkę taką samą jak pierwszego dnia i wertepami bo przecież tam były tylko dukty leśne jednym dniem przejechaliśmy do Sanoka i drugim do Tarnowa. Wtedy jeżdżenie na pace bez plandeki bez względu na pogodę było rzeczą normalną. Wakacje te poza szramami na nodze pozostawiły niezatarte wspomnienia do których nawet dziś wracam.

Może warto wspomnieć, że Stryj był niesamowicie barwna postacią wysoki – prawie dwa metry, bardzo przystojny o bardzo donośnym głosie, wspaniały gawędziarz, celowo podkreślający pogardę dla ustroju stale słuchający Wolnej Europy i innych stacji, przesiedział rok w więzieniu jako czarna reakcja a z rąk UB udało go się wyciągnąć rodzinie z wielkimi kłopotami. Miał zakaz pracy w rolnictwie i na kierowniczych stanowiskach stąd ta jego praca w lasach bieszczadzkich i stałą włóczęga.

22.05.2004

Wracając do spraw szkolnych, z całym szacunkiem muszę przyznać, że w moim ogólniaku było grono pedagogiczne, które starało się nas osłaniać od indoktrynacji politycznej a Dyrektorka i historyczka w jednej osobie potrafiła wymieniać datę 17 września 1939 i mówić o Katyniu tak, że łatwo można było zrozumieć kto to zrobił, choć w tych czasach była to naprawdę wielka odwaga. W roku 1955 odbył się w Warszawie Międzynarodowy Festiwal Młodzieży impreza organizowana przez ZMP i PZPR dla młodzieży komunizującej aby pokazać światu jak to dobrze jest w krajach naszego obozu.

Na czym polegały obrady i zajęcia nie miałem w tym czasie pojęcia a nasza szkoła nie była do tego angażowana. Pod koniec Festiwalu na wybrzeżu Kościuszkowskim na wysokości Starego Miasta zorganizowany całonocny festyn, Dziadkowie zabrali nas tam bo miały być fajerwerki orkiestry i inne atrakcje. W tym czasie uważałem się już za bardzo dorosłego i zaraz po wyjściu z domu powiedziałem Dziadkom, że ja zostanę dłużej i wrócę sam. Urwanie się Dziadkom nie stanowiło problemu snułem się po tym wybrzeżu sam w tłumie i nudziłem się wyraźnie. W pewnym momencie zdobyłem się na odwagę podszedłem do grupy obcokrajowców i poprosiłem którąś z dziewczyn do tańca. Tańczyła chyba nieźle ale przez cały czas rozmawiała ponad moim ramieniem ze swoim partnerem, który stał w pobliżu. Bardzo tą pogardę przeżyłem. Wróciłem do domu jak świtało, musiało być więc koło trzeciej. Dziadkowie oczywiście nie spali byli mocno zdenerwowani, dostałem sporo wymówek a ja w swojej beztrosce tłumaczyłem, że nic się przecież nie stało bo mówiłem, że pozostanę dłużej.

Jako szesnastoletni chłopiec przeżyłem kolejne trzy fakty historyczne pierwszy to w marcu pogrzeb Bieruta, który obserwowałem razem ze szkołą stojąc parę godzin czekając jak przejedzie kondukt (tu drobna ciekawostka, trumna ulokowana na lawecie ciągnięta była przez szóstkę karych koni prowadzonych przy pyskach. Dowiedziałem się o tym później, że w pierwszej parze szła kara klacz ze Stadniny Koni Walewice gospodarstwo Goślub. Klacz ta była jeszcze w Goślubiu kiedy tam rozpocząłem pracę w 1964. Jabłonica bo tak się nazywała ta klacz miała na głowie białą odmastkę, którą przed tym pogrzebem zamalowywano trzy dni a nadzorował to UB-ek z Łodzi, który był przysłany tylko w tym celu.

Drugi Fakt – to wydarzenia czerwcowe w Poznaniu – świetnie pamiętam komunikaty radiowe o strajku, nasze gwałtowne działania szukanie informacji w Głosie Ameryki, BBC i Wolnej Europie, przemówienie Cyrankiewicza - który przeszło do historii cytatem, że klasa robotnicza obetnie rękę wichrzycielom, oraz opowiadanie Ojca i Joli, którzy w tym czasie przez przypadek byli w Poznaniu, i nawet wpakowali się pod obstrzał tak, że Jola z podziwem opowiadała jak to Tato ją osłaniał i zabezpieczał.

Fakt trzeci to wydarzenia październikowe - zmiany władzy w Polsce najpierw plotki o tarcach we władzach „grupa puławska kontra natolińska” potem rozpoczęcie plenum KC, dodatkowym przeżyciem mojej klasy, była obserwacja lądowania samolotu z Chruszczowem (okna naszej szkoły wychodziły na lotnisko wojskowe Bemowo). Samolot był na tyle duży i inny, że nie mieliśmy żadnej wątpliwości, że nie jest to normalny samolot wojskowy. Oczywiście informacja o tym, że w tym samolocie był Chruszczow dotarła później.

W tym czasie nikt z moich kolegów nie widział wojska ale byliśmy przekonani, że nasze wojsko weszło do Kampinosu i szykuje się do odparcia ataku Rosjan, Jak wynika to z aktualnych opracowań historycznych ten atak nie był nieprawdopodobny.

2.06.2004

Ojciec bardzo chodził na wice na Politechnikę i opowiadał wrażenia, ja byłem tylko na ostatnim wiecu z Gomułką, który odbył się przed Pałacem Kultury i zgromadził podobno 500 000 ludzi. Wiem, że z tego wiecu wraz z kolegami wracaliśmy mocno zdegrustowani tym co mówił Gomułka po mimo tego, że mówił o wyjeździe do Moskwy w sprawie negocjacji umowy węglowej (w tym czasie była bardzo niekorzystna do Polski) my młodzi

oczekiwaliśmy czegoś więcej. Pamiętam też mowę prymasa Wyszyńskiego, który w tych dniach poparł Gomułkę. W okresie planu KC i wyboru Gomułki olbrzymią rolę polityczną jako trybun ludowy odgrywał Sekretarz organizacji partyjnej w fabryce samochodów osobowych na Żeraniu – Goździk, po każdym z wieców było o nim głośno a to, "że w Warszawie nie powieszono jakiś Ubeków to jego zasługa. Po zakończeniu „Października” Gomułka bardzo szybko zvekslował go i zmusił do odejścia z Żerania, dopiero na początku lat dziewięćdziesiątych okazało się, że przeniósł się nad morze i został rybakim. Goździk w nurt działań politycznych nie włączył się ani w 1980r ani w 1990r.

Pierwszym namacalnym dowodem zmian „październikowych” było osłabienie zagłuszaczy radiowych stacji zagranicznych, zagłuszacze stacji radiowych zaczęły pracować dużo słabiej ten charakterystyczny szum bardzo często było słychać z różnych okien i domów. Stosunkowo dużo ludzi wypuszczono z więzień i prasa nieśmiało zaczęła pisać o wypaczeniach. Nie mniej nazwisk tych „wypaczających” podano bardzo mało a skazano za ledwie paru. Natomiast nigdy nie podano miejsc pochówku ludzi niesłusznie powieszonych lub rozstrzelanych jeszcze dziś podawane są miejsca przybliżone i tylko prawdopodobne.

W pierwszym okresie po plenum KC osłabienie reżymu wszyscy bardzo oduczyli, atmosfera bardzo się rozluźniła. Już w listopadzie lub grudniu 1956 r w szkole pokazali się dawni instruktorzy harcerscy większość to były Szare Szeregi, szefowie OH jakoś rozmyli się w nicość a ja wsiąknęm bardzo głęboko w ZHP na pełnych sześć lat.

Komenda Hufca Żoliborz od początku została opanowana przez Instruktorów Harcerskich wywodzących się z Szarych Szeregów stąd hufiec ten przez wiele lat opierał się indoktrynacji a imprezy typu pierwszego Maja i tym podobne było dobywane na zasadzi wyznaczonych drużyn, które musiał swoje odstać dla świętego spokoju. Ostatni instruktorzy tego wojennego zaciągu wycofali się na poziomie 1960r. W innych hufcach było dużo gorzej i to im dalej od Warszawy tym wpływ PZPR i SB był dużo szybszy i mocniejszy. Przez cały okres mojego działania w harcerstwie komendantką hufca była druhna Bożena Strzałkowska, nikomu z nas nie były znane jej poglądy polityczne, z jednej strony miała duże uznanie u władz, które dawały jej dużo wolnej ręki, z drugiej strony instruktorów o karierze Szarych Szeregów trzymała jak mogła najdłużej i bardzo osłaniała. Swoim dzianiem powodowała, że hufiec praktycznie nie był apolityczny z dużym nastawieniem na podziw dla Szarych Szeregów. Wszystkie uroczystości związane z obchodami rocznicy powstania, akcji pod Arsenalem, Zamachu na Kuczerę itp. były obchodzone z całą powagą i dużym namaszczeniem. Stałą formą demonstracji były w trakcie obozów wyprawy na msze do kościoła. Takie wyprawy zawsze odbijały się pozytywnym echem bo jak pisałem wcześniej zastraszanie w terenie było większe jak w Warszawie, stąd drużyny miejscowe nie mogły sobie na taki demonstracyjny udział pozwolić. Oficjalnie nikt o niechęci do ZSRR i PZPR nie mówił ale to było czuć przez skórę. Praktycznie nie przypominam sobie aby któryś z moich kolegów lub koleżanek przeszedł do Walterowców lub ZMP.

Nasz hufiec twardo „walczył” z Walterowcami Jacka Kuronia. Walerowcy to drużyny Harcerskie o nastawieniu zdecydowanie socjalistycznym (żeby napisać komunistycznym) w 1956 r do harcerstwa powrócił Aleksander Kamiński (ten od Kamieni na Szaniec) i on nadał potężny impuls odradzającemu się ruchowi. Już w 1958r władze połapały się, że harcerstwo stało się nieprawomyślne spławił Kamińskiego i pod wodzą działacza

komunistycznego J. Kuronia utworzyły wewnątrz harcerstwa organizację rozłamową tj Walterowców. Drużyny te było o tyle atrakcyjne, bo jak głosiła powszechna plotka miały łatwy dostęp do pieniędzy na organizację obozów. Kuroń sam mieszkał na Żoliborzu a mając mocną pozycję w PZPR mógł wpływać, w których szkołach tej dzielnicy powstaną drużyny Walterowskie. Między innymi na skutek takiej decyzji Jola straciła swoją drużynę bo szkoła, w której prowadziła drużynę przekazano Walterowcom. Nic na temat działań tych drużyn nie wiedzieliśmy ale środowisko naszego hufca bardzo nimi pogardzało i nie utrzymywało programowo żadnych kontaktów.

Moja kariera harcerska to najpierw działanie w drużynie starszo harcerskiej nr 56. W 1958r zostałem drużynowym drużyny 124 a w 1961r wszedłem do komendy hufca Żoliborz. Działalność harcerską zakończyłem w 1961r w stopniu przewodnika. W tym okresie prowadziłem kilka obozów harcerskich tak dla młodzieży szkół podstawowych jak i instruktorskich wrażeń na każdym dużo ale nie na tyle ważnych aby je opisywać. Z obozów pozostała impresja, że najciekawszym okresem obozu jest wyjazd kwatermistrzowski na organizację obozu (to jest transport sprzętu, budowa urządzeń obozowych itp.), Okazało się w wiele lat potem, że całą moja trójka dzieci też tą część obozu najbardziej lubiła.

7.06.2004

Z okresu działalności harcerskiej w 1957 mocno w pamięci tkwią dyżury na dworcu Gdańskim lub w siedzibie Czerwonego Krzyża na Mokotowskiej chodziło o akcję pomocy repatriantom z ZSRR, naszym obowiązkiem było pomóc im dotrzeć z dworca do hotelu, udzielać informacji jak się poruszać oraz służyć pomocą, częstym działaniem była też pomoc urzędnikom PCK w porządkowaniu dokumentacji. Szczególnym przeżyciem był zawsze pobyt na dworcu Gdańskim, z pociągów wysiadali bardzo różni ludzie o bardzo różnym stanie psychicznym i generalnie zagubieni a nie rzadkie były przypadki, że na dworcu nie było żadnej rodziny. Kontakty z tymi ludźmi zdecydowanie nie poprawiały naszego widzenia Związku Radzieckiego i metod tam stosowanych.

Dużym przeżyciem były też warty honorowe organizowane corocznie przy grobach powstańców na Powązkach 1 sierpnia i w Dzień Zaduszny jak również organizowane spotkania z AK-owcami. Działalność harcerską tak mnie wciągnęła, że praktycznie na studiach nie związałem się z żadną działalnością studencką.

Z harcerstwem rozstałem się właściwie dość gwałtownie po bardzo nieprzyjemnych rozmowach z druhną Strzałkowską kiedy to uznała, że do spółki z siedmioma innymi instruktorami próbujemy wysadzić ją z siodła. Sprawa z gruntu była nie prawdziwa nikt z nas o czymś takim nie myślał a my całą ósemką po prostu dobrze się ze sobą czuliśmy i często bawiliśmy się razem tworząc wspólną paczkę. Rozmowa z hufcową była tak nieprzyjemna i tak absurda w swoim założeniu, że po 44 latach od tego faktu jeszcze we mnie tkwi to jak zadra. Pomimo całego mojego szacunku dla jej działań i dokonań dla młodzieży harcerskiej wspomnienie formie tej rozmowy i stawianych zarzutach napawa mnie obrzydzeniem.

Wracając do odczuć młodego człowieka październik 1956 powiał wyraźnym rozluźnieniem wszyscy to odczuwaliśmy, choć z pewnym zdziwieniem odebraliśmy apel kardynała Wyszyńskiego aby poprzeć Gomułkę. Powrót Gomułki z Moskwy po negocjacjach dotyczących umowy Węgłowej był jego gigantycznym sukcesem.

Informacje o aresztowaniach niektórych Ubowców też były odbierane bardzo dobrze, stosunkowo szybko z więzień wyszło wielu skazanych i to do nas młodych docierało, nie mniej przykręcanie śruby poszło dość szybko. Pierwsze poważne uderzenie poszło już jesienią 1958r kiedy to pomimo protestów studenckich zamknięto. „Po prostu”. Było to pismo w miarę bezkompromisowo pokazujące absurdy tamtych czasów. Wbrew temu co próbowała wmówić propaganda w tamtym czasie milicja strzelała do studentów a sam znałem człowieka, któremu rykoszet na placu przed Politechniką uszkodził nogę tak, że został kaleka. Walki studentów z policją na doniczki i meble Akademika na placu Narutowicza były szeroko komentowane. Rozruchy te zostały szybko spacyfikowane.

Wielkim przeżyciem dla warszawiaków było wystawienie w Teatrze Narodowym Dziadków, a potem w Polskim Kordiana, O ile Kordiana mało pamiętam, o tyle Dziady bardzo przeżyłem, a niektóre sceny jeszcze pamiętam.

Generalnie jednak cały okres ostatnich lat ogólniaka i lat studiów były dla mnie obojętne politycznie. Praktycznie wiedziałem, że są ograniczenia i do nich się bez oporu przystosowałem, choć jak ktoś władzy w jakiś sposób przyłożył było to odbierane pozytywnie. W 1958r zdałem maturę i praktycznie bez większych kłopotów dostałem się na SGGW wydział Rolny.

29.06.2004

Sama matura szczególnie ustna była dla mnie dużym przeżyciem zdawało się wtedy tego samego dnia chyba pięć przedmiotów obowiązkowo polski, matematyka, Nauka o Polsce i dodatkowo historia i biologia (dwa przedmioty trzeba było sobie wybrać) Najbardziej bałem się matematyki, najlepiej przygotowany byłem z biologii dlatego zostawiłem ją sobie na koniec. Wszystko poszło poprawnie, ale biologiczka była jednak zdegrustowana bo biologię zdawałem już zmęczony i jako ostatni przedmiot a ona i ja spodziewaliśmy się dużo błyskotliwszych moich odpowiedzi. Jej niezadowolenie było tym większe, że obaj z Januszem byliśmy w tym czasie chyba najlepsi z biologii w klasie, obaj zdawaliśmy razem obaj zostawiliśmy biologię jako ostatnie przedmioty i obaj byliśmy zmęczeni. Faktem jest też, że trafiłem w moim odczuciu na drętwe pytania. Pamiętam też zazdrość kolegów, bo zdawałem pierwszego dnia a oni mieli przed sobą jeszcze tydzień czy więcej nerwów. Na wydział rolny SGGW poszedłem w pełni świadomy, że chcę iść pracować w terenie z wyraźnym nastawieniem na zootechnikę. Decyzję o kierunku studiów podjąłem choć to dziwne ale jeszcze w podstawówce a na pewno miała na to wpływ sytuacja, że Ojciec i Dziadek to rolnicy, Studia szły mi łatwo i wesoło, problemów mało, harcerstwo, tańce, korepetycje to moje życie w tym okresie. /korepetycje zacząłem dawać bardzo szybko, chemia, fizyka, biologia dodatkowo stypendium czasem też dodatkowe zarobki na kolportażu książek, noszenia mebli czy malowania tkanin stąd moja sytuacja finansowa była jak na tamte czasy bardzo poprawna, dokładałem się w jakimś stopniu finansowo do prowadzenia domu a praktycznie większość swoich wydatków pokrywałem sam, bo Tato po mimo pracy w PAN-ie zarabiał słabo.

Z wrażeń, które pozostały mi w pamięci to pierwsze kolokwium z chemii, było to kolokwium dopuszczające do ćwiczeń – czas na przygotowanie tydzień, szedłem przygotowany chyba dobrze. Kolokwium prowadziła pani dr. Floriańczyk. Wszedłem z dwójką kolegów siadając pomiędzy nimi. Kolega z prawej dostaje pytanie co to jest ciężar cząsteczkowy brak odpowiedzi i z dwójką wychodzi drugie pytanie dostaje kolega z lewej co to jest ciężar atomowy cisza i z dwójką wychodzi, ja mam pełną pustkę w głowie

dostaję pytanie co to ciężar cząsteczkowy i w tym momencie Pani doktor zostaje wywołana, a za mną na stole laboratoryjnym leżał mój zeszyt z notatkami, sekundę trwało jak otworzyłem go na obu ciężarach. Zeszyt odłożyłem weszła doktor. Od razu oba te pytania – oczywiście bezbłędnie jeszcze parę innych ale już byłem odblokowany i z pełną czwórką wyszedłem.

Zawsze będę twierdził, że ten szczęśliwy przypadek spowodował moje bezawaryjne przejście przez studia (Obaj ci koledzy stracili rok bo powtórkowe kolokwia też oblali).

W czasie studiów żyłem bardzo intensywnie dużo czasu pochłaniał mi harcerstwo, nierozzerwalnie związane z życiem towarzyski, niezależnie trzy lata pod rząd chodziłem w karnawale do szkoły tańca Braci Sobiszewskich, w pierwszym roku aby nauczyć się tańczyć, w drugim bo moja ówczesna sympatia zorganizowała grupę chodzącą tam ćwiczyć w trzecim współorganizowałem taką samą grupę aby wciągnąć tam Jolę i jej koleżanki. Dużo czasu zajmowały korepetycje bo prowadziłem je w różnych częściach Warszawy a wszędzie trzeba było dojechać tramwajem lub autobusem. Nie obojętne też były bardzo długie dyskusje czasem prawie całonocne z moim przyjacielem z ogólniaka a potem ze studiów Januszem Grodeckim lub Jackiem Bzowskim, który był bardzo częstym gościem u nas. Jacek przyłączył się do naszej rodziny na przełomie 1959/60r, wszedł do naszego hufca harcerskiego i działał z nami do 1962r potem też trzymaliśmy się blisko praktycznie do ślubu Joli a więc do czerwca 1964r.

Oczywiście sporo czasu pochłaniały też spotkania z sympatiami choć faktem jest, że byłem facetem nad podziw cnotliwym (lub jak kto woli infantylnym).

Z kolegami z roku nie utrzymywałem żadnych stosunków towarzyski oni mieszkali w większości w Akademiku na Ursynowie i żyli swoim życiem, koleżanki z roku zupełnie nie były w moim typie stąd z tamtego okresu żadne znajomości z grupy lub roku praktycznie nie pozostały. Obracałem się głównie w środowisku harcerskim Żoliborza oraz młodzieży, której rodzice wywodzili się ze środowiska Jagielloni lub platerówien. Niestety wszystkie kontakty te zaniknęły wraz z upływającym czasem.

Po pierwszym roku studiów mieliśmy miesięczną obowiązkową praktykę rolną. Praktykę tą odbywałem w gospodarstwie Żelazna 12km od Skierniewic. Naszym opiekunem był pan Czarnecki, był jednym z dyrektorów PNŻ na rejon Szczecina. Dostał w tym procesie wyrok śmierci i w celi śmierci przesiedział rok a wypuszczono go w 1956. (Proces był w 1950r a siedział od 1949r). Praktykę odbywałem w lecie 1959r więc był on niecałe trzy lata na wolności.

W tym czasie choć ktoś był zrehabilitowany nie należało się wychylać o jakiś więzieniach czy wyrokach. W naszej grupie byłem jedyny, który znała jego dziej stąd wielkim przeżyciem był dla mnie jego wykład o utrzymywaniu koni w stajni, gdy tłumaczył nam, że koryta i uwiąz dla konia nie wolno robić przy ciemnej ścianie bo On dobrze wie co to znaczy „patrzeć w ścianę” (Dla obrazu sytuacji tamtych czasów drugiego dnia praktyki Pan Czarnecki dał mi do zrozumienia, że lepiej abym zbyt dużo o jego losach nie mówił).

W tym czasie Żelazna była jeszcze gospodarstwem gdzie karbowy (potem nadano to stanowisko brygadzysty) rano o 6:30 dzwonił w gong i też o 7 gongiem i zbiórką pracowników rozpoczynała się praca.

14.07.2004

Pobyt na praktyce nie zmniejszył moich chęci do kontaktów z kolegami i koleżankami stąd w sobotę zaraz po pracy lub wcześniej jechałem autobusem do Skierniewic i dalej do Warszawy gdzie odbywałem intensywne kontakty towarzyskie aby w niedzielę wsiąść w ostatni pociąg, który był w Skierniewicach po 12 w nocy aby te 12 km do Żelaznej przejść na piechotę. Rytuał ten powtarzałem przez wszystkie soboty i niedziele praktyki.

Generalnie okres studiów wspominam jako okres swobody i beztroski, egzaminy przechodziłem bezkonfliktowo bo zawsze byłem wygadany a w czasie sesji uczył się dużo. Byłem wtedy bardzo atrakcyjnym kolegą, moja metoda nauki polegała na notowaniu rzeczy, których się uczyłem lub sprawiały mi trudność,. Idąc na egzamin zabierałem do kieszeni ten plik notatek czasem było tego nawet 50 lub więcej stron stąd zaraz po egzaminie koledzy lub koleżanki z późniejszych terminów porywali mi te notatki. Sprawa dla nich było o tyle interesująca, że większość egzaminów starałem się zdawać od razu w pierwszym możliwym terminie i jeżeli to tylko możliwe w pierwszej grupie zdających. W czasie moich studiów egzaminy zdawało się ustnie bezpośrednio przed profesorem rzadko przed zastępcą czy starszym asystentem. Profesorowie mieli swoje przyzwyczajenia lub studenci tworzyli im określone opinie stąd bardzo ważną dla dziewcząt była informacja do którego z nich należy iść z dużym dekoltem a do którego np. w niebieskiej bluzce. Dla chłopców dla odmiany ważna była informacja jak należy zachować się po wejściu do gabinetu i czy na egzamin wchodziło się trójkami rzadziej czwórkami. Wydział Rolny charakteryzował się bardzo dużą ilością egzaminów bo zdawałem ich chyba 46.

Uczelnia zabierała w sumie bardzo dużo czasu bo zajęć mieliśmy dużo a były rozrzucone na Rakowieckiej, Grochowskiej, Ursynowie i Brwinowie przejazdy były więc czasochłonne. Wstyd przyznać się ale wtedy nałogowo jeździłem na gapę bo wyliczyłem, że to i tak taniej pomimo płacenia mandatów. Wracając ze spotkań często bardzo późną nocą nieświadomie nauczyłem się nocnego rozkładu jazdy stąd stałem się dla znajomych małą encyklopedią o której godz. Należy być na konkretnym przystanku. Wiedza ta weszła mi naprawdę bezwiednie ale przyznaję, że bardzo mi to imponowało gdy potrafiłem przewidzieć nocny tramwaj po zmianie rozkładu jazdy autobus na najdziwniejszych przystankach.

Bardzo lubiłem tańczyć a był to okres Rock End Rola stąd każda okazja była dobra aby być na prywatkach. W lokalach bywałem bardzo mało choć nie ukrywam, że miałem na to ochotę. Niezbyt często chodziłem w dwie, trzy pary do Grand Hotelu na Kruczą do lokalu dancingowego Olimp. Zabawa tam trwała od 18:00 do 23:00. Nie pamiętam abym był na jakimś dużym balu sylwestrowym, parę razy byłem w Stodole, Hybrydach i Medyku na typowych tańcach studenckich. W studenckim życiu kulturalnym nie brałem udziału, praktycznie nie otarłem się o nie, choć parę razy byłem a przedstawieniach już dziś kultowych STS czy Hybryd.

17.08.2004

Okres moich studiów to okres wczesnego Gomułki praktycznie charakteryzowała się ciszą polityczną. Poza likwidacją pisma „Po prostu” w 1958r i rozruchami studenckimi z tym związanymi było spokojnie, ewentualnie zmiany dotyczyło poszczególnych ministrów do Cyrankiewicza jak był premierem za Bieruta tak i był za Gomułki. Tradycyjnie

wiele rodzi słuchało Wolnej Europy i Głosu Ameryki czasem BBC ale dla nas młodych był to jakiś daleki margines. W moim środowisku było tylko olbrzymi kult AK, Powstania Warszawskiego i spraw z tym związanych. Zmian politycznych na Uczelni też nie odczułem bo powrót do współczesnej genetyki (zaniechanie nauk Łysenki Łepieszynskiej i Miczurina) nastąpił w 1957 więc przed moim wejściem na uczelnię, to samo dotyczyło zajęć z Marksizmu i Leninizmu więc problem nie istniał.

Propaganda bardzo sprawnie ukrywała sprawę budowy muru berlińskiego i mostu powietrznego do Berlina w 1961r co spowodowało, że sprawa ta nas mało interesowała dopiero wstrząsem było walenie butem w pulpit ONZ przez Chruszczowa a potem konflikt Kubański. Ta przegrana Związku Radzieckiego odbiła się bardzo szerokim echem w środowisku młodzieży a Kennedy stał się bohaterem. (W wiele lat potem poznałem na Ukrainie marynarza łodzi podwodnej, który w okresie uzbrajania Kuby i konfliktu kubańskiego eskortował statki rosyjskie. Powiadał, że pływali w pełnym pogotowiu bojowym dokładnie pod stępką swoich okrętów na trasie atlantyckiej od portów rosyjskich na Kubę nie wynurzając się miesiącami, chyba przez dwa lata był trzy razy w Kaliningradzie i to bez schodzenia na ląd.

Jesienią 1961 r poznałem Marysię Cedro dzięki jej i moim kontaktom z Grześkiem Konarskim. Ze znajomości tej praktycznie nic nie wynikało, ona działała w swoim środowisku ja w swoim, czasem mijaliśmy się na korytarzu czasem razem jedliśmy przez przypadek obiad w stołówce i tyle. O tyle może to była dziwna znajomość, że Marysie jako jedyną moją znajomą z uczelni przedstawiłem Joli i to jeszcze poznanie świadomie spowodowałem dlaczego po co nie mam pojęcia. Wyraźnie przedstawienie swojej nowej koleżanki siostrze wykonałem raz jeden w życiu, normalnie nowe moje znajome Jola poznawała przy ogólnych spotkaniach nigdy nie było to przeze mnie prowokowane.

W 1.04.1962 byłem na praktyce w Chylicach koło Jaktorowa, była to obowiązkowa praktyka trwająca sześć miesięcy. Było nas na tej praktyce chyba 10 czy 12 studentów specjalizujących się, który prędzej wróci na kwaterę aby nic nie robić. Oczywiście były dni kiedy dostawialiśmy pracę w kość ale generalnie było to obijanie a moja wiedza rolnicza bardzo mało powiększyła się na tej praktyce.

Jeszcze przed wyjazdem na praktykę chyba w listopadzie lub grudniu 1961 wycofałem się definitywnie z harcerstwa. Pretekstem był niedługi wyjazd na praktykę, rzeczywiste powody opisałem już wcześniej,

28.12.2004

Tu daty mi się plączą ale chyba w czasie urlopu w czasie praktyki więc latem 1962 wybrałem się z Grześkiem Konarskim na objazd Polski autostopem. Ta forma podróżowania była w tym czasie bardzo modna i popierana przez władze. Założyliśmy sobie trasę przez Mazury nad morze potem rejon Karkonoszy, Opolszczyzna i powrót do Warszawy. Trasa nie była przypadkowa bo w każdym z punktów docelowych w tym czasie znajdowała się jakaś koleżanka Grześka lub moja. Wycieczka była wspaniałą pod nad 1800km przypadkowymi samochodami, wrażeń mnóstwo tyle tylko, że w Gdańsku zamiast przyjemnego spotkania musiałem pocieszać narzeczoną mojego stryjecznego brata, który parę dni wcześniej powiadomił ją, że zrywa zaręczyny bo, żeni się z inną, a w Cieplicach gdy dotarliśmy dowiedziałem się od dziewczyny, która bardzo mi się podobała, że dwa tygodnie temu poznała Polaka z Afryki Południowej, który przyjechał

na miesiąc do Polski szukać żony i ona za tydzień wychodzi za niego. W domu więc harmider i zrozumiałe, że nie mieliśmy co tam robić. Muszę przyznać, że tym przypadkiem byłem niezbyt mile zaskoczony.

23.10.2004

Jeszcze w 1959r z pomocą Wuja Krąkowskiego próbowałem załatwić sobie praktykę w Szwajcarii (spawa o tyle miała szansę, że kilku kolegów Wuja z wojska po internowaniu w Szwajcarii tam zostało i doszło do dość znaczących stanowisk) niestety władze Uczelniane i ZSP nie wyraziły zgody i sytuacja upadła. Jesienią 1962r ponowiłem próbę już chodząc koło ZSP, Szczęśliwie udało się i dostałem zezwolenie na praktykę zaproponowaną przez Szwajcarów na sierpień i wrzesień 1963r. Niespodzianie w maju lub czerwcu dostałem mononukleozę to taka choroba, o której wtedy wiadano bardzo mało, zabrano mnie do szpitala zakaźnego faszcerowano straszliwymi ilościami antybiotyków a jak to nie poskutkowało to zaczęto pobierać mi kres z żyły i wstrzykiwać w tyłek. Co w końcu pomogło nie wiem a leki tak mnie ustawiły, że szczepienia przeciwko ospie nie chciały mi się przyjąć a wtedy warunek szczepienia był podstawowym przy wszystkich wyjazdach (w Europie była w tedy epidemia ospy) Szczepiłem się dwukrotnie bez rezultatu. Mój wyjazd zależał wyłącznie od lekarza na Lotnisku –kontrola od razu mnie odrzuciła - szczęśliwie lekarz uwierzył moim tłumaczeniom i zostałem przepuszczony. Do końca życia nie zapomnę oczu Ojca i Dziadka stojących przy płocie jak byłem już po kontrolach granicznych, oni poważnie liczyli się z tym, że już nie wrócę choć mnie samemu taka myśl nie świeciła w głowie.

Samą praktykę odbywałem w Instytucie Rolniczym w Lozannie – czeto wyjeżdżając na poletka doświadczalne położone w okolicy. Sam pobyt pozostawił mnóstwo wrażeń i przeżyć - przez miesiąc mieszkalem w domu Szwajcarki, która normalnie wynajmowała pokoje studentom, potem (niestety) przeprowadziłem się do rodziny Platerów. Była to duża rodzina, matka i czworo lub pięcioro dorastających dzieci ale rodzina polska i kultywująca polskie tradycje (wtedy na warunki szwajcarskie żyjąca bardzo skromnie). Efekt tego był taki, że po pracy obracałem się wyłącznie w środowisku polski więc postępy w języku francuski były dużo mniejsze niż być powinny. Praktykę udało mi się przedłużyć do końca grudnia 1963r. W tym przedłużeniu musiał pomóc mi Dziadek Czaplicki, który poszedł do dziekana i wymógł na nim zgodę na urlop dziekański jednego semestru.

W tym czasie Szwajcaria miała pięciodniowy tydzień pracy stąd wszystkie soboty i niedziele jeździłem po Szwajcarii autostopem zwiedzając ją chyba nie najgorzej. Wyprawy te odbywałem samotnie i bez większych przeszkód. Autostop wtedy był bardzo popularny i nie sprawiał problemu. Album z pocztówkami z tych wypraw jest w którejś z szuflad. W trakcie tego pobytu trochę bliżej trzymał się z młodym architektem Szwajcarem, który podpowiadał, w którą stronę tego ciekawego kraju jechać. On też poprał mnie w moim pomysłe zrobienia czterodniowej wycieczki do Paryża podpowiadając hotel, w którym mógłbym zamieszkać za niewielki pieniądze. Wycieczkę rozpocząłem w drugi dzień Bożego Narodzenia aby 31.12 wrócić do Lozanny przesiąść się w pociąg do Zurichy i późnym wieczorem wrócić samolotem do Warszawy. Te cztery dni uchodziłem si jak pan pies ale ważniejsze obiekty Paryża obejrzałem (oczywiście bez muzeów). Z muzeów byłem tylko na impresjonistach bardzo mi się podobali . Szalone wrażenie robiły na mnie wielkie bulwary i magazyny tak ilością towaru jak i bogactwem.

Generalnie Paryż bardzo mi się podobał choć jak odwiedziłem koleżankę Barbarę Konarską (Dzieduszycką) byłem przerażony warunkami w jakich oni wtedy mieszała trzeba jednak wziąć poprawkę, że to było środowisko plastyków rozpoczynające działalność w Paryżu (potem powiodło im się bardzo dobrze). Z poważnych przeżyć Szwajcarskich pozostała mi w pamięci prośba Joli aby przysłać jej specjalne wapno Bayerowskie - lekarz powiedział jej, że wapno to może zlikwidować skazę białkową, którą miała wręcz straszną. Radość moja na wieść, że skaza znikła (bezwrotnie) na miesiąc od wysłania leku była olbrzymia. Szokiem ale niepokojącym była informacja o zabójstwie Kennedego. To, że Polskę do Szwajcarii dzieli przepaść w poziomie życia nawet w ubogim domu Platerów był wyraźnie widać, widać to było w każdym momencie - Instytucie, ulicy, domach szwajcarów po prostu wszędzie. W tym czasie przez Instytut przewinęło się wraz e mną trzech praktykantów z Polski wszyscy trzej wrócili do kraju. Generalnie raczej studenci wracali po praktykach o przypadkach pozostania za granicą słyszało się rzadko.

Z perspektywy lat mogę ocenić, że praktyka w Szwajcarii zaowocowała poduczeniem się francuskiego, poznanie pięknego kraju, wiedzą ogólną jak żyją szwajcarzy, zmianą partnerki i co wcale nie obojętne dla dalszego mojego życia zakupem motocykla WSK 150. Zawodowo praktyka nie dała praktycznie nic bo dwa pierwsze miesiące zbierałem ziemniaki na poletkach doświadczalnych na pozostałe trzy uzupełniałem jakieś dane archiwalne dotyczące plantacji ziemniaczanych.

Listów do rodziny pisałem sporo dziadek je wszystkie zbierał co się z nimi stało nie pamiętam. Gorzej, e do ówczesnej sympatii nie napisałem ani razu a po powrocie kontakty całkowicie urwały się na bardzo wiele lat. Ostateczna rozmowa ta tkwi we mnie jak cierni, wina byłą wyłącznie po mojej stronie a na moje usprawiedliwienia nie miałem nic ponad to, że ją lubię a nie kocham. Praktycznie pannę tą znałem dobre pięć lat a w głowie zwracałem jej dobre dwa lata na pewno byłem nią zainteresowany ale na pewno nie tak jak ona tego oczekiwała. Chyba byłem wtedy jeszcze nie dojrzały emocjonalnie po prostu byłem za dziecinny na jej miłość.

Jak napisałem wyżej do Warszawy wróciłem późnym wieczorem w Sylwestra. Jola czekała na lotnisku i bezpośrednio zawiozła na bal Sylwestrowy, tam opromieniony pobytem w kapitalizmie tak adorowałem koleżankę, że następnego dnia zerwała kontakty z kolegą, z którym była parą od 4 lat i trzymaliśmy się razem aż do późnej jesieni 1964r, w ocenie rodziny byłem podobno bardzo zakochany, mnie jednak wydaj się, że bardziej mi imponowało , że chodzę z bardzo znaną i efektowną dziewczyną, która mnie wyraźnie wyróżniła. Faktem jest, że domagała się wyraźnej adoracji a było to bardzo męczące, generalnie zupełnie do siebie nie pasowaliśmy.

Przez pół roku zdałem brakujący egzamin z rybactwa i w czerwcu 1964r obroniłem pracę magisterską. Przy pisaniu tej pracy straciłem szacunek dla naukowców patrzą jak naciągają wyniki do swoich tez a nawet gdy nie naciągają to jak pomijają niewygodne fakty. Ta obserwacja potem potwierdziła się już w trakcie pracy w Instytucie Zootechniki.

W tym czasie Jola miała już narzeczonego Henryka Piotrowskiego i w czerwcu 1964r. wyszła za mąż. Wesele było bardzo skromne całe organizowała Jola w naszym mieszkaniu na Swarzewskiej tylko dla najbliższej rodziny bez żadnych tańców czy hulanek. Ironia losu było to, że Dziadkowie o mało nie spóźnili się do kościoła bo w tym czasie przez Warszawę przejeżdżał Chruszczow, ulice były pozamykane i taksówkarz

musiał jechać na okrągło. Dziadkowie mieli słuszną pretensję, że ceremonia zaczęła się bez nich. Przy organizacji tego wesela nie pomagałem bo w tym czasie już rozpocząłem pracę w Walewicach.

Przeżyciem dla mnie i Joli było to, że Tato aby zorganizować to wesele musiał sprzedać jeden z ostatnich pierścionków Mamy. W tym czasie Tato z dużą pomocą Wujostwa Krąkowskich zamienił mieszkanie na ul/ Francuską (o czym pisałem) a sam przygotowywał się do własnego ślubu. Sprawy te przebiegały już praktycznie koło mnie bo 06.06.1964r obroniłem pracę a 10.06.1964 zameldowałem się na staż w Stadninie Koni w Walewicach.

Pomimo dość intensywnego życia mononukleoza z 1963r pozostawiła ślady w moim organizmie kłopoty zdrowotne, które praktycznie zanikły dopiero na początku 1965r.

16.11.2004

Dnia 10.06.1966 załadowałem na motor plecak i zgodnie z wcześniejszą umową zameldowałem się u dyr. Stępnika aktualnego dyrektora Stadniny Koni w Walewicach. Po krótkiej rozmowie zostałem przydzielony do kierownika gospodarstwa Walewice nazwiska nie pamiętam. Kierownik ten to przedwojenny karobowy (świetny rolnik) ale człowiek bardzo prosty. W tym czasie roczne plany gospodarcze dotyczyły okresu od 1.07 do 30.06 więc Pan kierownik polecił mi go zrobić, moja złość nie miała granic bo wydawał mi się, że wyliczanie takiego planu jest bez sensu nie mniej musiałem go robić. Kierownik, który chyba słabo czytał zaimponował mi bo na wyczucie dyktował powierzchnie plony i wydajność a wyniki przewidział prawie dokładnie nie biorąc ołówka do ręki. Był to dla mnie szok bo ja pan mgr tego planu sam za nic bym wtedy nie zrobił choć na studiach byłem tego uczony.

Brygadziści i oborowi bardzo szybko udowodnili mi, że na temat zootechniki wiem przerażająco mało a wiedza ze studiów jest nie przydatna w momencie kiedy cieli się krowa i trzeba jej pomóc, kiedy łożysko nie odchodzi prawidłowo czy ciele ma kolkę. Tak samo uczelnia nie przygotowywała w najmniejszym stopniu do radzenia sobie przy różnych przypadłościach koni.

Jednak zewnątrz nie było chyba tak źle bo dokładnie po sześciu tygodniach wezwał mnie dyrektor i głosem nie znoszącym sprzeciwu poinformował mnie, że zootechnik z gospodarstwa Goślub przechodzi na kierownika innego gospodarstwa i ja od jutra mam objąć jego stanowisko. Odchodzący zootechnik wprowadzał mnie w nowe obowiązki dokładnie trzy dni z czego połowę czasu go nie było bo w tym czasie obejmował już swoje gospodarstwo Glinnik.

Moje obowiązki dotyczyły obory na 100k rów obora nawet na tamte czasy bardzo prymitywna głęboka ciemna, krowy dojne ręcznie na dodatek jeszcze nie zwalczona gruźlica i bruceloza, chlewnia na 30 macior w nowych ale zupełnie nie funkcjonalnych i złych zoohigienicznie budynkach oraz stajnia 30 klaczy rasy angloarabskich. Załoga dobra znająca się na robocie ale trudna.

Praca tak w Walewicach jak potem w Goślubiu pochłonięła mnie bez reszty. Walewice położone są 100 a Goślub 120 km od Warszawy. Mój pierwszy wyjazd z Walewic był na ślub Joli (ostatnie dni czerwca) a potem wyjeżdżałem co dwa tygodnie wczesnym popołudniem w sobotę i wracałem w nocy w niedzielę. Latem jeździłem motorem,

jesienią i zimą autobusem, który dochodził do miasteczka Piątek i stamtąd 5 km na piechotę do Goślubia.

18.12.2004

Z sympatią, o której pisałem wyżej spotykałem się więc co dwa tygodnie i trudno się dziwić, że stosunkowo szybko nastąpiło rozstanie z jej inicjatywy przy bardzo małym zmartwieniu z mojej strony. Rozstaliśmy się w przyjaźni ale kontakt urwał się całkowicie.

Pomimo bardzo głębokiego zaangażowania się w pracę w Goślubiu bardzo odczuwałem samotność bo z dużego wiru w Warszawie byłem tam całkowicie samotny. Szczęście byłem w dobrych albo wręcz bardzo dobrych stosunkach z rodziną kierownika gospodarstwa Goślub pana Jacka Studzińskiego. Było to bardzo kulturalne i bardzo kochające małżeństwo mające czwórkę dzieci: Wojtka, Grześka, Jasia i Małgosię. Państwo Studzińscy zdawali sobie sprawę, że jest mi ciężko i samotnie, stąd często zapraszali na kolację i trochę matkowali. Pan Jacek był po ciężkich przeżyciach z UB zaraz po wojnie działał w NSZ i został przez UB złapany. Według Pana Jacka wpadli w ręce UB w momencie kiedy decydowali się już rozbroić a ponieważ nie mieli cywilnych ubrań wpadli do sklepu w Łodzi aby te ubrania po prostu zabrać. Cała grupa wylądowała w łapach Moczara szefa UB w Łodzi. Pan Jacek był tam tak bity, że nie mogą wytrzymać w pewnym momencie wyrwał się skoczył świadomie w okno i poleciał w dół dwa piętra. Szczęśliwie dla niego powiesił się na drutach telefonicznych skąd go zdjęli z uszkodzonym kręgosłupem. W szpitalu więziennym podkurowano go a wyrok brzmiał 10 lat więzienia. Odsiedział osiem lat wyszedł w 1955r ale procesy rehabilitacyjne 1958-1960 nie objęły go bo został złapany z bronią w ręku w sklepie z ubraniami. Po wyjściu miał dużo szczęścia bo dyr. Stępniać będąc bardzo wysoko partyjnym przyjął go do jednego z majątków przez niego zarządzany a jak przechodził do Walewic zabrał go ze sobą dając mu kierownictwo Goślubia. Tylko dzięki takiej osłonie pan Studziński miał szansę pracować cna w miarę wysokim stanowisku. Pomimo tego, że ja w Goślubiu byłem od 1964 więc dziewięć lat po jego wyjściu z więzienia jeszcze widywałem aniołów stróży z SB przyjeżdżających do Goślubia interesujących się Panem Kierownikiem.

Pani Barbara S. otwarcie opowiadała, że zostali wyswatani przez rodziny całkowicie z rozsądku i pobierali się „na zimno”. A ta para była tak w sobie zakochani jak rzadko a ciepło rodzinne parowała od nich na odległość. Wstyd przyznać ale ile razy byłem u nich a pani wyjmowała konfitury wiśniowe nie mogłem opanować się i wyżerałem cały słoik.

Bal sylwestrowy 1964/65 odbyłem w Walewicach gdzie w pięknej sali zjechali się wszyscy kierownicy i zootechnicy z żonami z całej Stadniny osób było więc dużo, tyle tylko nie dość, że byłem najmłodszy to jeszcze solista. Wtedy z żalu na moją samotnością urządziłem się do nieprzytomności i pamiętam jak pani Basi praktycznie zносиła mnie do sań dość powiedzieć, że przez 22km sany na mrozie pod kożuchami nie otrzeźwiałem. Pamiętam tyle, że Pani Basia wciągała mnie do domu (pan Jacek pod żadnym pozorem nie mógł podnosić nawet najmniejszych ciężarów). Podobne urznięcie miałem jeszcze tylko raz już w Dębolicach.

Praca zawodowa była o tyle trudna, że obejmując Goślub chlewnia miała słabe wyniki hodowlane i produkcyjne a równocześnie kończono budowę nowoczesnej jak na tamte czasy obory, którą trzeba było zasiedlić zdrowym materiałem. Z chlewnią poszło stosunkowo łatwo bo już 1966 roku była to jedna z lepszych chlewni w woj. Łódzkim.

Z oborą zostałem przez zootechnika wmanewrowany w sytuację, która mogła grozić nieobliczalnymi konsekwencjami. Sprawa polegała na tym, że ze starej obory do nowe wprowadzałem tylko te krowy, które nie miały odczynu gruźliczego i brucelozowego tych sztuk było mało, więc dostałem uzupełnienia z Walewic, Kter i Soboty, sztuki przekazywane do mnie wyznaczał główny zootechnik Stadniny. Wśród sztuk przekazanych bezpośrednio z Walewic przyszła krowa o nr 78 (tego nr nie zapomnę chyba nigdy), która miała wynik brucelozowy wątpliwy. Główny zootechnik uznał, że jak wątpliwy to zdrowa i wysłał do Goślubia takich wątpliwych cztery. Jak się potem okazało co do trzech się nie mylił a 78 była siewcą brucelozy. Pojawiająca się jałowosc w stadzie i czasami poronienia jakoś mnie nie uczuliły przerażenia padło na wszystkich jak okazało się w marcu lub kwietniu 1965 ze na 120 krów 36szt ma dodatni wynik brucelozowy. Oczywiście główny zootechnik oficjalnie poszedł w zaparte, że to nie jego decyzje (miałem co prawda na piśmie wykaz sztuk do przyjęcia ale nie mogłem tego wyciągnąć bo bagno było by jeszcze większe) Bojąc się też o własną skórę zootechnik mocno pomagał wybrnąć z sytuacji bo i jemu i nam w Goślubiu tj. kierownikowi i mnie groził czarny scenariusz do kryminału włącznie, nie mniej mówiło się ja byłem winny bo za oborę odpowiadałem bezpośrednio. Ze sprawy wybrnęliśmy szczęśliwie szybko sprzedając momentalnie wszystkie te sztuki na rzeź stosując odpowiednie zapisy tak więc jak przyjeżdżały komisje weterynaryjne to już nie miały co badać sztuki były sprzedane na różne nietypowe przypadłości i sprawa rozszedł się po kościach tego czasu wydawało mi się, że dyr. Stępnia nie chce ze mną współpracować co wiele lat potem okazało się całkowitą nie prawdą.

O ile praca nad trzodą czy byłem bardzo mnie wciągnęła o tyle konie poza jazdą konna nie interesowały mnie wcale, robiłem co trzeba bez żadnego zapału . Tyle tylko, że starałem się w miarę możliwości codziennie objeżdżać ogiery.

14.01.2005

W tym czasie poznałem dziewczynę z Piątku, która mocno zawróciła mi w głowie. Znajomość rozpoczęła się dla mnie może w niezbyt efektownym momencie bo poznałem ją następnego dnia po dość groźnym moim upadku z konia przy, którym pokiereszowałem sobie całą twarz zламаłem ząb i byłem dość mocno porozbijany. Dziewczyna była bardzo efektowna, bardzo ambitna i bardzo chciała szybko wyjść za mąż. Szczęśliwie dla obu stron po około pół roku rozstaliśmy się dość zgodnie, Nie mniej nawet Jola była mocno podpłoszona bo zaangażowany byłem mocno. W czerwcu 1965 przez przypadek spotkaliśmy się z Marysią c. na zawodach konnych w Łącku . Tam też zaprosiłem ją aby ze znajomymi odwiedziła mnie w Goślubiu. Chyba we wrześniu przyjechała grupą czterech osób. W tej grupie był Grześ Konarski z sympatią, Marysia i jeszcze któryś z kolegów Marysi ale nie pamiętam kto. Przyjechali zwiedzili Goślub i pojechali. Musiało to jednak zostawić na mnie jakieś wrażenie bo pobyt pamiętam do dziś dość dokładnie.

Przed świętami Bożego Narodzenia w 1965r wziąłem parę dni urlopu i pojechałem do Warszawy. Naprawdę przez przypadek w sklepie Wedla przy Szpitalnej spotkałem Grześka od słowa do słowa powiedział mi, że następnego dnia pod dziekanatem zootechniki powinna być Marysia. Poszedłem tam bez większych zamiarów ale liczyłem się, że ją lub którąś z koleżanek spotkam, po jakimś czasie kręcenia się pod tym dziekanatem Marysia rzeczywiście pojawiła się i wtedy można powiedzieć, że u mnie

coś zaskoczyło. Włóczyliśmy się cały dzień widzieliśmy się też w drugi dzień Świąt, jednak na Sylwestra poszedłem sam w zupełnie inne środowisko. Marysia też była z kolegą na Sylwestrze nie mniej w Nowy Rok spotkaliśmy się znowu i nawet zostałem pokazany siostrze (to dla Marysi też była wyrocznia).

30.01.2005

Logiczne, że w styczniu zacząłem się telefonicznie regularnie meldować u Mojej przyszłej żony a linie telefoniczne mocno się gotowały. O tyle mogło to być śmieszne dla telefonistek (w tym czasie łączyły telefonistki), że mogły dokładnie słuchać co mówimy, a klika z nich znałem więc od czasu do czasu było w telefonie słychać Rysiek możesz nie kończyć nie dopisze Ci tych minut.

Gdzieś w marcu Marysia zdecydowała się przyjechać mnie odwiedzić i po wielkich oporach domowych dostała zgodę na wyjazd wcześniej rano z Warszawy z obowiązkiem powrotu wieczorem. W tych czasach podróżowanie nie było zbyt łatwe choć pociągów i autobusów było więcej niż obecnie. Dość, że mając takie ograniczenia nie mogła jechać komunikacją bez przesiadek. Ustaliliśmy ranny pociąg do Łowicza potem miał być autobus idący przez Piątek z którego miałem ją odebrać. (W tych czasach rozkład jazdy były bardzo zawodne). Pociąg przyszedł do Łowicza prawidłowo ale autobus do Piątku zawiódł. Po jakimś czasie czekana pokazał się autobus do Bielaw miejscowości 12 km przed Piątkiem. Dzielną Maryśką dojechała do Bielaw i zdecydowała się łapać autostop w stronę Piątku co przy niedzieli i małej liczbie samochodów było wielką odwagą. Po jakimś czasie złapała samochód, który dowiózł ją na przedmieścia Piątku skąd do rynku gdzie miałem czekać było 400 metrów. A z Piątku do Goślubia jeszcze 5 km już bez żadnej szansy podwiezienia.

Zgodnie z umową rano (musiał być troch po ósmej) założyłem klacze do bryczki oczywiście wybrałem klacze efektowne więc energiczne a nie jakieś tam spokojne rumpy zaproponowałem państwu Studzińskim, że na przejażdżkę po moją dziewczynę do Piątku zabiorę Jasia i Małgosię (malce miały wtedy pewno pięć lat) i radośnie pojechałem licząc, że całą wyprawa zajmie nam maksymalnej godzinie. Trzeba dodać, że choć nie padało i nie było mrozu było zimno. Nie wyliczę już ile zrobiłem kótek w koło rynku, aby utrzymać kobyły, dzieciaki delikatnie mówiąc były już sine a konie mocno już poddenerwowane. Koło godz. 12:00 ujrzałem moją przyszłą wędrującą z wielką i ciężką paką w ręku. Krótko mówiąc dzielna kobieta. Szczęśliwie bliźnięta były twarde, bo żadne z nich nawet potem nie kichało.

Przewidziane był, że Marysia wróci do Warszawy zgodnie z poleceniem Rodziców wieczorem a ostatni bezpośredni autobus do stolicy odchodził wczesnym popołudniem, co przy tak późnym przyjeździe było bez sensu, stąd wynająłem wieczorem taksówkę i odwoziłem ją na wieczorny pociąg do Łowicza, Tak więc Marysia polecenie wykonała.

Przed Wielkanocą na podwórzu w Goślubiu przewróciłem się na motorze i poważnie skrzyłem nogę, co zaowocowało parodniowym pobytem w Warszawie. W tym okresie widywaliśmy się codziennie. Byłem też z Marysią w operze, ale ból nogi był tak silny a mnie tak zależało, żeby tego nie zauważyła, że poza napięciem, aby mieć buzię uśmiechniętą nic nie pamiętam. W dniu wyjazdu do pracy oświadczyłem się w półtorej godziny później wyjechałem do Goślubia a przecież przeddzień wieczorem rozmawiałem z Jolą i na jej pytanie czy będę się oświadczał stwierdziłem, że jeżeli w ogóle to dopiero

w lecie. Jest to jeszcze jeden dowód jak my mężczyźni w stosunkach damsko męskich mamy wiele dopowiedzenia.

Częstotliwość naszych spotkań z Marysią nie była jednak duża może dwa trzy razy w miesiącu i wspólny urlop przez dwa tygodnie w górach. Marysia obroniła dyplom na cztery dni przed ślubem, który odbył się 22.10.1966 potem pięć dni podróży poślubnej w Kazimierzu (ale łało) i już od 1.11.1966r rozpoczęliśmy pracę w Borowie koło Bielaw niedaleko Walewic.

24.04.2005

Wspomnienia wracają w dziwnych momentach. Warto chyba opisać nasze śluby. Bo też to przyczynek do opisu czasu, Panie zdecydowały, że śluby cywilny i kościelny 9w dużym stopniu ze względów oszczędnościowych) nie w sukniach ślubnych a w eleganckiej sukience (cywilny) i białym kostiumie (kościelny) Szczególnie kostium bardzo mi się podobał. Do obu ślubów jechaliśmy samochodem pana Herbaczyńskiego, który prowadził Andrzej Cedro. Prawdopodobnie z emocji Andrzej zjechał wojskowej ciężarówce i do dziś dnia mam w oczach najeżdżający wóz, szczęśliwie obeszło się na strachu. Ślub Kościelny braliśmy w kościele św Aleksandra na placu Trzech Krzyży. Sakramentu udzielało nam trzech księży. Rektor seminarium duchownego w Siedlcach – przyjaciel rodziny Cedrów, ksiądz Bijak wtedy prefekt zajęć religii dla studentów (na zajęcia do niego chodziła Marysia) i proboszcz kościoła św Aleksandra, bo przecież jak był rektor to i on musiał być. Dziś w 2005r Bijak to proboszcz kościoła w Wilanowie i właściwie działacz polityczno religijny.

Ślub zaczynał się dobrze przyjechaliśmy o czasie cała rodzina nikt się nie spóźnił ustawiono nas pod organami wszyscy czekają pięć, dziesięć minut i nic, trzymając Marysię pod rękę próbuję dowiedzieć się , o co chodzi bez skutku. Po kolejnych 10 minutach przychodzi informacja, że księża czekają a brak jest organisty a bez organisty księża nie chcą zacząć. Po kolejnych 10-15 minutach organy się odezwały (Sam nie wiem ile to czekanie trwało, ale podobno ponad 30 min.) Uprzejmi donosili potem, że po mnie widać było zdenerwowanie a po Marysi nie było nic widać. Ślub już jak ślub tyle tylko, że trwał chyba dość długo, bo każdy z księży chciał się wykazać, z kazania do dziś dnia pamiętam tylko pół zdania. „Przyjechaliście do ślubu pięknym samochodem”, co dalej nie wiem. Taka ulewa, jaka nastąpiła w trakcie lub bezpośrednio po zakończeniu ślubu bardzo rzadko zdarza się w Warszawie. Wesele odbyło się w klubie lekarza na AL. Ujazdowskich (Klub istnieje do dziś dnia) było około 70-80 osób skończyło się koło 11 wieczór. Wśród gości weselnych nie było ani jednej długiej sukni. Rano wyjechaliśmy do Kazimierza gdzie przez cały czas łało uczciwie mówiąc bardzo nam to nie przeszkadzało.

30.01.2005

Potem jeden dzień na spakowanie i wyjazd autobusem do Goślubia aby zabrać resztę rzeczy a dalej rzeczy ciągnikiem a my na motorze do Borowa gdzie objąłem stanowisko kierownika gospodarstwa a Marysia odbywała staż w dziale hodowli roślin.

Reasumując ponad dwuletni okres pracy w Goślubiu – zawodowo udało mi się wyprowadzić chlewnie z bardzo kiepskiej na liczącą się w łódzkim chlewnię zarodową. Uzyskać dla obory świadectwo, że jest wolna d gruźlicy i brucelozy, co w tamtych czasach nie było łatwo i przenieść krowy z prymitywnej głębokiej obory gdzie krowy

dojone były ręcznie do nowej na tamte czasy nowoczesnej obory gdzie stosowany był już dół mechaniczny. Osobiście przez rok mieszkalem w zrujnowanym dworku z piecem kaflowym bez wody i bez łazienki. Z miednicą podsuwaną pod miejsce gdzie ciekło z sufitu, choć był to parter i oczywiście z wodą zamarzającą w tej miednicy, bo okien w żaden sposób nie dawało się ogrzać. Fakt, że piec był dobry, ale ciepła na długo nie starczyło. Dopiero w drugim roku dostałem już normalne mieszkanie w bloku pokój z kuchnią i normalną łazienką.

Zarobki w tym okresie nie były rewelacyjne, bo w „posagu” z własnego dorobku wniosłem wersalkę i jakieś drobne przedmioty.

Borów nie pozostawił u mnie większych wspomnień, gospodarstwo małe a do zarządzania bardzo dużo szefów tak, więc od początku oglądałem się za czymś ciekawszym. Przypuszczam, że Marysia ma stamtąd więcej wspomnień, bo to jej pierwsza praca, spokojna i w miarę ciekawa, choć w hodowli roślin a nie w zootechnice. Generalnie stosunki mieliśmy tam dobre a praca dla obojga bardzo spokojna mieszkanie też znośne, choć oczywiście nieurządzone. Naszymi jedynymi meblami była wersalka stół krzesła jena szafa, lodówka i pralka wirnikowa urządzenia mechaniczne pochodziły z prezentów ślubnych.

1.04.2005

Po 10 miesiącach pobytu w Borowie otrzymaliśmy propozycję przejścia do Ośrodka Hodowli Zarodowej w Dębołęce ja na stanowisko głównego zootechnika w Ośrodku a Marysia starszego zootechnika w gospodarstwie Dębołęka.

Dębołęka była ośrodkiem hodowlanym na tamte czasy dość nowoczesnym a zootechnicznie bardzo ciekawym trzy obory ogółem około 300 krów, dwie chlewnie dwóch ras ogółem 160 macior, owczarnia 250 matek, dwie fermy zarodowe kur ras mięsnych tak , więc szkoła dla nas obojga świetna. O ile Marysia potrafiła z naczelnym dogadać w miarę dobrze o tyle po mnie i kierownikach gospodarstw naczelnny jeździł jak po łysej kobyle. Generalnie ludzie tego nie bardzo wytrzymywali, choć zarobki jak na tamte czasy były wysokie rotacja na tych stanowiskach była bardzo duża . Nie ukrywam, że nauczyliśmy się tam bardzo dużo nie mniej na dłuższą metę było to nie do wytrzymania.

Poza pracą zawodową w Dębołęce utrzymywaliśmy jak na tamte czasy spore kontakty towarzyskie, które zaowocowały nawet tym, że parę lat potem przyjaciel z Dębołęki był ojcem chrzestnym Marty a działo się to aż w krośnieńskim. Do Dębołęki sprowadziliśmy się w październiku 1967r a w 1968 urodził się Michał. Stosunki w Dębołęce dobrze charakteryzuje fakt następujący. Marysia dostała pierwszych bólów porodowych wcześniej rano, ponieważ było to o trzy tygodnie wcześniej jak przewidywał termin, w dużej panice odwiozłem ją pociągiem do Warszawy oddając w ręce teściowej i praktycznie natychmiast wsiałem w pociąg, aby wrócić do pracy szef nieobecności nie tolerował. Byłem w nocy z powrotem w Dębołęce a już o 13 następnego dnia dostałem telefon, że Michał jest na świecie. Przyszła, że z radości zryczałem się jak bóbr. O ile pamiętam szef puścił mnie na jeden dzień do Warszawy w dwa tygodnie później.

W tamtych czasach Instytut Matki i Dziecka wmawiał wszystkim, że karmienie piersią nie jest najważniejsze, dzieci katowano różnymi mlekami w proszku i papkami, ustalano

idiotyczne stałe godziny karmienia co w efekcie powodowało, że malce były straszenie krzykliwe i płacz trwał godzinami bo (zupełnie nieracjonalnie) bez względu na to, że dziecko było głodne nie dawało mu się jeść aż do przewidzianej godziny. Zupełnie nie racjonalnie nie wiadomo dlaczego zalecano, że nie powinno się dzieci nosić, wszystko to razem powodowało horror. Michał takie godziny płaczu miał od 17:00 do 20:00. Jego wczesne dzieciństwo kojarzy mi się wyłącznie z popołudniowym płaczem. Żadnych wspomnień gaworzenia, pierwszych kroków po prostu nic. Może pozostało wrażenie radosnych śmiechów w czasie kąpieli i tyle.

Dziś patrzę z zazdrością na moje dzieciaki, które swoje dzieci karmią wtedy gdy są głodne, starają się karmić piersią jak najdłużej i nie przyjmują się noszą, tulą itp. dopiero to chowanie daje rodzicom przyjemność i satysfakcję.

Brak wspomnień z okresu rozwoju Michała na pewno był też związany z bardzo silnym zaangażowaniem w pracę, dużym zmęczeniem, lub wręcz wyczerpaniem fizycznym i nerwowym.

W tym okresie szwagier mój w wypadku samochodowym spowodowanym przez pijanego kierowcę stracił nogę. Ze wstydem muszę przyznać, że sprawa utraty nogi przez mojego szwagra i z tym związana sytuacja mojej siostry oczywiście mną wstrząsnęła ale prawdą jest, że praktycznie nic jej w tym okresie nie pomogłem, ze swoim nieszczęściem, wychowaniem synów i bardzo trudnym charakterem męża musiała zmagać się sama i to wiele lat. Moja własna rodzina i praca absorbowały mnie całkowicie. Mam jednak wyrzuty sumienia, że nic jej nie pomogłem, jedyną podporą którą w tym czasie miała to była nasza macocha.

16.04.2005

Bardzo duże zaangażowanie w pracę zawodową i stosunki miejscowe spowodowały, że wydarzenia marca 1968 przeszły koło nas prawie nie zauważone oczywiście o demonstracji z Dziadami, Holoubkiem, Dejmkiem i wprowadzeniem Hanuszkiewicza na teatr Narodowy było głośno natomiast wszystkie hece antysemickiej przeszły praktycznie przez nas nie zauważone. Te zdarzenia nie były problemem prowincji coś działo się w dalekiej Warszawie jakieś wystąpienia czy strajki studenckie, ale to było bardzo dalekie do spraw, które nas wtedy interesowały. Jakieś aresztowania Kuronia, Mechanika czy Modzelewskiego to gdzieś docierało ale było bardzo dalekie. O ile nagonki na syjonistów przeszły koło nas praktycznie obojętne, o tyle najazd na Czechosłowację już był namacalny bo szosą Sieradz Wrocław co noc jechały kolumny wojska a całe dni nad nami (co prawda prawie niewidoczne) warczały samoloty transportowe. W tej sprawie już prowincja była mocno poruszona i generalnie tej agresji przeciwna, choć oczywiście w tamtym rejonie nikt nie protestował.

Nie mniej trzeba pamiętać, że w 1968 telewizor był luksusem większość ludzi go jeszcze nie miała, najczęściej program można było obejrzeć w świetlicy zakładowej o określonych godzinach lub u kogoś bardziej majątnego.

Bezpośrednim efektem tych wydarzeń był przyjazd w sieradzkie marszałka Mariana Spychalskiego, który demonstracyjnie chciał udowodnić, że nie jest żydem i odwiedzał oficjalnie swoją rodzinę jakiś rolników pod Sieradzem. W trakcie tego pobytu w sieradzkim wizytował Dębołękę gdzie Marysia udzielała mu jakiś informacji w oborze.

Wracając do spraw zawodowych w okresie pracy w Dębołęce dużo jeździłem konno bo był to najlepszy sposób przemieszczania się między gospodarstwami. Marysia miała pracę w samej Dębołęce więc konno jeździła niewiele. Już w czasie naszej tam pracy Dębołęka wychodziła na jedno z lepszych gospodarstw w kraju w grupie gospodarstw Zjednoczenia Hodowli i Obrotu Zwierząt.

3.04.2005

Wczoraj zmarł Jan Paweł II do tej pory nie robiłem wtrętów dotyczących chwili obecnej, ale pominięcie takiej chwili wydaj mi się nie na miejscu. Telewizja w ostatnich dwóch tygodniach zmieniła całkowicie programy na wszystkich kanałach. Podając bez przerwy komunikaty o agonii lub informując, że jest trochę lepiej. Drugiego kwietnia koło dziesiątej wieczór wszystkie media podały, że o godzinie 21:37 papież umarł. Żałoba będzie trwała aż do pogrzebu. Tak losy świata potoczyły się, że prawdopodobnie historia tak jak współcześni uznają Jana Pawła II za największą osobowość dwudziestego wieku. Wszyscy jesteśmy przekonani, że bez jego obecności w Watykanie nie było by Solidarności a potem wyrwania się z obozu socjalistycznego i supremacji rosyjskiej. Jego stałe dążenie do dialogu ekumenicznego ze wszystkimi bez wyjątku religiami wzbudziło szacunek na całym świecie.

Tyle może refleksji, a teraz Dębołęka praca w stałym stresie przy wyraźnym niezadowoleniu szefa spowodowała, że pomimo dobrych zarobków i ciekawej pracy zacząłem szukać czegoś innego. W efekcie tych poszukiwań znalazłem pracę kierownika gospodarstwa a dla Marysi stanowisko głównego zootechnika w PGR Sanów koło Poddębic.

Wiedziałem, że z Dębołęki wyjść muszę, nie mniej Marysia, która stosunki z szefem miała poprawne nie bardzo miła ochotę się ruszać, szczególnie, że w Sieradzu miała już grono znajomych i przyjaciół a opiekunka Michała była w miarę dobra. Nie mniej jako dobra żona stawiała tylko nieznaczny opór i przeszliśmy do Sarnowa z dniem 1.04.1970

Dużym szokiem dla wszystkich były wydarzenia grudnia 1970r. w Gdańsku. Prowokacja władzy była ewidentna i obrzydliwa gorzej, że do dziś dnia nie wiadomo, kto wydał rozkaz strzelania. Przyjście Gierka i wyraźny wzrost stopy życiowej zmyliło wiele osób, które w Gierka uwierzyły i wręcz zapisały się do partii.

W Sarnowie warunki mieszkaniowe były lepsze, finansowo w sumie to samo lub niewiele mniej, Marysia zyskała na samodzielności, pracę miała dużo ciekawszą i choć podlegało jej kilka gospodarstw była jednak trochę wolniejsza. Michał dostał opiekunkę kompletną kretynek i nieprawdopodobnego lenia, ale Marysia miała dla niego ciut więcej czasu.

O ile w Dębołęce wiedziałem, że robię dobrze i mam efekty tyle, że nie mogę dogadać się z Szefem o tyle tu jako kierownikowi gospodarstwa nie wyszło mi. Dziś wiem, jakie popełniłem błędy w stosunku do załogi i organizacji pracy, ale wtedy nie było możliwości już tego zmienić i po prostu znów musiałem zmienić robotę.

Praca była jednak dużo mniej nerwowa Marysia zadowolona, więc na efekty nie trzeba było długo czekać i pojawił się 1.02.1972 Marek. Sam poród odbył się z przygodami a było to tak.

Ja 30.01 ustaliłem z szefami, że muszę szukać roboty więc nie byłem delikatnie mówiąc w najlepszym humorze, oczywiście nie przyznałem się całkowicie, ale Marysia intuicją kobiecą musiała czuć co się święci, dodatkowo poślizgnęła się na śniegu i choć upadła tylko na kolano wstrząs musiał być poważny. W każdym razie zamiast z siostrą wyjechać do Warszawy i tam spokojnie czekać na rozwiązanie wieczorem dostała bólów i karetka w zadymce śnieżnej musiała ją zabrać do szpitala w Zgierzu gdzie momentalnie urodziła jeszcze przed dwunastą 1.02.1972r

Prosto ze szpitala z oboma chłopcami wyjechała do Warszawy, aby wrócić do Sarnowa praktycznie na miesiąc przed przeprowadzką. W Sarnowie udało się znaleźć opiekunkę, która z nami przejechała do Odrzechowej i była tam jeszcze trzy miesiące.

Dużą korzyścią pracy w Sarnowie było to, że Marysi udało się skokietować Dyrektora Sarnowa a potem kierownika woj. Wydz. Komunikacji i udało nam się kupić Skodę 100s. Aby kupić samochód w tamtych czasach trzeba było otrzymać talon i ten talon Marysia wywalczyła (O tego kierownika przyznaję byłem zazdrosny). Oczywiście Skodę wzięliśmy na kredyt i spłacaliśmy 3,5 roku ale posiadanie samochodu zmieniło nasz status społeczny. W tych czasach posiadanie samochodu było rzadkością a samochodu z drugiej ręki były dużo droższe jak nowe. Wydaje się to nieprawdopodobne ale przy braku możliwości zakupu nowych stare samochody musiały być w cenie.

Z samym samochodem było dość ciekawie, bo po jego zakupieniu w dwa tygodnie rozwaliłem o hak w ścianie jeden błotnik a następnego dnia Marysia wybierając się do warsztatu, aby błotnik ten naprawić skasowała drugi. Obeszło się więc bez wypominek. O ile moja praca w Sarnowie to swojego rodzaju niewypał o tyle Marysia czuła się tam jak ryba w wodzie. Z zootechnikami i kierownikami dogadywała się bardzo dobrze i miała wyraźnie poprawiające się wyniki w poszczególnych chlewniach i oborach. Z innych rewelacji to pierwszy telewizor zakupiony zimą 1971r.

16.04.2005

Już tydzień po pogrzebie Papieża przez całe cztery tygodnie wszystkie programy telewizyjne zajmowały się początkowo chorobą papieża a potem rozważaniami na temat pontyfikatu. Generalnie programy na bardzo wysokim poziomie emocjonalnym i intelektualnym. Społeczeństwo było bardzo poruszone a oblicza się, że około 1 000 000 Polaków pojechało na pogrzeb Papieża do Rzymu.

Z dniem 1.07.1972 rozpoczęliśmy pracę w Zootechnicznym Zakładzie Doświadczalnym Odrzechowa należącym do Instytutu Zootechniki ja jako Kierownik Stacji Oceny Mięsnej Bydła a po zakończeniu cyklu badań kierownikiem Stacji Oceny Mlecznej Bydła Simentalskiego a Marysia była moją prawą ręką praktycznie asystentem zootechnikiem w obu tych cyklach doświadczalnych. Aby wiele się nie rozwodzić oboje mieliśmy jak na tamte czasy spore sukcesy zawodowe i trzeba przyznać, że w zakresie utrzymania a potem rozwoju rasy simentalskiej mamy jakieś tam zasługi do podkarpacia i małopolski.

Generalnie praca była bardzo ciekawa dająca sporo zadowolenia stosunki międzyludzkie bardzo dobre. Nie prawdą jest, że w latach 1970-2000 istniały w rejonie Krosna czy Sanoka jakiegokolwiek zadrażnienia etniczne pomiędzy Polakami, Ukraińcami i Łemkami. Było tego trochę w rejonie Przemyśla, ale to od Odrzechowej 160 km.

Jedyny fakt, który miałem i był związany ze stosunkami ludnościowymi polegał na tym, że gdy zapaliła się chata we wsi kryta słoną i gdy chciałem moich strażaków (pracowników) poderwać aby jechać gasić stanęli murem, że nie pojadą. Jak się okazało mieli rację (właścicielem chaty był Łemek, o którym wiadomo, że w czasie wojny był w UPA) jak zapaliła się strzecha to pociski równo strzelały. Wieś po prostu wiedziała, że on miał broń, wybuchy nie zmieniły stosunku do niego, stosunek wsi był do niego dokładnie taki sam przed jak i po pożarze. Generalnie wspomnienia rzezi organizowanych przez bandy UPA były jednak żywe jednak bardzo złagodzone tym, że Akcja Wisła (1947-1948) większość Łemków i Ukraińców wyeksportowała na ziemie Zachodnie lub na Ukrainę. W rejonie Pastwisk (tak nazywało się gospodarstwo, w którym mieszkaliśmy i pracowaliśmy) wysiedlono o ile mi wiadomo 5 wsi około 500 domów. Po wsiach tych pozostały tylko pojedyncze zawalone studnie i resztki sadów przydomowych. Praktyką było, że po wysiedleniu ludności wojsko wieś podpalało a to co nie spłonęło rozszabrowały wsie nie wysiedlane. Generalnie skala wysiedleni była olbrzymia. Niemniej w latach jak tam pracowaliśmy w okresie świąt bardzo wielu Ukraińców przesiedlonych na Ukrainę w czasie akcji Wisła przyjeżdżał tu do rodzin oczywiście smuglując nagminnie złote pierścionki.

W rok po rozpoczęciu naszej pracy w Odrzechowej bo 16.08.1973r urodziła się Marta co oczywiście spowodowało konieczność przyjmowania kolejnych nianiek w tamtym czasie znalezienie kogoś do opieki nad małym dzieckiem było wielką sztuką. Jakoś sobie z tym poradziłyśmy a stosunki z tymi Paniąmi nadają się na osobne opowiadanie.

W 1974 wyjechałem na miesięczną praktykę Związku Hodowców Bydła Simentalskiego w Szwajcarii. Praktyka ta pod względem zawodowym była bardzo pożyteczna i przez wiele lat potem jeszcze korzystałem z wiedzy zebranej w czasie tego pobytu. Turystycznie dla odmiany była mało ciekawa choć Berno poznałem nie najgorzej.

6.05.2005

Generalnie początek lat siedemdziesiątych był dla całego społeczeństwa bardzo korzystny zarobki wzrosły bardzo znacznie. Ułatwiono bardzo wyjazdy zagraniczne, rolnikom zniesiono dostawy obowiązkowe co umożliwiło rozwój wsi, cenzura choć ciągle ostra, mocno zelżała więc można było mówić dużo więcej niż poprzednio. Sielanka ta trwała do 1976r kiedy to władzy zaczęło brakować kredytów zagranicznych i władza zdecydowała się podnieść ceny. Ogłoszenie tych decyzji spowodowało wybuch czerwcowych strajków robotniczych głównie w Radomiu i Ursusie. Władza miała wprawę w rozbijaniu strajków więc uporała się z nimi szybko ale z podwyżek w pierwszym momencie wycofała się a w zamian za to wprowadziła kartki żywnościowe początkowo na cukier a potem na inne produkty. W moim życiu pojawienie się tych kartek nie było pierwszą w latach pięćdziesiątych już to przeżywałem. Kartki zostały przyjęte przez społeczeństwo spokojnie. Nie mniej władza pacyfikując strajki czerwcowe działała bardzo brutalnie aresztując robotników przepuszczających ich przez ścieżki zdrowia, często zwalniając z pracy a na dodatek oskarżając w sądach i skazując na spore wyroki. Działanie to spowodowało utworzenie w Warszawie a następnie w innych miastach Komitetów Obrony Robotników tj KOR. Organizacja ta w skład której weszło sporo autorytetów postawiła sobie za cel pomoc represjonowanym, upublicznienie bezprawnych działań władzy a co najważniejsze jako jedno z celów przyjęła walkę o utworzenie niezależnych związków zawodowych. Organizacja ta działała w dużych

miastach ale ich akcje rozchodziły się dużym echem na prowincji. Działania tego komitetu zaprocentowały potem przy strajkach lat osiemdziesiątych.

19.04.2005

Dziś o godz. 17:55 ogłoszono, że konklawe wybrało nowego Papieża Józefa Ratzingera, który przyjął imię Benedykta XVI generalnie komunikaty prasowe są pozytywne. Obecny Papież nie jest zaskoczeniem był wymieniany najczęściej jako kandydat a wybrała go bardzo szybko bo już w czwartym głosowaniu. Za mojego życia to już szósty Papież kolejno to: Pius XII, Jan XXIII, Paweł VI, Jan Paweł I, Jan Paweł II faktem jest, że zainteresowanie tym ostatnim wyborem w Polsce było bardzo duże. Na pewno wpływ Jana Pawła II na młodzież był bardzo duży i pewno to spowodowało to wielkie zainteresowanie wyborem jego następnym.

19.04.2005

Przed wyjazdem do Berna odbyłem dwie dość nietypowe wizyty jedną do Ministerstwa Rolnictwa do Kierownika Działu Hodowli Bydła, którego nie znałem w ogóle, z propozycją, że z Berna przywiozę dla Departamentu oficjalne wydawnictwa Związku Hodowców Bydła Simentalskiego (w tamtych czasach każde materiały o Hodowli w państwowych były na wagę złota) Oczywiście przyjął mnie bardzo życzliwie przedstawił współpracownikom i stwierdził, że na materiały będzie oczekiwał i drugą u tej mojej pierwszej sympatii, o której pisałem (w 1973 była już mężatką z kilkuletnim stażem) z propozycją, że mogę od niej zabrać listy do Janusza Grodeckiego mojego przyjaciela z ogólniaka i studiów, który mieszkał w Szwajcarii. Oczywiście ze Szwajcarii przywiozłem całą tekę publikacji, które zostawiłem w Ministerstwie jak również sporo wiadomości od Janusza.

Obie wizyty bardzo zaprocentowały w przyszłości, bo dzięki poznanym w Ministerstwie osobom pracując już w Warszawie miałem do nich bardzo łatwy dostęp ułatwiało to kontakty zawodowe i w jakimś stopniu przyczyniło się do paru wyjazdów służbowych za granicę (w tamtych czasach nie była to łatwa sprawa) a z byłą sympatią i jej mężem nawiązaliśmy bliskie kontakty i obie rodziny spotykają się parę razy w roku.

Praca w ZDD Odrzechowej bardzo nas pochłaniała, stosunki towarzyskie jak na tamte czasy mieliśmy dość szerokie, dzieciaki chowały się dobrze i były zdrowe, status finansowy może nie rewelacyjny, ale jak na tamte czasy poprawny stąd można powiedzieć, że była to mała stabilizacja dająca jak mi się wydaje satysfakcję nam obojgu. Nie mniej pobyt na wsi trwał dla mnie już piętnaście lat a dla Marysi trzynastie, trzeba było zdecydować się czy praktycznie pozostajemy w terenie na stałe czy też wracamy do Warszawy. Za powrotem do Warszawy przemawiały szkoły dla dzieci, tęsknota Marysi do Matki jak również to, że oboje zdawaliśmy sobie sprawę, że w Odrzechowej nie odniesiemy już większych sukcesów poza tymi, jakie już mieliśmy.

Olbrzymim pozytywnym wstrząsem a wręcz ogólnie – narodową dumą był wybór w październiku 1978 papieża Polaka. Wtedy nikt nie przypuszczał, jakie to będzie miało znaczenie.

Wracając do spraw bardziej przyziemnych , jedna z naszych szefowych przeszła z Instytutu Zootechniki na zastępcę dyrektora Centralnej Stacji Hodowli Zwierząt w Warszawie, więc jak zwróciłem się do niej czy możemy liczyć na pracę w tej instytucji

wyraziła w styczniu 1979 zgodę na nasze przejście od 1.07.1979. Dla utrudnienia 28 lutego w zupełnie głupi sposób złamałem nogę i Marysia z dużymi kłopotami przetransportowała mnie do szpitala na Lindleya w Warszawie. Z nogą były dość poważne kłopoty tak, że ze szpitala wypisano mnie dopiero 1.05 a gips zdjęto 14 czerwca ostatecznie noga zrosła się, ale pozostała o cztery cm krótsza.

Moje kłopoty spowodowały, że cała likwidacja mieszkania w Pastwiskach, przekazanie mojego i jej stanowiska organizacja przewozu rzeczy oraz urządzenie mieszkania spadły na jej głowę. Ja skręcając się ze złości, że nie mogę nic pomóc mieszkaniem jak basza w Łukaszewiczów. Marysia poszła do pracy 1.VII. a ja dopiero 1 października 1979r.

W maju będąc u Łukaszewiczów mogłem obserwować przez okno przejazd Papieża w czasie jego pierwszej pielgrzymki do Polski. W tym czasie praktycznie wszyscy moi znajomi byli albo na placu Piłsudskiego lub w jego pobliżu na mszy papieskiej.

1.05.2005

Praca w CSHZ to typowa praca urzędnicza, moja w dziale hodowli bydła., Marysi początkowo w dziale rozrodu potem w dziale hodowli trzody. Małe sukcesy drobne porażki typowy urząd. I tak prawie jedenaście lat, bo w kwietniu 1990 roku przeszedłem do francusko –polskiej firmy Asipag jako przedstawiciel francuskiej firmy Biret jako handlowiec.

Dzięki pracy w CSHZ wielokrotnie byłem we Francji, Bułgarii, Węgrzech. Byłem też jako kowboj dwa razy z transportach kolejowych byków rzeźnych do Grecji, dwa razy do Jugosławii i raz z cielętami do Austrii wyjazdy te były bardzo korzystne finansowo, bo były płacone w dolarach a dolar miał bardzo dużą wartość., dość powiedzieć, że dwa wyjazdy do Grecji plus moje 100 dolarów i kupiłem Malucha (Fiat 126p) bo wtedy kosztował on 540 dolarów. Pensja w latach osiemdziesiątych to 2400=3000zł a jeden dolar 100zł.

Przez te jedenaście lat polityczne bardzo wiele zmieniło się Strajki Sierpniowe potem utworzenie Solidarności - byłem jej twórcą w Dyrekcji CSHZ i współtwórcą tego związku wszystkich krajowych oddziałów CSHZ (tu już nie byłem w szefostwie). Dużym przeżyciem dla wszystkich było ogłoszenie stanu wojennego w grudniu 1981r. W pierwszym tygodniu Stanu wojennego bardzo denerwowałem się, że mnie zapudłują w tym okresie bardzo mi pomógł szef Obrony Cywilnej CSHZ bo jak przed sylwestrem 1981r zjawili się w CSHZ, SB-owcy z wywiadami o działaczach to dał mi podobno spokojną opinię stąd mnie nie ciągnano ani nie internowano.

Śmierć Przemyska, która była olbrzymim wstrząsem dla Michała, potem śmierć Popiełuszki i jego gigantyczny pogrzeb, obliczono około 500 000 osób, na ten pogrzeb pozwoliłem już iść Michałowi, Marka i Marty jeszcze nie puściłem. W cały okresie lat osiemdziesiątych czuło się działanie podziemia – prasy powielaczowej dużo, wydawnictwa Kultury Paryskiej i drugiego obiegu można było dostać stosunkowo łatwo. Działalność KOR i Latającego Uniwersytetu była praktycznie publiczną tajemnicą. SB działaczom dokuczało czasem mocno, ale praktycznie normalnych zjadaczy chleba nie ruszało. Odbierałem, że władza nie ma ochoty tego wszystkiego zlikwidować, wyraźnie tego oddalonego ruchu obawiała się. Ruch ten narastał , choć nie był agresywny.

Dużym przeżyciem dla wszystkich był „okrągły stół” w marcu a potem wybory czerwcowe, które spowodowały w krótkim czasie rozpad ustroju socjalistycznego w Polsce. W czasie tych wyborów byłem obserwatorem z ramienia środowiska Solidarnościowego. Liczenie głosów skończyliśmy o piątej rano i dla nas samych szokiem było to, że praktycznie od pierwszego przeliczonego głosu było widać, że społeczeństwo prawie jednomyślnie wykreślało kandydatów PZPR. Do działalności politycznej nigdy nie nadawałem się i choć bardzo mnie polityka interesowała nigdy w niej nie uczestniczyłem.

6.05.2005

Przejsie do Asipagu (francuska firma Biret) wyniknęło z dwóch powodów po pierwsze Francuz zaproponował mi pensję prawie czterokrotnie wyższą jak miałem w CSHZ a dodatkowo nie bardzo lubiłem się z moim bezpośrednim przełożonym. Jednak o wszystkim zdecydowały pieniądze, bo poza wysoką pensją miałem do własnej dyspozycji samochód oraz rozliczanie delegacji według rachunków praktycznie bez limitu, mogłem mieszkać w drogich hotelach i teoretycznie jadać w drogich restauracjach.

Praca była szalenie ciężka wymagająca olbrzymich przelotów samochodowych. Wożenia z sobą olbrzymich kwot pieniędzy, wysiłku fizycznego przy wyborze i sortowaniu cieląt a na dodatek bardzo stresująca, bo nie tylko trzeba było skompletować tygodniowo jedno do trzech samochodów cieląt (taki samochód do około 300 cieląt w sumie 22-25ton). Samochód musiał być wyekspediowany pełny, nie było usprawiedliwień, jeżeli transportu nie udało się zapełnić. Dodatkowo jeszcze nerwy czy transport przejdzie bez kłopotu granicę, bo zdarzyło się że transporty były z różnych powodów blokowane na granicy, w takim przypadku bez względu na porę i moją obecność w Warszawie trzeba było użyć wszystkich możliwych metod, aby celnicy lub weterynaria w Rzepinie transport przepuściła. Podczas trzech lat pracy tylko raz miałem sytuację, że trzy TIRU z cielętami musiałem cofnąć z Rzepina do Walewic gdzie miałem bazę, aby je tam poić przez dwa dni i powtórnie wysłać. Tu błąd braku dokumentów transportowych był ze strony mojego partnera, więc nie usłyszałem ani jednego słowa krytyki, ale też żadnej pochwały, że udało uniknąć się upadków i dużej utraty wagi cieląt. Po prostu uznał to za normalność

Pomimo dobrych zarobków pracy tej nie lubiłem. W lutym 1993 niedaleko Ostródy owinąłem się polonezem w koło drzewa, uszkodzając mojemu partnerowi z samochodu szyjkę kości biodrowe, co unieruchomiło go na pół roku, mnie szczęśliwie nic się nie stało. Wina była całkowicie po mojej stronie, byłem po 14 godz. Prowadzenia samochodu i jechałem podczas ślizgawicy dużo za szybko. Upłynęło już tyle lat a ja do dziś dnia to zbliżające się drzewo mam w oczach. Szczęśliwie z kolegi nie zrobiłem kaleki do dziś dnia utrzymujemy bardzo serdeczne stosunki.

Moja firma we Francji miała poważne kłopoty finansowe i z tego powodu odmówiła mi podwyżki a w tym czasie inflacja szła już w zastraszającym tempie, więc rozejrzałem się za inną pracą i w październiku 1993r przeszedłem do Agencji Własności Rolnej oddział w Warszawie na stanowisko specjalisty. W pół roku po moim odejściu firma Biret zbankrutowała. Generalnie muszę przyznać, że nawet z Warszawy było widać, że była bardzo źle zarządzana.

8.05.2005

W pierwszych czterech latach działalności w AWP moja praca polegała na nadzorze zagadnień hodowlanych w czołowych gospodarstwach hodowlanych Polski, działaniach osłaniających prywatyzowane gospodarstwa hodowlane i prywatyzowaniu najślabszych z nich. Uważam, że swój prywatny sukces zoblokowanie decyzji prywatyzacyjnej dla gospodarstwa Knyszyn, które w tym czasie praktycznie raczkowało w hodowli świń i bydła a dziś jest czołowym gospodarstwem hodowlanym w woj. Podlaskim. W tym działaniu największy sukces miała dyrekcja Knyszyna, ale bez mojej pomocy firma poszłaby do sprzedaży i prawdopodobnie hodowla znikłaby tam całkowicie. Tak jak wiele lat wcześniej w Odrzechowej tak i w tym okresie w Knyszynie zostawiłem kawałek serca (pisząc górnolotnie)

W Agencji pracowałem do listopada 2001 r prowadząc przez te lata kolejne prywatyzacje gospodarstw hodowlanych. W robotę wdrożyłem się, chyba robiłem ją nieźle, ale na skutek decyzji polityczno prywatnych w naczelnstwie, potrzebne było stanowisko dla kogoś popieranego i naczelny dał mi propozycję nie do odrzucenia abym przeszedł do Agencji Modernizacji i Restrukturyzacji Rolnictwa. Sytuacja finansowa była lepsza niż w AWR, ale roboty tej nie znosiłem a na dodatek wcale na niej się nie znałem, bo dotyczyła kredytów i spraw z tym związanych.

Jak z nieba spadła mi propozycja przejścia od 1.02.2002 do Krajowego Centrum Hodowli Zwierząt na dyrektora Regionalnego Centrum Hodowli Zwierząt w Parzniewie. Instytucja ta jest spadkobierczynią Centralnej Stacji Hodowli Zwierząt, w której pracowałem 11 lat. Na tej robocie znam się i ją lubię, więc wyżywam się bez reszty, Naturalnie nie ma róży bez kolców życie niesie stale jakieś niespodzianki nie mniej na koniec kariery zawodowej mam olbrzymią satysfakcję, Naturalnie liczę się z tym, że za parę miesięcy osiągnę wiek emerytalny i muszę wymyślić sobie dalsze dziedziny działania nie mniej nie przypuszczałem, że na koniec kariery zawodowej będę mógł się naprawdę wyżyć. Jak długo jeszcze będę mógł pracować nikt tego nie wie cichym moim pragnieniem jest pociągnąć jeszcze rok może dwa.

24.08.05

Warto chyba już te bazgroły zakończyć patrząc wstecz swojej kariery zawodowej i kariery zawodowej Marysi nie musimy się wstydzić oboje doszliśmy w swoich zawodach do stosunkowo wysokich stanowisk. Stanowiska te uzyskaliśmy bez protekcji czy układów. Mamy troje wspaniałych dzieci dobrze wykształconych, każde z nich ma wspaniałego partnera życiowego a na dodatek mamy sześcioro wspaniałych wnuków. Cała trójka jest jak na razie nieźle ustawiona i ma już swoje sukcesy.

Zdrowie jak na razie nam dopisuje i oby tak dalej więc Bogu dziękuję, że pozwoli nam przejść przez życie w miarę bez burz i wielkich wstrząsów. Nie można zapominać, że nasze pokolenie jest pierwszym od 150 lat, które przeżyło życie bez bezpośredniego kontaktu z wojną i choć były lata ciężkie a były to lata naszego dzieciństwa, więc znosił się je dużo łatwiej niż znosiło je pokolenie naszych rodziców. My stopniowo wychodziliśmy za absurdałnego ustroju oni najpierw przeżyli wojnę potem wpadli w koszmar socjalizmu a nawet jeżeli dożyli do zmiany systemu byli to już ludzie starzy.

Czytając ten tekst widzę, że bardzo mało tu wspomnień o krewnych znajomych i przyjaciółach coś pomimo wszelkich pozorów chyba jestem jednak samotnikiem i poza własną żoną świata nie widzę.

KONIEC

Drugi tekst wspomnień po przeczytaniu całości wydaje mi się nudnawy ale już nie będę zmieniał..

23.01.2009

Garść wspomnień ważnych i nieważnych

Minęło parę lat jak skończyłem pisać wspomnienia i nie myślałem że zabiorę się do tego powtórnie. O ile wspomnienia dotyczące dziadków i rodziców spotkały się z dobrym odbiorem o tyle opis moich wspomnień nie zadawała tak mnie samego jak i tych co je czytali..

Uczciwie mówiąc ta część wspomnień nie była najlepsza. Z jednej strony brak satysfakcji a z drugiej presja Marka spowodowały że biorę się za pisanie tego tekstu po raz drugi.

Jeżeli dobrze rozumiałem Marek chce szerszego tła wydarzeń szczególnie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych ,spróbuję więc trochę poszerzyć wspomnienia o wrażenia historyczno – społeczne tego okresu . Słowo daję nie mam najmniejszej ochoty, ale Marek tak przyciska że nie wypada mi odmówić. Co prawda naciska tylko mnie a nie rusza swoich teściów ale to już jego sprawa.

Od czasu zakończenia tamtych wspomnień upłynęło parę lat więc istnieje prawdopodobieństwo , że o niektórych sprawach nie będę pamiętał lub będę je inaczej naświetlał niż poprzednio ale to już trudno.

Tyle wstępu i zaczynam powtórnie.

Okres od 15.11.1940 prawdopodobnie do drugiej połowy 1943 lub początku 1944 a więc okres niemowlęstwa i bardzo wczesnego dzieciństwa, co zrozumiałe pozostaje w mojej w błogiej niepamięci.

Pierwsza zarejestrowana migawka to- ganek w Stasinku (gospodarstwo pod Jabłonną które dzierżawił mój ojciec) na ganku tym matka pierze coś w miednicy a przed gankiem

grupa motocyklistów (dziś wiem że niemieckich) na pewno w skórzanych płaszczach a kilku z nich w hełmach i z karabinami , ludzie ci grzebią coś przy motorach, żadnych huków czy krzyków pełny spokój -po prostu migawka i tyle.

Kolejne wrażenie w tym samym Stasinku idę po trawniku naprzeciwko mnie koza która podchodzi i przewraca mnie biorąc na rogi ,ktoś się głośno śmieje potem pociesza mnie i już.

Trzecie i ostatnie wspomnienie ze Stasinka to już sierpień 1944 cała rodziną (tata , mama , Jola i ja) wychodzimy na łąki nadwiślańskie ojciec wchodzi na stóg siana a wszyscy patrzą na południe w kierunku olbrzymich dymów nad Warszawą , te dymy mam do dziś dnia w oczach. Z opowiadań rodzinnych wiem , że wtedy zadałem pytanie „ Tato czy patrzysz czy nam się dziadkowie nie spalą” powiedzenie to chodziło po rodzinie dość długo.

Ostatnie wojenne wspomnienie musiało być z końca stycznia 1945 r z opowiadań wiem , że było to pod Skierniewicami dokąd Niemcy nas wysiedlili szykując prawą stronę Wisły do obrony przed armią rosyjską- duża duszna piwnica w niej sporo ludzi między innymi Mama Jola i Ja , Taty nie ma z nami ,piwnica słabo oświetlona , nagle do środka wchodzi żołnierze z taśmami amunicyjnymi na krzyż przez piersi i pepeszami w rękach. Pamiętam strach tego momentu ,wiem że Ci rosyjscy żołnierze kogoś szukali głośno podając jakieś komendy.. W chwilę potem wyszli czy kogoś wyprowadzali nie pamiętam.

Generalnie więc jako dziecko, wojny szczęśliwie nie odczułem a w każdym razie nic nie zostało w pamięci co mógłbym określić jako traumę wojenną.

Kolejne fakty ,które już zostawiły ślady w pamięci - to Płock - koniec 1945 r

Na podwórzu przed domem w którym mieszkaliśmy stały rosyjskie armaty przeciw lotnicze koło których kręcili się żołnierze. Generalnie zimno wieczory tylko przy świeczce Przez zasłonięte okno kocem czy szmatami można było czasem wyjrzeć ale było to związane z jakimś zagrożeniem bo nie wolno nam było wyglądać i za takie wyjrzenie była bura lub nawet klaps od mamy. Pewnego wieczora będąc chory leżałem w łóżeczku nagle rumor do drzwi Mama wbiega szybko do mojego łóżka i pod materac lub siennik wciska nerwowo budzik i inne rzeczy mówiąc , że mam bezwzględnie nic nie mówić jeżeli ktoś wejdzie. Po chwili do pokoju wchodzi ciężko dwóch żołdatów (chyba rosyjskich) i o czymś rozmawiają z Mamą, po czym wychodzą. Byłem bardzo zdziwiony (i to zdziwienie dobrze pamiętam), że po wyjęciu zegarka i paczuszki Mama bardzo długo mnie całowała i chyba płakała – na pewno była mocno zdenerwowana. Od tego momentu poczucie , że od żołnierzy rosyjskich może spotkać mnie coś złego tkwiło we mnie całymi latami.

Osobistych wspomnień wojenno- militarnych związanych bezpośrednio z wojną więcej nie mam.

Kolejne migawki z Płocka są też mało dla czytelnika istotne bo dotyczą a to bijatyki między rodzeństwem Zgliczyńskich, szczęśliwego wyciągnięcia przeze mnie jakiegoś trzylatka z basenu do którego wpadł a ja z brzegu wyciągnąłem go za kark, za co byłem mocno chwalony czy też wrażenia jak Jola najadła się wiśni pozostałych po nalewce i wtrąbiła się solidnie co było bardzo dla mnie śmieszne.

Tyle migawek a teraz sytuacja w rodzinna w okresie naszego pobytu w Płocku- to co piszę oparte jest już na informacjach które dotarły do mnie jak byłem starszy.

Rodzice wylądowali w Płocku z początkiem 1945 r (dokładnej daty nie znam) ojciec zaczął pracować w Powiatowym Biurze Ziemskim (mogą nazwę przekręcać) zadaniem tego biura była szeroko pojęta organizacja rolnictwa na terenie powiatu. Trzeba pamiętać , że w tym czasie była prowadzona w oparciu o dekret PKWN z 6 IX. 1944 (potwierdzona potem Ustawą) Reforma Rolna. Zasada była prosta robotnicy rolni otrzymywali początkowo 2-3 ha (od końca 1945 zmieniono na 5 ha – a na ziemiach zachodnich 5-7 ha). Reformie rolnej podlegały całe gospodarstwa łącznie z pałacem i parkiem jeżeli te obiekty pozostawały w funkcjonalnym związku z gospodarstwami rolnymi. Reforma przebiegała bardzo źle chłopcy nie chcieli na warunkach przewidywanych przez Dekret brać ziemi stąd od 1946 reforma była przymusowa .

Generalnie działanie reformy polegało też na tym że byłym właścicielom nie wolno było przyjechać do swojego majątku a nawet przebywać w promieniu 30 czy 50 km od swojego gospodarstwa. Pokazanie się w pobliżu groziło w najlepszym przypadku krótkotrwałym aresztowaniem a często biciem ,szykanami lub nawet narażeniem się na rozprawę pod byle jakim pretekstem i surowym wyrokiem. Efektem tego był całkowicie bezprawny rabunek przez ludność okoliczną i szabrowników ruchomości z podwórzy (inwentarz maszyny) i dworów (meble , zastawy , obrazy). Ruchomości te zaginęły bezpowrotnie i tylko w pojedynczych przypadkach takich jak np. Kozłówka czy Pszczyna udało się że nie zostały rozproszone i nie zaginęły.

Wracając do tematu , Dekret o Reformie przewidywał , że reformą rolną nie będą objęte lub objęte będą tylko częściowo gospodarstwa o specjalnym znaczeniu (np. gospodarstwa nasienne) i ojciec odpowiadał w Urzędzie Ziemskim za wytypowanie tych gospodarstw w powiecie płockim .

Z późniejszych opowiadań wiem , że udało mu się wybronić od reformy szereg gospodarstw powiatu płockiego (między innymi Osiek , Dzierżanów, Nacpolsk) Krubic Działka Czaplickiego i Wilkanowa Mamy nie udało się Tacie obronić i zostały rozparcelowane.

Ojciec zdecydował się na działanie w Płocku uważając że ten rejon będzie dla niego bezpieczny . Nikt go w tamtym rejonie nie znał a według dokumentów Osiek i Krubice były Czaplickiego a Wilkanów mojej matki ale pod nazwiskiem panieńskim Ireny Czaplickiej a nie Ireny Bzowskiej. Nadzieje na większe bezpieczeństwo okazały się płonne bo

UB Płockie stosunkowo szybko rozszyfrowało mojego ojca a jeden z ubowców w rozmowie z Ojcem stwierdził „ mamy opinię pana podwładnego z rejonu AK Jabłonna co prawda nie mamy nic złego na Pana temat, niemniej musi pan wyjechać i to szybko”

W tej sytuacji w styczniu lub lutym Tato zostawił nas i pojechał szukać pracy w Warszawie.

Jak wynika z dalszego ciągu nasz przejazd do Warszawy musiał nastąpić w drugiej połowie lutego lub na początku marca 1946

Pakowania rzeczy na samochód nie pamiętam ale moment wyjazdu dobrze. Ciężarówka mocno wypakowana (samochody były dużo mniejsze jak obecnie) w sioferce kierowca Mama Jola i ja. Wyjechaliśmy na pewno przed południem było w miarę chłodno ale słonecznie. Do Modlina jechaliśmy chyba dość długo . Wtedy droga prowadziła przez twierdzę modlińską a mostów na Bugu i Wiśle nie było . Wjeżdżając w bramę twierdzy jakiś sprzęty zaczepiły się i spadły z hukiem . Postój trwał jakiś czas w efekcie w pobliże obecnego mostu trasy W-Z dojechaliśmy jak się zmierzchało.

Lód na Wiśle jeszcze stał ale przewoźnicy bali się już przejeżdżać saniami bo Wisła mogła w każdej chwili ruszyć . Mama w końcu wyprosiła i rzeczy zostały przełożone na sanie i ruszyliśmy z przodu sanie ciągnięte przez konie, przewoźnicy po bokach każdy z długą tyczką . Z tyłu w sporej odległości Mama prowadząca nas za ręce i chyba jeden czy dwóch przewoźników nas asekurowujących. Mijane zwałone przęsła mostu Kierbedzia mam w oczach jak również trzeszczenie lodu i strach w czasie tego przejścia. Szczęśliwie przeprawa przeszła bez problemów lód nie załamał się. Dalszy dojazd z brzegu na Bielany na Swarzewską 65 całkowicie umknął mi z pamięci .

Pierwsze polityczne wrażenie tego okresu to wędrówka z Tatą i Mamą na wybory (3 razy tak) w czerwcu 1946, pamiętam budynek gdzie się to odbywało i to co Ojciec mi tłumaczył , że pytania zostały tak ułożone aby wszyscy odpowiadali na wszystkie trzy pytania tak , Tato wyraźnie mówił że trzeba na złość władzy przynajmniej na pierwszy punkt odpowiedzieć nie a jeszcze lepiej na dwa (pytana dotyczyły zniesienia senatu, uznanie reformy rolnej, uznania nowych granic państwa polskiego). Wiem , że potem Tato się bardzo złościł gdy referendum zostało z fałszowane przez władze a niestety jeden z naszych kuzynów w tym fałszerstwie maczał palce i to dość głęboko.

W tym czasie Warszawa odbudowywała się bardzo szybko nie mniej pamiętam komunikację miejską opartą na ciężarówkach z demobilu którymi dojeżdżało się na łebka . Trasę ogłaszał kierowca krzykiem . Zawołania te przeszły praktycznie do historii Warszawy.

Trudno opisywać etapy odbudowy miasta widziane oczyma dziecka które mieszka w dzielnicy willowej nie zburzonej a bywa w zrujnowanym centrum stosunkowo rzadko. Nie ulega wątpliwości, że trudności komunikacyjne nie ułatwiały przejazdów. Początkowo dojazd z centrum na Bielany przebiegał z Placu Trzech Krzyży Nowy Świat Krakowskie Miodową do torów przy dworcu gdańskim . tam przechodziło się pieszo przez tory aby z drugiej strony wdrapać się na samochód lub furmankę jadącą na Bielany. Potem ten drugi odcinek przejeżdżało się już tramwajem.

Gdzieś koło 1948 oddano wiadukt Dworca Gdańskiego i przebito drogę przez obecną Andersa (dawna Nowotki) wtedy poszły już tramwaje do centrum. Obecną Jana Pawła oddano gdzieś koło 1959 łącznie z wiaduktem bo w okresie mojej matury chodziłem oglądać postępy budowy

Wracając do tematu głównego- w 1946 r ojciec został naczelnikiem działu kredytów (dla gospodarstw PNZ- Państwowe Nieruchomości Ziemske) w Banku Rolnym. Mama nie pracowała zawodowo

Mieszkanie na który dostał ojciec nakaz kwaterunkowy (w tym czasie o wielkości mieszkania przysługującego rodzinie decydował urzędnik wydziału meldunkowego)

mieściło się na parterze było trzypokojowe z kuchnią i łazienką ale przydział przyznawał na naszą czwórkę i służącą dwa pokoje z używalnością kuchni i łazienki, trzeci pokój zajmował ktoś inny. Nie było to najgorzej, bo właścicielka tego domu mieszkając z córką i chyba synem miała przyznany na pierwszym piętrze jeden pokój z dostępem do kuchni i łazienki.

We wrześniu 1947 roku poszedłem do I klasy szkoły podstawowej. Nie było to daleko a ze względu na to że praktycznie żaden ruch samochodowy nie istniał od razu chodziłem sam. Ruch samochodowy był tak mały, że całymi godzinami z dziećmi okolicznymi graliśmy na Swarzewskiej w dwa ognie bez żadnych przeciwwskazań ze strony rodziców. Z podstawówki pamiętam dwóch nauczycieli – polonistkę – która miała jakieś poważne bóle głowy i ciągle wysyłała nas po proszki z krzyżykiem (tak nazywano proszki od bólu głowy) i matematyczkę której bardzo baliśmy się

Pierwsze poważniejsze wspomnienie ze szkoły to wstąpienie późną jesienią 1947 r do Zuchów z całym przeżyciem „ognisko przy świeczce”, gawęda druha- dziś wiem że były to opowiadania Aleksandra Kamińskiego i samo przyrzeczenie.

Niestety stosunkowo niedługo po tej zbiórce inauguracyjnej drużyna zebrała cały nasz zastęp czy drużynę i ogłosiła że organizacja zuchowa została rozwiązana jeszcze poleciła nasze spisane przyrzeczenie zuchowe schować w rogu krowim, zalaliśmy to stearyną a róg został zakopany na nieistniejących dziś wydmach to miejsce znajdowało się przy między obecnymi ulicami Żeromskiego a Staffa. Ukrycie rogu miało to być tajemnicą całego zastępu. Pamiętam poczucie niesmaku jak rozeszła się plotka, że jeden z kolegów ten róg wykopał.

Musiał to być początek 1948 r. W tym samym roku prawie wszyscy zostaliśmy wpisani do tej Organizacji Harcerskiej (OH) teoretycznie było to nie obowiązkowe ale tych co nie zostało wpisanych było chyba dwóch lub trzech w klasie. Zbiórek praktycznie nie było, tylko na apele szkolne trzeba było przychodzić w białych koszulach i w czerwonych chustach..

Wrażeń szkolnych w okresie 1947-1951 nie pozostało nic. Może impresja, że w 1948 r poszła do szkoły Jola i tyle, oraz druga, że późną jesienią (dziś wiem, że był to grudzień 1948) całą naszą drużynę OH oczywiście w czerwonych chustach popędzono na Politechnikę gdzie weszliśmy na zjazd zjednoczeniowy PPR i PSL chwilę odstaliśmy wzdłuż rzędów delegatów i wróciliśmy do domów. Potem jeszcze pamiętam jedną akademię szkolną na której dostawałem odznakę legitymację OH i tyle było działalności tej organizacji.

W 1948 zaczęła do nas docierać informacja, że Mama jest chora, coraz częściej jeździła do lekarzy i szpitali a kontakt z ojcem był trudny bo stał się bardziej milczący

W 1948 na Swarzewską 48 sprowadzili się wujostwo Krąkowscy którzy będąc w bardzo trudnej sytuacji finansowej okazywali nam sporo serca którego nie potrafiłem im potem oddać i bardzo nad tym boleję.

W czerwcu 1949 Mamę ostatni raz odwieziono do szpitala a nas na dwa miesiące na kolonie do Otwocka. (traumę z momentu odjazdu Mamę do szpitala mam do dziś i tkwi we mnie stale jak wspominam ten moment) Pewno 7 sierpnia Ciotka Krąkowska przyjechała po nas służbowym samochodem (co było wręcz szokiem) i w czasie jazdy

do Warszawy powiedziała nam że Mama nie żyje, wtedy powagi tej chwili nie rozumiałem .

Na pogrzebie kategorycznie odmówiłem siostrze Ojca szybszego powrotu do domu przed zakończeniem uroczystości a zaparłem się tak skutecznie , że do dziś dnia pamiętam od którego drzewa nie mogły mnie oderwać. Następnego dnia po pogrzebie wróciliśmy na kolonie do Otwocka.

Jesienią 1949 polityka szerokim frontem zajrzała do naszego domu. Władze likwidując PNZ i tworząc Ministerstwo PGR potrzebowało procesów na byłych ziemianach pracujących w gospodarstwach PNZ dość powiedzieć, że były (choć niewykonane) wyroki śmierci, wyroki dożywocia, a wyroki 7- 15 lat więzienia wydawano szerokim frontem ,oskarżenia były kompletnie idiotyczne od szpiegostwa po niegospodarność i zagrożenie Władzy Ludowej. W tej sytuacji stąd Tato jako naczelnik wydziału kredytów Banku Rolnego był dla organów władzy osobą dość istotną- początkowo były to wezwania na UB w czasie lub po pracy i przesłuchiwanie do rana. Obowiązkiem było nie przyznawanie się w firmie do pobytu na UB i ranne zdążenie do pracy , potem zatrzymania 24 godzinne , szantaże dziećmi itp. Nawet taki dzieciak 10 letni zdawałem sobie sprawę, że dzieje się coś złego , dodatkowo przeżywałem pod nieobecność ojca rewizje w domu ,bo UB zgodnie z tamtymi zasadami mogło dokonywać rewizji pod nieobecność gospodarzy. Rewizje te przewracały dom do góry nogami a miały na celu zastraszenie bo w jednym z przypadków w trakcie rewizji ojciec wrócił i wtedy okazywało się, że papiery których Ubowcy szukali leżały na wierzchu szuflady czym byli bardzo zdziwieni . Może to być ciekawostka , że papiery te w ogóle nie dotyczyły spraw PNZ i były tylko ewidentnym pretekstem

Sprawa wezwań Ojca na UB nie mogła się przed nami ukryć stąd potem nerwowe wyczekiwanie na Ojca jak spóźniał się do domu choć 15 minut. Poczucie wewnętrznego strachu gdy ktoś z najbliższych opóźni swoje przyjście o parę minut mam do dziś i nie maleje ono z latami.

Na początku 1950r lub późną jesienią 1949 Ojciec dostał zwolnienie z pracy z zakazem pracy w jednostkach państwowych a w kraju były tylko takie instytucje . Człowiek z takim zakazem nie miał szans na żadną legalną pracę, mógł pracować tylko nielegalnie najczęściej wykonywał prace zlecone na nazwisko i zgodę znajomego.

Wtedy już sytuacja finansowa w domu zrobiła się bardzo trudna bo Tato dorabiał na pracach zleconych pod nazwiskami kolegów a to nie trafiało się często, powodowało to że musiał sprzedać też parę pierścionków Mamy .Trzeba przyznać , ze solidarność koleżeńska w stosunku do Ojca była wtedy olbrzymia i praktycznie nie pamiętam też momentu aby w chwili gdy brakło w domu pieniędzy ktoś Tacie nie pożyczył a generalnie większości Taty znajomym powodziło się źle lub średnio.

Okres w którym ojciec był bez pracy trwał dobre dwa jeżeli nie trzy lata.

W tym okresie to jest już w latach 1949 i 1950 choć oficjalnie było to zakazane WA-wa słuchała namiętnie BBC, Głosu Ameryki a po 1952 duże znaczenie zaczęła mieć rozgłośnia Wolna Europa. Na naszym radiu najłatwiej było złapać Głos Ameryki z pozostałymi stacjami ja miałem kłopot Ojciec potrafił znaleźć WE. Trzeba wiedzieć że wszystkie wymieniane wyżej stacje były bardzo mocno zagłuszane.

W roku 1951 nastąpiła niespodziewana wymiana pieniędzy choć na monetach wybitych jest 1949r. Wymiana była straszliwie nieuczciwa i ludzie stracili olbrzymie pieniądze . Nas to nie dotyczyło bo byliśmy w tym czasie bardzo goli ale niezadowolone społecznie było olbrzymie choć nie ujawniło się w żadnych protestach

Kolejne wakacje po śmierci Mamy w latach 1950,51 i chyba 1952 były u dziadków w rejonie Słupska , były to zawsze wakacje pełne wrażeń i bardzo ciekawe Dziadek był tam kierownikiem gospodarstw i choć władza przerzucała go z gospodarstwa na gospodarstwo dopiero rok 1951(ostateczna likwidacja PNZ) spowodował masowy powrót byłych ziemian do centralnej Polski. Z tamtych czasów pamiętam, tak robotników jak i brygadzystów Niemców z którymi kierownictwo gospodarstw nie miało większych kłopotów a wręcz kierownicy gospodarstw bardzo ich szanowali,

Z innych spraw pamiętam też, że wolarze bykami wyciągali z obór na saniach obornik na olbrzymie przyzmy stąd też jarzma pociągowe dla buhajów choć dziś to zabytki nie są mi obce. Tam też widziałem młockę młocarnią napędzaną lokomobilą jak również przypadek kiedy szóstka koni nie mogła wyciągnąć młocarni z błota a wolarz doprowadził dwa byki (może woły) które bez widocznego wysiłku tą młocarnię z błota wyciągnęły. W miarę moich dziecięcych sił pomagałem też układać olbrzymie sterty ze snopów zboża które już bez naszej obecności były młócone późną jesienią lub zimą. O ile dla nas były to bardzo ciekawe wakacje o tyle dla Dziadków był to już okres bardzo nieprzyjemny związany z opisywaną wyżej likwidacją PNZ i przekształcaniem ich w PGR.

Tak Dziadek jak i wielu jego kolegów byłych ziemian musiało się z rolnictwa ewakuować i po prostu znów uciekać z ziem zachodnich na których osiedlali się wcześniej uciekając przed represjami związanymi z ich rodzinnymi stronami. Sytuacja tych ludzi znów była nie do pozazdroszczenia

Z jednej strony zła sytuacja Dziadka z drugiej sytuacja , że po śmierci Mamy opiekowała się nami służąca i a Tato nie szukał partnerki spowodowały , że Dziadkowie starali się sprowadzić do nas. Co prawda Babcia całymi miesiącami przebywała u nas jeżdżąc między Słupskiem a Warszawą ale chodziło tu o oboje dziadków.

Jaką metodą udało się ojcu dostać nakaz kwaterunkowy dla dziadków na trzeci pokój w naszym mieszkaniu nie wiem , sprawa umknęła w mrokach niepamięci , wiem tyle , że trwało to długo i wymagało wielu starań. W efekcie chyba przed wakacjami 1953 sprowadziła się Babcia a Dziadek przyjechał jesienią.

Sprawa posad Dziadka w Warszawie to odrębna epopeja bo w tamtym czasie były ziemianin z olbrzymią kulturą znający się wyłącznie na rolnictwie to same minusy. Dzięki obrotności Dziadka i jego olbrzymiej życzliwości do ludzi, zawsze jakieś zatrudnienie znajdował choć Dziadkom było finansowo bardzo ciężko.

Moje stosunki z Dziadkami układały się dobrze niestety źle układały się stosunki Joli z Dziadkami a szczególnie z Babcią.

. Z moich bezpośrednich wspomnień w maju 1951 przystępowałem do pierwszej komunii oczywiście i tylko na złość rodzicom dzieci przystępujących do komunii, organizacja OH zorganizowała w południe tego samego dnia „przysiężenie harcerskie” mnie i część moich kolegów na tym przysiężeniu nie było co spowodowało że tą odznaką dostałem dopiero w dwa lata później.

Po pierwszej Komunii był obiad rodzinny a ponieważ Ojciec był bardzo stłamszony tak śmiercią Matki jak i sytuacją zawodową i ciągłymi przesłuchaniami, że siostry Ojca chcąc go rozerwać zaproponowały mu aby dorośli pojechali na nowo oddany Mariensztat. I znów pamiętna moja wojna z Cioteczkami bo dostałem zakaz wyjazdu z nimi. Gdy dorośli poszli do tramwaju odczekałem jakąś chwilę i za nimi. Przy dzisiejszym ruchu to się nie bardzo mieści w głowie ale wtedy ruch był minimalny , wsiadłem w tramwaj i z przesiadką dojechałem na Mariensztat ,będąc tam pierwszy raz w życiu ,cała rodzinną grupę znalazłem przy pomniku Przekupki a tamte miny Cioteczek sprawiają mi do dziś dnia przyjemność. Bury nie pamiętam chyba jej nie było.

Inna sprawa , że Mariensztat wtedy wszystkim bardzo się podobał i warszawka była z niego dumna a do dobrego tonu należało zwiedzanie go.

W szkole szło mi dobrze choć bazgrałem strasznie a błędy ortograficzne były na porządku dziennym, przez to że byłem czytany i wygadany szkoła przychodziła mi łatwo choć ojciec mojej matematyce musiał poświęcać sporo czasu.

Wspomnienie które utkwiło to śmierć Stalina w marcu 1953 r. Cały tydzień codzienne apele

na korytarzu szkolnym , potem apel w czasie pogrzebu chyba dwie a może trzy godziny stania (cała szkoła na jednym korytarzu) oraz sprawa niezbyt chlubna bardzo szybko zdaliśmy sobie sprawę , że nauczyciele nie będą mogli odmówić warty uczniów przy zdjęciu Stalina i wszyscy rwaliśmy się na te warty ja robiłem wszystko żeby stać na matematyce. Oczywiście Stalin nic nas nie obchodził ale zwolnienie z lekcji to było coś.

My jako dzieciaki nie zdawaliśmy sobie sprawy, że terror ze śmiercią Stalina nie ustał Takie fakty jak proces biskupa Kaczmarka , aresztowanie prymasa Wyszyńskiego a tym bardziej fakt podpisania w grudniu 1953 r przez 100% episkopatu polskiego wiernopoddańczego porozumienia z rządem wszystko to było zupełnie poza zainteresowaniem trzynastoletniego chłopca.

Dziś wiem że jedynym ustępstwem władzy na rzecz kościoła w tym porozumieniu była religia w szkole która utrzymała się chyba z rok

Inna sprawa że na lekcjach religii księża mieli z nami prawdziwy krzyż Pański

Pomimo śmierci Stalina terror prowadzony przez władze nie zelżał i trwał jeszcze przez cały 1953 i nawet 1954. Pamiętam niesamowite podekscytowanie wszystkich jak WE zaczęła publikować zeznania wysokiego oficera UB- Światły który uciekł w Berlinie Zachodnim a jego rewelacje zaczęły ukazywać się pod koniec 1954 Szczegółów oczywiście nie rozumiałem stąd nie potrafię powtórzyć co on mówił ale wiem że szok dla wszystkich był olbrzymi. Dorośli świetnie zdawali sobie sprawę że ujawnienie przed opinią publiczną świata świństw UB ustami jego bardzo wysokiego urzędnika musi spowodować zmniejszenie ilości wyroków śmierci i głębokie zmiany w tych służbach Rzeczywiście pod koniec 1954 i 1955r trochę ludzi zaczęto wypuszczać choć procesy rehabilitacyjne zaczęły się pod koniec 1956 r rehabilitacje były raczej utajniane przed społeczeństwem . Świństw i niesprawiedliwości ubowskich było tak dużo że nie sposób tego opisywać dość powiedzieć że do dziś dnia nie wiadomo gdzie chowani byli rozstrzelani w więzieniach bo ciała rodzinom nie oddawano. Już na początku 1956 trochę UB-owców uciekło do ZSRR i tam zostało a paru ubowców w 1957 skazano niestety z

symbolicznymi wyrokami reszta albo przeszła do nowo powstałej służby SB lub rozmyśla się

Podstawówkę ukończyłem w 1954 r i bez kłopotu dostałem się do szkoły ogólnokształcącej nr 22 na ul Barcicką 2 potem ten ogólniak przeniesiono do nowego budynku na ulicę Żeromskiego.

Wakacje 1954 r spędziłem u stryja Tadeusza w Bieszczadach wrażenia i blizny z tamtego pobytu są niezapomniane ale chyba opisałem je w poprzednich wspomnieniach więc już do nich nie wracam .Dość powiedzieć że stosunki patriarchalne jakie wtedy panowały między prymitywnymi wozakami pracującymi przy zwózce drzewa w Bieszczadach a moim stryjem przypominały opisy z początku XX wieku

Dzięki temu , że prof. Kanafojski dyr. Instytutu Mechanizacji był bardzo mocny partyjnie zdecydował się w na początku 1954 zatrudnić mojego ojca jako kierownika administracyjnego. Co prawda po roku pracy .kadry Instytutu dały ojcu natychmiastowe zwolnienie (jako byłemu dowódcy kompanii AK) ale bezwzględny zakaz zatrudnienia został zdjęty i ojciec został zatrudniony w Instytucie Nawożenia jako inspektor. Tak więc można powiedzieć że od początku 1954 r Ojciec miał już stałą pensję . Sytuacja finansowa rodziny była ciągle bardzo trudna a nie jak poprzednio beznadziejna.

Większych wrażeń tak gospodarczych jak i politycznych tego okresu nie kojarzę jeżeli nie liczyć tego , że gospośia w kolejce po mięso stawała nierzadko na całą noc a i my po parę godzin musieliśmy odstać aby ją wymieniać, zdarzało się to stosunkowo często. Zła sytuacja zaopatrzeniowa miast wynikała głównie z polityki władz bo od 1949 r zaczęto na siłę zmuszać chłopów do tworzenia spółdzielni produkcyjnych do których musieli przekazywać ziemię, wprowadzono obowiązkowe dostawy (zbóż, ziemniaków , żywca) oraz wszystkimi metodami do aresztowań włącznie niszczone większe gospodarstwa chłopskie nazywając większych rolników kułakami .Oczywiście spraw tych nie rozumiałem ale plakaty z kułakami jako wrogami ludu bardzo dobrze pamiętam.

Trzeba sobie też zdawać sprawę , że pod pretekstem walki z kułakami lub bez pretekstu do 1956 r bez żadnych przepisów odbierano drobnym właścicielom młyny, tartaki małe elektrownie wodne. Praktycznie cały drobny przemysł rolny był na hama zabierany bez żadnych odszkodowań czy nawet wyjaśnień. Tak więc grono pozbawionych swojej własności dzięki władzom to nie tylko ziemianie ale też więksi chłopci lub drobni przedsiębiorcy. Pomimo że zostało to zabierane bez żadnego przepisu do dziś dnia władza zwróciła tylko ułamek tego co zabrała bezprawnie..

Mieszkając w Warszawie sam się z tymi sytuacjami nie spotykałem ale docierały do mnie jako jakieś zasłyszane informacje. Władze starały się aby informacje te nie docierały do środowisk robotniczych zgrupowanych w miastach..

.Nie wiem jak w innych szkołach ale w naszej podstawówce i potem w ogólniaku nauczyciele wyraźnie pokazywali że muszą chwalić ZSRR ale nie jest to prawdziwe. Niechęć do systemu w którym żyliśmy naszych występującą u naszych belfrów my młodzi bardzo wyraźnie czuliśmy a nauczyciele oficjalnie popierający ustrój byli przez nas młodych traktowani z pewną ironią nie mniej wszyscy trochę ich baliśmy się.

Tak więc lata 1954,55 przeszły bez większych wrażeń z jednym wyjątkiem późną wiosną 1955 odbył się w Warszawie Festiwal Młodzieży, pomimo tego że do Polski przyjechała młodzież organizacji socjalistycznych był to jednak powiew Zachodu, przejawiający się między innymi pierwszą większą grupą urodzonych dzieci o niekoniecznie białym kolorze skóry ale też i uświadomieniem sporej grupie studentów że można nieźle żyć w innym systemie politycznym Wiosna 1956 okazała się wstrząsem dla społeczeństwa najpierw w marcu śmierć Bieruta i informacje o XX Zjeździe KPZR z rewelacjami Chruszczowa (może wydawać się to dziwne ale dla nas dzieci informacje o przesiedleniach obozach i łagrach na terenie ZSRR nie robiły wrażenia bo to naprawdę o tym wiedzieliśmy choć bez szczegółów) był to wstrząs dla partyjniaków. Od Śmierci Bieruta odczuwało się jakąś nadzieję że może będzie lepiej. Czuło się wyraźny ferment , rodziny więcej słuchały rozgłośni zachodnich więcej było rozmów o sytuacji. Zaczęły się zwolnienia z więzień i z tym związane wizyty byłych aresztowanych w domach znajomych . I u nas bywali też ludzie którzy wyszli z kryminałów. Ludzie Ci z reguły choć bardzo oszczędnie jednak opowiadali co działo się w murach więziennych . Wiosną wypuszczono z kryminału Gomułkę a w parę tygodni później wyszedł z internowania Wyszyński. O wyjściu tym wiedziała momentalnie cała Polska i co rozumiały my szesnastolatki

Potem czerwiec 1956 i ogólnie znane wydarzenia poznańskie (opisywałem je w poprzednim tekście) był to społecznie bardzo poważny wstrząs który miał wielki wpływ na dalsze losy w Polsce. Kolejnym poważnym wstrząsem społecznym były walki frakcyjne w PZPR a wczesną jesienią w październiku – pojawienie się Gomułki, wiece na Politechnice gromadzące olbrzymie ilości ludzi i zdecydowanie rewolucyjna atmosfera w Warszawie,

Wiece organizowane w dużym stopniu spontanicznie były dla władzy bardzo groźne choć żadnych haseł odrzucających socjalizm nie było, olbrzymim szczęściem władzy było pojawienie się typowego trybuna ludowego (typ Wałęsy) choć szefa organizacji partyjnej w Fabryce Samochodów Osobowych na Żeraniu. Ten 24 może 28 letni działacz partyjny Lechosław Goździk(widać Polska ma coś wspólnego z Lechem) potrafił opanowywać tłumy które słuchały go bezkrytycznie, praktycznie on wyciszył Warszawę i pomógł grupie Gomułki przejąć władzę .Wpływ Goździka na tłumy był naprawdę olbrzymi. Zakończeniem października był wybór Gomułki na Sekretarza PZPR i wiec przed Pałacem Kultury na którym było podobno około 500 000 tys ludzi ilość w tamtych czasach nie spotykana . Byłem na tym wiecu i pamiętam mój zawód , że Gomułka właściwie nic nie powiedział i namawiał tylko do rozejścia się. Byliśmy tam sporą grupą szesnastolatków i wracaliśmy wyraźnie rozczarowani.

Czytelnik który wytrzyma ten tekst czytając o przełomie wieku dowie się dalszych losów Goździka bo w pół roku po wydarzeniach październikowych został zwolniony ze stanowiska sekretarza partii w FSO i słuch o nim zaginął

Może być to ciekawostką że w trakcie plenum na którym powoływano Gomułkę przyleciał do Wa-wy na lotnisko wojskowe Bemowo - Chruszczow, lądowanie tego zupełnie nie typowego samolotu obserwowaliśmy z okien naszej szkoły nie zdając sobie sprawy co to za maszyna i jakich dygnitarzy wiezie.

Potem wyjazd Gomułki do Moskwy i owacyjny jego powrót po załatwieniu korzystniejszej umowy ekonomicznej. (trzeba pamiętać, że popularny dowcip przed

październikiem mówił że my im wysyłamy węgiel a oni nam w zamian z wdzięczności zabierają zboże)

Informacja o rozwiązaniu UB i powołaniu SB rozeszła się szerokim echem szczególnie ,ze kilku szefów UB uciekło do ZSRR a paru aresztowano i nawet skazano. Był to drugi okres spraw Ubowców na trochę większą skalę jak poprzednio. Sprawy w miarę szybko wyciszono niestety bezmiar nieszczęść jakie ta organizacja spowodowała nigdy nie zostanie określona . Wydaje się że społeczeństwo dużych miast działania UB nie zapomniało i całymi latami sprawa się odzywała ,wieś i małe miasteczka raczej były obojętne.

Olbrzymim wstrząsem społecznym w drugiej połowie października 1956 był atak ZSRR na Węgry które pod wpływem polskiego października rozpoczęły zmiany i pod przywództwem Imre Nodja wypowiedziały układ Warszawski . Polska pomoc dla Węgrów była spontaniczna tak w formie żywności ,koców sprzętu medycznego trzeba też przyznać że nawet władza próbowała wysłać pomoc humanitarną. w formie krwi i leków.

Rosjanie udusili Węgry w dwa tygodnie ale zabitych było dużo a Nodja po fikcyjnym procesie rozstrzelali..

Gomułka skończył ze spółdzielniami produkcyjnymi i Polska stała się jedynym krajem z obozu socjalistycznego w której 76% ziemi pozostało w rękach prywatnych. Wstrzymanie kolektywizacji w okresie 1956 i 57 r spowodowało że sytuacja zaopatrzeniowa w kraju trochę się poprawiała a to gwarantowało, że społeczeństwo było w miarę spokojne. Późną jesienią lub wczesną wiosną 1957 Wyszyński dostał audiencję u papieża Piusa XII społeczeństwo bardzo przeżywało jak tam zostanie przyjęty bo zachowanie biskupów w 1953 nie było ładne. Szczęśliwie Wyszyński wrócił z tarczą bez jakichś upomnień Watykanu, miało na to na pewno wpływ to, że ta lojalka biskupów spowodowała sytuację w której władza pozwalała na ograniczone działanie kościoła i on dzięki temu praktycznie istniał.

Nie podpisanie przez czeskiego Kardynała w 1948 lojalki spowodowało całkowite zejście kościoła Czechosłowackiego do podziemia i praktyczną laicyzację Czechosłowacji.

Już późną jesienią 1956 w szkole pojawił się instruktor harcerski który namawiał nas do wstąpienia w szeregi nowo powołanego ZHP na którego czele stanął Aleksander Kamiński przedwojenny działacz harcerski żołnierz AK i pisarz. Wszedłem w tą organizację po uszy działając w niej aż do 1962r.

Już w 1957 roku a potem przez cały 1958 i 1959 trwała repatriacja rodzin polskich z ZSRR my jako harcerze pełniliśmy wtedy tak dyżury w siedzibie PCK na Koszykowej przy porządkowaniu dokumentów jak i przy odbiorze przejeżdżających na dworcu Gdańskim i rozwożeniu ich (komunikacją miejską) z całym bagażem do punktów repatriacyjnych. Była to dla nas wspaniała nauka niechęci do Związku Radzieckiego Dla nas jako harcerzy działanie na rzecz repatriantów skończyło się w 1959 r.

Wiosną 1958 r Aleksander Kamiński został zmuszony przez władze do odejścia ze stanowiska Komendanta ZHP ale w Warszawie instruktorzy z dawnych Szarych Szeregów uznali że dla dobra młodzieży pozostaną ile się da, do wycofania się z działalności harcerskiej zmuszano ich stopniowo do końca 1959

Przeszedłem wszystkie kolejne stopnie harcerskie od szeregowego harcerza aż do stopnia przewodnika , byłem też członkiem komendy hufca, nie potrafię już dziś wyliczyć miejsc i liczby obozów w których byłem uczestnikiem lub komendantem. Rozstanie z harcerstwem miałem o tyle nie przyjemne , że wraz z ośmioma drużynowymi zostałem posądzony o próbę rozłamu w hufcu co było całkowitą nieprawdą. W celu wyjaśnienia sprawy, komendantka hufca Bożena Strzałkowska zorganizowała przesłuchania które miały dla mnie zbyt duże skojarzenia z przesłuchaniami UB i tak mnie to zniechęciło , że po pół roku od tych wydarzeń przeszedłem do rezerwy Z tej grupy ośmiu posądzonych pięć osób zostało dalej - a trójka wyszła z harcerstwa stosunkowo szybko.

Pomimo tego że Bożena była osobą partyjną miała olbrzymie zasługi dla edukacji historycznej i patriotycznej całych pokoleń harcerzy Żoliborza. Byliśmy wychowywani tak w pozytywnej tradycji harcerstwa przedwojennego, działań Szarych Szeregów jak i Powstania Warszawskiego. Uważam, że spełniła kawał dobrej roboty dla młodzieży żoliborskiej. W harcerstwie działałem nie tylko ja ale i Jola która bezpośrednio po powrocie z Sacre Coeur weszła do tego samego ogólniaka co ja i też bez reszty zaangażowała się w działanie harcerskie.

Aktualnie opowiadane bzdury , że ZHP w Warszawie było organizacją socjalistyczną wychowującą w duchu komunistycznym są wypowiedziane przez ludzi którzy z tamtym okresem nie mieli nic wspólnego. Walki komend hufców z Walterowcami (drużynami o nastawieniu delikatnie mówiąc socjalistycznym tworzonymi przez Kuronia) proszą się o opracowanie naukowe. W tej walce przegraną była właśnie Jola bo jej drużynę właśnie przejęli kuroniowcy.

Lata spędzone w ogólniaku do 1958 były w miarę spokojne, szkoła , harcerstwo, zabawy taneczne jakieś drobne flirty sytuacja finansowa w domu trudna ale do wytrzymania. Od 1955 r byłem praktycznie jedynakiem bo Jola była w tym czasie w szkole sióstr Sacre Coeur w Pobiedziskach pod Poznaniem a do Warszawy wróciła już po mojej maturze.

Na SGGW dostałem się bez kłopotu i aby mnie trochę zniechęcić do rolnictwa Ojciec wysłał mnie na praktykę do jednego z gospodarstw Instytutu Nawożenia i Gleboznawstwa Małyszyn pod Gorzowem. Ku niezadowoleniu Ojca wróciłem zachwycony z silnym postanowieniem skończenia rolnictwa.

Wejście na studia w 1958 r łączyło się z rozruchami studenckimi w obronie pisma „Po prostu” oraz zawodem młodzieży co do postępowania Gomułki w sprawach cenzury

Nie prawdą jest jednak dość popularne twierdzenie , że te wystąpienia studenckie były bez krwawe, miałem kolegę który otrzymał na placu Narutowicza postrzał w kostkę co spowodowało , że noga ta była krótsza i niezbyt sprawna. Wg jego opowiadania i innych relacji na Placu Narutowicza odbywały się regularne bitwy studentów z milicją a rannych , pobitych i aresztowanych trochę jednak było. Oczywiście pełne relacje i szczegółowe sprawozdania leciały w WE i innych rozgłoszeniach zachodnich nadających po polsku.

Praktycznie w tych wystąpieniach nie brałem udziału , działały tu głównie starsze lata Politechniki i Akademii Medycznej. Generalnie we wszystkich wystąpieniach studenckich kolejnych lat SGGW było raczej bierne i stojące z boku sam też w tych protestach

młodzieżowych nie brałem udziału. W wystąpieniach tych czynny udział brali też studenci w Krakowie ,Poznaniu i chyba Wrocławiu.

Studia szły mi właściwie łatwo, większych problemów nie miałem, w tym czasie harcerstwo tak mi zaprzętało głowę, że w życiu studenckim nie brałem w ogóle udziału a środowisko w którym się obracałem to znajomi z harcerstwa lub moi rówieśnicy dzieci byłych Jagiellonów (o korporacji Jagiellonia w poprzednim tekście)

Zawsze lubiłem tańczyć więc w 1958 zapisałem się do szkoły tańca Braci Sobiszewskich trwało to trzy miesiące, W następnym roku zapisałem się bo chciała tam iść moja koleżanka a w trzecim roku zależało mi na tym aby Jola i jej koleżanki tam poszły więc odbyłem kurs po raz trzeci . Generalnie w czasie studiów tańczyłem dużo i chyba dobrze, z tym że praktycznie bawiłem się wyłącznie na prywatkach na dużych balach nie bywałem

Sytuacja finansowa w domu trochę się poprawiła dom prowadziliśmy trochę my z Jolą trochę Babcia. Ojciec miał stałą i pewną pracę a ja mogłem dokładać do domu bo korepetycjami i dodatkowymi pracami zarabiałem na swoje niezbyt wygórowane potrzeby(na ostatnich latach studiów zarabiałem lepiej jak przez pierwszy rok na stażu.)

Po pierwszym roku studiów próbowałem załatwić sobie poprzez kontakty wuja Krąkowskiego wyjazd na praktykę do Szwajcarii ale nie mając poparcia ZSP (Związku Studentów Polskich) otrzymałem pierwszą i szczęśliwie ostatnią odmowę otrzymania paszportu co oznaczało niemożność wyjazdu zagranicę.

Zgodnie z przepisami Wydziału Rolnego SGGW po pierwszym roku w czasie wakacji pojechaliśmy z grupą 15 kolegów na praktykę do gospodarstwa Żelazna pod Skierniewice.

Praktyka jak praktyka może nie warto było by o tym pisać gdyby nie nasz Uczelniany opiekun pan Czarnecki był to były ziemianin świetny rolnik i administrator który w `1946 r w szczecińskim organizował PNZ-ty i był tam dyr. rejonu szczecińskiego. Był to jeden z tych ludzi którzy w okresie procesów dyrektorów PNZ- ów dostał wyrok śmierci, przesiedział rok w celi śmierci potem zamieniono mu wyrok na 15 lat i w 1956 wypuszczono i zrehabilitowano go ale w sumie przesiedział chyba 7 lat. Częstą zasadą procesów okresu tz stalinowskiego , było to że główni oskarżeni dostawali 15 lub 25 lat a ich zastępcy wyroki śmierci lub dożywocia. Tak też było z PNZ . Naczelnicy dyrektorzy PNZ Maringe i Potworowski dostali po 15 i 25 lat (oczywiście w 56 zrehabilitowani i zwolnieni).

Może tok rozumowania ówczesnych Polaków polegający na tym , że pomimo wypaczeń i okropności trzeba jednak działać dla dobra Polski, będzie łatwiej zrozumieć przez postępowanie Mariga i Potworowskiego którzy w 1957 zostali doradcami min. Ochaba jako aktualnego min. Rolnictwa i byli nimi przez półtora roku (zrezygnowali jak przekonali się że doktryna ważniejsza jest od ekonomii.)

Wracając do p. Czarneckiego pomimo oficjalnej rehabilitacji nie miał on prawa zajmować eksponowanych stanowisk stąd pełnił funkcję opiekuna praktyk a był to rok 1959 więc już trzeci rok Gomułki. Opiekun praktyk dawał nam dobry wycisk i sporo się tam nauczyłem.

Ja wiedziałem kto on jest on wiedział kto ja a jednak przed kolegami dla jego bezpieczeństwa nie zdradzałem jego historii. / To też przyczynek do pojmowania tamtych czasów/

Lata 59/60 i 60/61 w pamięci nie zostawiły większych wrażeń. Studia bez problemu, harcerstwo bez problemu bardzo dużo tańców i prywatek, pieniędzy jak na studenta sporo ale poza gotówką zostawianą na dom resztę lekką ręką przepuszczałem

Sytuacja ekonomiczna w Polsce trochę się poprawiła się bo twarde decyzje Gomułki o likwidacji spółdzielni produkcyjnych i zezwolenie rolnikom na trochę swobodniejsze działanie spowodowało , że zaopatrzenie było trochę lepsze. Pomimo likwidacji spółdzielni produkcyjnych gnębienie chłopów nie ustawało choć w dużo mniejszym stopniu jak poprzednio . Niedobory w sklepach były normą stąd ciągle coś trzeba było wystawać w kolejkach lub zdobywać na lewo.

W tym okresie tak się kompletnie nie interesowałem polityką , przykładowo w mojej świadomości nie pozostał nawet ślad informacji , że w 1961 r Rosjanie w ciągu dwóch czy trzech dni postawili w Berlinie mur dzielący miasto.

Późną jesienią 1961 r zupełnie przypadkiem na holu przed główną aulą SGGW poznałem moją obecną żonę. Spotkanie może trwało 10 minut może nawet mniej. Chcąc całą wtedy poznaną grupę zaprosić na tańce umówiłem się z Marysią że będę przedstawiony jej Mamie. Marysia była wtedy studentką pierwszego roku. Spotkanie miało miejsce i było dla mnie zaskoczeniem bo teściowa nie dała zgody na zaproszenie Marysi..

W parę miesięcy później wyjechałem na półroczną na praktykę do Chylic pod Jaktorów a potem na dwa miesiące auto-stopu po Polsce.. Od jesieni 1962 Marysia wyjechała na roczną praktykę do Kołudy . Praktycznie więc przez parę kolejnych parę lat kontakty nasze z Marysią były bardzo rzadkie zawsze przypadkowe i bardzo krótkie nie mniej coś musiało we mnie i w niej tkwić.

Pewien wpływ na tą sytuację mogła być niechęć mojej przyszłej teściowej do mnie która po pierwszym spotkaniu ze mną po prostu Marysi zakazała kontaktów z „człowiekiem dla niej nie odpowiednim” Marysia była karną córką stąd unikała mnie jak tylko mogła a z drugiej strony moje i jej praktyki tych kontaktów nie ułatwiały a wręcz uniemożliwiały.

Od stycznia 1963 zacząłem załatwiać powtórnie praktykę w Szwajcarii ale już teraz oficjalnie z poparciem ZSP i aby to poparcie dostać musiałem ostatnie dwa egzaminy zdać na piątkę . W życiu tak sumiennie nie przykładam się do nauki jak do tych egzaminów , o tyle było to śmieszne , że jeden z nich to filozofia a przedmiot ten do niczego i nigdy nie był mi potrzebny

Pierwszego sierpnia 1963 wyjechałem do Szwajcarii na praktykę która miała trwać dwa miesiące , udało mi się przedłużyć ją na sześć miesięcy.

Do końca życia nie zapomnę oczu mojego Ojca i Dziadka bezpośrednio przed odlotem na Okęciu wyraźnie liczyli się z tym choć nic nie mówili, że wyfrunę na stałe w świat.

Rolniczo praktyka ta była mało rozwojowa i niewiele mi dała ale umożliwiła zwiedzenie autostopem dużej części Szwajcarii i Paryża, pozwoliła poznać trochę języka oraz dała szansę poznania ludzi o zupełnie innym spojrzeniu na świat. Pewnym zdziwieniem dla

mnie było stwierdzenie jak wielu Polaków z Polski w tym czasie przebywało na różnych praktykach i stażach w Szwajcarii.

Jako ciekawostkę mojego ówczesnego sposobu myślenia- poznałem tam bardzo miłego Szwajcara który zaproponował mi bardzo ciekawą wycieczkę do Interlaken wyprawa była bardzo ciekawa i miła , wracając szwajcar stwierdził że działa w instytucji zajmującej się kontaktami z lewicującymi organizacjami młodzieżowymi na świecie natychmiast po wycieczce zerwałem z nim kontakt wyobrażając sobie ,że będzie chciał mnie w coś wciągnąć. Do dziś dnia nie wiem czy to miało to sens bo może człowiek ten nie miał zamiaru wciągać mnie w jakieś działania a tylko mnie lubił. Daje to jednak obraz poczucia zagrożenia.

Od początku zakładałem , że po zakończeniu praktyki wracam do Polski i przez myśl nie przechodziły mi pomysły zostania, z podobnymi odczuciami spotkałem się u wszystkich polskich studentów których wtedy poznałem w Szwajcarii

Bezpośrednio propozycji zostania na zachodzie nie miałem ale to praktycznie nigdy nie wchodziło to w rachubę.

W 1963 rozgrywał się konflikt kubański który wszyscy bardzo przeżywaliśmy mając poczucie że Kennedy wygrał. W listopadzie niespodziewane zabójstwo Kennedego poważnie mną wstrząsnęło za słabo znałem jednak francuski aby powiedzieć jak to odebrali szwajcarzy. W każdym razie gazety były pełne tekstów na ten temat.

W grudniu 1963 r wróciłem do Polski aby obronić magisterkę co udało mi się ostatecznie w czerwcu 1964. Pobyt w Szwajcarii umożliwił mi kupno motocykla który w tamtych czasach był przedmiotem marzeń a dla studenta był sprawą poza zasięgiem.

W styczniu 1964 bardzo głośna była sprawa listu 34 literatów i działaczy KIK (Klubu Inteligencji Katolickiej) do Komitetu Centralnego PZPR a potem śmierci Zawiejskiego (pozory wskazywały na śmierć samobójczą w szpitalu ale społeczeństwo nie bardzo w to wierzyło raczej podejrzenia wskazywały na działanie SB)

Ferment w środowisku literackim przeciwko PZPR był w tym czasie bardzo mocno wyczuwalny i tlił się już potem latami. Atmosfera ta dotyczyła jednak praktycznie środowiska wyrobionego intelektualnie Warszawy i może Krakowa do społeczeństwa ferment ten docierał może przez Radio Wolna Europa nie mniej stacja ta nie była jednak słuchana powszechnie i była mocno zagłuszana

Bezpośrednio po obronie dyplomu wyjechałem na staż do Walewic gdzie stażowałem zaledwie dwa miesiące po czym Dyrektor polecił mi przejechać do gospodarstwa Goślub (koło Piątku) gdzie przez dwa lata pełniłem funkcję zootechnika.

W czerwcu 1964 odbył się ślub mojej siostry , wesele było tylko dla najbliższych członków rodziny, całe przygotowania zrobiła Jola sama, wesele odbywało się w naszym mieszkaniu a o sytuacji finansowej rodziny może świadczyć fakt , że Tato aby to skromne wesele mogło się odbyć sprzedał jeden z ostatnich pierścionków Mamy. Wesele Joli miało też powiązania polityczne bo dziadkowie Czapliccy o mało nie spóźnili się na ślub bo taksówka ich wioząca nie mogła dojechać na plac Trzech Krzyży na skutek blokady ulic związanej z przejazdem Chruszczowa

W połowie 1964 r ojciec wraz z Dziadkami przeprowadził się na ul Francuską gdzie już mieszkali wujostwo Krąkowscy przy tej przeprowadzce została zlikwidowana nasza lodówka którą ojciec zdobył zaraz po wojnie , ciekawostką niech będzie to że była to

lodówka działająca na lampę naftową gdzieś w 1947 r elektryk wmontował w otwór gdzie stała normalnie lampa naftowa grzejnik elektryczny od tego czasu nie reperowana służyła do 1964 r

Ciekawostką też będzie , że od przejazdu z Walewic do Goślubia więc od sierpnia 1964 aż do wiosny 1965 mieszkalem w na pół zrujnowanym pałacu ,a mając pokój na parterze musiałem podstawiać miednicę bo w czasie deszczu zalewało mi podłogę , pokój nie miał łazienki , myłem się więc w miednicy mając do dyspozycji metalowe łóżko ,kozę do grzania i gotowania oraz rodzaj półki na której mogłem trzymać rzeczy. Oczywiście w czasie mrozów woda zamarała a zimy były cięższe jak obecnie . Nowe mieszkanie miało już pokój kuchnię i łazienkę i piec węglowe.

Wielką pomocą psychiczną dla mnie była w tym czasie rodzina kierownika gospodarstwa , państwo Studzińscy. On był człowiekiem z poważnie uszkodzonym kręgosłupem na skutek przesłuchań na UB. Według jego opowiadania a w to wierzę , jako młody chłopak działał w grupie NSZ (Narodowe Siły Zbrojne) .Pod koniec 1946 r jego grupa chciała rozwiązać się nie ujawniając się u władz. Aby to zrealizować potrzebowali ubrań cywilnych więc napadli na sklep w Łodzi aby je zdobyć (ukraść).

Przy tym rabunku zostali złapani i przekazani na UB w Łodzi . Szefem UB w Łodzi był wtedy Moczar a był to mocno krwawy Ubowiec (potem w latach 70 udawał popierającego byłych AK-owców i był poważnym działaczem ZBOWiDu).

Studziński był tak bity na przesłuchaniu że wyskoczył z drugiego piętra przez okno, szczęśliwie dla niego zawisł na drutach telefonicznych i tylko uszkodził kręgosłup . Dostał 10 lat z czego odsiedział siedem, jego sprawa nie nadawała się do rehabilitacji więc został z wyrokiem nawet po 56 r.

Przez jakieś znajomości jeden z wysoko partyjnych Dyrektorów zatrudnił go jako kierownika gospodarstwa w Stadninie Koni i osłaniał przed partią.

Państwo Studzińscy byli wspaniałym małżeństwem dobrymi i bardzo szanowanymi ludźmi oboje bardzo mi matkowali aż do ostatniego dnia mojej pracy w Goślubiu. Byli zresztą też na naszym ślubie z Marysią.

Przed Bożym Narodzeniem 1965 r dostałem urlop i przyjechałem do Warszawy , szczęśliwym zbiegiem okoliczności kolega który przed laty spowodował moje poznanie Marysi poinformował mnie że następnego dnia rano prawdopodobnie Marysia będzie pod dziekanatem. Tam ją wyczekałem następny dzień cały był już nasz a pod jej dom odprowadziłem ją bardzo późnym popołudniem. Dla rodziny Cedro był to szok bo było to praktycznie przeddzień Wigilii. W rodzinie w której córki bardzo pomagały w organizacji świąt spowodowało to olbrzymie zaskoczenie . W 10 dni potem wyjechałem do Goślubia zakochany po uszy. Obiektywnie muszę przyznać że tym razem byłem już przez rodzinę Cedro całkowicie akceptowany. W kwietniu oświadczyłem się a w cztery dni po dyplomie Marysi- 22 października 1966r byliśmy już małżeństwem. W okresie od naszego spotkania do ślubu przyjeżdżałem motocyklem do Wa-wy co tydzień lub dwa praktycznie na popołudnie sobotnie i wyjeżdżałem w niedzielę czasem zdarzało się że byłem w piątek późnym wieczorem ale rzadko bo w tym czasie wolnych sobót nie było. Ślub mieliśmy w kościele św. Aleksandra z wielkimi honorami bo trzech księży w tym rektor seminarium duchownego .Opóźnienie uroczystości ze względu na nieobecność organisty. Na dodatek bardzo duża ulewa co utrudniło wyjście z kościoła.

Podróż poślubna to cztery dni pobytu w Kazimierzu nad Wisłą.

Praktycznie w tydzień po ślubie zmieniłem posadę odchodząc z Goślubia.

Od 1 XI zacząłem pracować jako kierownik gospodarstwa w Borowie a Marysia odbywała tam staż w dziale hodowli roślin

O sytuacji ekonomicznej tamtych czasów może świadczyć dość żartobliwy fakt , że na miesiąc przed ślubem Tato Marysi bardzo niepokoił się czy będziemy mieli pieniądze na kupienie tapczanu, a przecież ja już pracowałem dwa i pół roku. Ówczesna moja pensja wystarczała na spokojne życie ale z inwestycjami już trzeba było składać pieniądze czasem parę miesięcy.

Z drugiej strony o zaradności społeczeństwa świadczy to że prezenty ślubne tak nas wyposażyły że parę lat poza meblami nie musieliśmy praktycznie żadnych sprzętów kupować.

Marysia ze stażu była zadowolona, ja nie, bo Borów był małym gospodarstwem a do rządzenia było tam sporo osób stąd jak tylko pojawiła się szansa przejścia na głównego zootechnika do Dęboteki pod Sieradz to zdecydowaliśmy się tam przejść- pieniądze lepsze

mieszkanie większe ja byłem tam głównym zootechnikiem Ośrodka a Marysia zootechnikiem gospodarstwa.

Tak więc od 1 X 1967 zaczęliśmy pracować w Dębotece.

Praca w sumie bardzo ciekawa i jak na tamte czasy dobrze płatna ale niestety szef był straszliwym despotą i tak jak to się dzisiaj określa podlegałem stałemu mobingowi. Marysi stosunki układały się bardzo poprawnie. Gdyby nie złe stosunki z szefem Dęboteka dawała obojgu dużą satysfakcję z pracy bo można się było wyżyć w hodowli bydła, trzody , kur i owiec a dodatkowo jeszcze jeździć konno.

Nie sposób jednak uciec od polityki w 1967r wybuchła wojna „siedmiodniowa” pomiędzy Izraelem a Krajami arabskimi wywołana atakiem Egiptu na Izrael. Wojna ta zakończyła się sukcesem Izraela ale miała choć tego nikt nie przewidywał brzemienne skutki dla Polski. Do tego czasu władze polskie odnosiły się z sympatią mniejszą lub większą do Izraela a stosunki były poprawne, po wojnie okazało się że Izrael i zamieszkujący tam Żydzi są be i stopniowo zaczęły się artykuły antyżydowskie i atmosfera przeciwko żydom zagęszczała się, co w efekcie spowodowało ucieczkę kilku wyższych wojskowych do Izraela więc rozpoczęły się czystki w wojsku . Ta psująca się atmosfera miała bardzo znaczący wpływ na wydarzenia 1968 r.

Każdy kto interesuje się historią wie jak olbrzymią rolę w historii Europy odegrały wydarzenia roku 1968. Wydarzenia te najkrócej mówiąc były w Europie buntami młodzieży studenckiej a dotyczyły Francji , Niemiec i zupełnie w innym charakterze Polski i Czechosłowacji.

W Polsce wydarzenia zaczęły się od buntu studentów ,przeciwko zawieszeniu przez Gomułkę przedstawienia Dziadów w teatrze Narodowym. Sztuka na pewno miała wydźwięk antyrosyjski bo Mickiewicz tak ją napisał , niemniej była wystawiana w innych teatrach wcześniej (już po 1956 r i przechodziła wtedy przez cenzurę). Tu władza uznała że nie wolno. Studenci Uniwersytetu Warszawskiego bardzo mocno się postavili a dodatkowo Kuroń i Modzelewski wystosowali do KC bardzo ostry list protestacyjny. W efekcie tych dwóch posadzono do kryminału (na parę lat) a buntującą się i strajkującą młodzież brutalnie pacyfikowano. Środowiska Akademickie mocno poderwały się i to nie tylko w Warszawie

Władza robiła wszystko aby środowiska akademickie przeciwstawić robotnikom i to jej się w dużym stopniu udało rzucając bojówki robotnicze jako demonstracje przeciwko studentom

Dodatkowo PZPR rozpętało obrzydliwą nagonkę antysemityczną w efekcie której bardzo duża grupa inteligencji o korzeniach żydowskich wyjechała z polski z równoczesną utratą obywatelstwa. Jak się okazało exodus ten przyniósł nie odwracalne szkody w nauce Polskiej w wizerunku Polski na świecie i spowodował wiele nieodwracalnych szkód społecznych.

Sprawy rozgrywały się w miastach posiadających ośrodki akademickie my na wsi mieliśmy informacje albo od rodzin albo praktycznie z radia. Prowincja tej sprawy w tym czasie nie odczuła. Można powiedzieć że wydarzenia marcowe przeszły praktycznie obok nas i choć jak życie okazało były szalenie ważne, dla nas w tym czasie ważniejsze były krowy, świnie czy też ciąża Marysi. W tym czasie skala ataków antysemitycznych i ilości emigrujących były dla nas sprawą praktycznie nie istniejącą.

Natomiast inwazję na Czechosłowację która była latem już mocno przeżyliśmy i to w jakiś sposób namacalnie bo o niecały kilometr od nas szosą na Wrocław i dalej na Czechosłowację przechodziły olbrzymie formacje wojskowe a dodatkowo przynajmniej przez 4–5 dni bez przerwy słyszał było silniki samolotów idących nad nami.

Dla nas samych te smutne i poważne dla Polski wydarzenia skończyły się humorystycznie bo jesienią 1968 r marszałek Spychalski udawał swoje polskie korzenie i brak rodzinnych powiązań z żydami, w związku z tym przyjechał z oficjalną wizytą w sieradzką aby „przy okazji spotkać się z członkami swojej rodziny” skutek tego był taki że firma dostała 800 m asfaltu od szosy do dyrekcji, my 10 dni wścieklej pracy, sprzątania i malowania gospodarstwa aby Spychalski ze świtą łaskawie przez dwie może trzy godziny mógł zwiedzić obiekty i bryczkami (sprowadzonymi na tą okazję ze stada ogierów położonego 200km) objechać pola i zjeść obiad.

Nagonka antysemityczna w Polsce ciągnęła się lekko licząc rok lub dwa a może i dłużej i jak pisałem narobiła bardzo wiele szkód Polakom których jedynym pechem było posiadanie korzeni żydowskich i szalenie zaszkodziła opinii Polski na świecie

Olbrzymim echem w społeczeństwie odbiła się niespodziewana śmierć na serce pisarza Pawła Jasienicy który po prostu został zaszczuty przez Gomułkę w obrzydliwy sposób a znęcanie się nad nim było przykładowe bo nie dość że z pochodzenia był żydem ale jeszcze blisko współdziałał ze środowiskiem Tygodnika Powszechnego, jak się okazało żona Jasienicy była na niego donosicielką do SB.

W rejonie Sieradza bezpośrednio nie zetknąłem się z informacjami o jakichś atakach na mieszkających tam żydów

Wydarzenia marca 1968 r choć pozornie zostały wyciszone spowodowały jednak pojawienie się w większych miastach pewnego fermentu w środowiskach akademickich który już praktycznie stale potem istniał i w miarę lat stawał się coraz poważniejszy. Sam z tymi działaniami nie miałem nic wspólnego i bezpośrednio nie stykałem się z nimi bo prowincja to jednak całkowicie inny świat zupełnie nie rozumiały dla mieszkańców dużych miast.

W tej sytuacji mój opis działań politycznych społeczeństwa tamtego okresu nie ma najmniejszego sensu.

Z ważnych wydarzeń tego okresu to ciąża Marysi którą chyba znosiła dość lekko oraz pogarszające się moje stosunki z naczelnym.

Na dzień przed porodem 1.02.1969 wcześniej rano Marysia dostała buli porodowych a według kalendarza było to trzy tygodnie przed przewidzianą datą rozwiązania, więc najpierw taksówką a potem pociągiem odwiozłem ją do Wa-wy gdzie na dworcu oddałem ją jej bratu i Mamie a sam natychmiast wsiadłem w pociąg powrotny bo bałem

się że szef urządzi jakąś hecę. Hecy nie było szef zachował się w porządku i nawet uprzejmie się zdziwił dlaczego natychmiast wracałem. Następnego dnia w południe dostałem telefon że Michał jest na świecie. Jak legenda rodzinna donosi w szpitalu lekarz uwierzył kalendarzowi i dał Marysi leki powstrzymujące parcie, szczęśliwie zorientował się że popełnił błąd i w godzinę po zastrzyku stał nad nią i prosił aby się spieszyła z porodem bo za chwilę leki zaczną działać. Szczęśliwie Marysia posłuchała (lub Michał) i wszystko szczęśliwie się skończyło i 2.02.1969 r rano Michał był na świecie. Szef puścił mnie do Wa-wy dopiero w tydzień później ale tylko na dwa dni.

Marysia wróciła do Dęboli pewno w dwa miesiące po urodzeniu Michała i od razu trzeba było szukać opiekunki bo urlop macierzyński trwał chyba tylko sześć tygodni (plus urlop Marysi i mój bo na tą zamianę szef zgodził się bez kłopotu). Przez cały okres pobytu Marysi z Michałem w Warszawie a potem też częściowo ciągnąłem jej i moją robotę stąd etapów rozwoju moich dzieci w ogóle nie kojarzę.

Zaafierowanie pracą powodowało, że praktycznie dopiero teraz obserwuję rozwój wnuków wstyd to przyznać ale tak było.

W tym czasie moja siostra przeżywała olbrzymią traumę bo mąż jej zatrudnił się jako marynarz i nie było go pół roku w tym czasie urodziła Romka a w miesiąc po powrocie męża z morza i w trzy dni po rozpoczęciu przez niego pracy w PGR Henryk w wypadku samochodowym stracił nogę. Gehennę którą Jola przechodziła normalny człowiek nie bardzo zrozumie, sytuacja dodatkowo komplikowała się przez to że Jola była praktycznie sama a jedyną pomoc którą przez dwa lata po wypadku uzyskiwała to pomoc ze strony mojej Macochy (Ojciec ożenił się po 15 latach wdowieństwa jesienią 1964r). Sam przed sobą próbuję się tłumaczyć że miałem własną rodzinę i o niej głównie musiałem myśleć ale praktycznie nic a nic Joli przez te najtrudniejsze lata nie pomogłem i jest mi wstyd.

Atmosfera w mojej pracy psuła się bardzo, stąd od 1.04.70 przeszedłem na kierownika gospodarstwa do Sarnowa (też w łódzkim). Marysia została tam głównym zootechnikiem przedsiębiorstwa. Obiektywnie trzeba przyznać że Marysi szkoda było odchodzić z Dęboli ja też żałowałem ale stosunki już tego wymagały.

O ile ja z nowej pracy w Sarnowie nie byłem zadowolony o tyle Marysia wyżywała się i miała wyraźną satysfakcję z pracy. Dziś wydaje mi się że praca w Sarnowie dawała jej największą satysfakcję ze wszystkich posad które miała.

Ze względu na pracę nas obojga, opiekę nad Michałem objęła zupełnie półgłupia opiekunka tyle tylko, że serdeczna i troskliwa o niego.

Bezpośrednio po przeprowadzeniu się do Sarnowa jeszcze w kwietniu 1970 r za ostatnią premię z Dęboli kupiliśmy pierwszy telewizor był to w tym czasie jeszcze ewenement.

Wydarzenia grudniowe 1970 i śmierć ponad 50 robotników na wybrzeżu były wstrząsem na pewno nie mniejszym jak wydarzenia czerwca 1956. Tu już można powiedzieć że obeszło to całe społeczeństwo a nie tylko Wybrzeże Szok był bardzo duży i prawie cudem Gierkowi udało się tą atmosferę rozładować (historyczne – pomożecie). Niechęć do Gomułki, Kociołka i innych osiągnęła apogeum i naprawdę groziło to bardzo mocnym wstrząsem społecznym.

(Po latach poznałem ludzi którzy w tym czasie byli w wojsku i całymi kolumnami uzbrojeni w ostrą amunicję jechali w stronę Gdańska. Szczęśliwie nie dojechali rozkaz zatrzymał ich o 20-30 km od Gdańska)

Sprawa wydarzeń gdańskich całkowicie przyćmiła sprawę podpisania z Niemcami porozumienia o granicy na Odrze i Nysie

Oczywiście uspokojenie nastroju nie uspokoiło SB bo nie obyło się bez aresztowań a głównie ukrywania prawdy do dziś dnia dokładnych liczb osób zabitych i rannych nie udało się uzyskać a strzelano przecież nie tylko w Gdańsku ale i w Elblągu co generalnie było ukrywane. Ciekawostką może być fakt że przecież biskup Gulbinowicz murowanie miał ścisłą informację o ilości pogrzebów a jednak tej informacji do dziś nie wypuścił.

Początkowe działania Gierka i pozorne sukcesy ekonomiczne spowodowały że nawet spora grupa ludzi uwierzyła że ustrój w Polsce może być lepszy. Znałem parę osób które uwierzyło Gierkowi i wstąpiło do partii aby partię poprawiać od wewnątrz .Z drugiej strony Gierek wziął duże pożyczki z zachodu co spowodowało, że sytuacja materialna społeczeństwa poprawiła się , rozpoczęły się zauważalne inwestycje i budowa dróg (gierkówka) a co szalenie ważne pojawiły się udogodnienia umożliwiające otrzymanie (jeżeli miało się zaproszenie z zachodu) bez wielkich kłopotów paszportu .Wyjazdy uświadomiły praktycznie społeczeństwu różnicę między sytuacją w Polsce a na Zachodzie, te paszporty to największa zasługa Gierka jak również zmniejszenie cenzury i represji politycznych.

Dla nas z Marysią jako rolników nie obojętna była też decyzja rządu o zniesieniu obowiązkowych dostaw dla chłopów która to spowodowała momentalną poprawę zaopatrzenia w sklepach.

W 1971 r pojawiła się cięża kolejna cięża i prawie równocześnie informacja ,że Marysia może dostać talon na samochód. Podziwiałem jej talent jak potrafiła przekonać kierownika wydziału komunikacji w Łodzi a była to naprawdę duża fisza(mocno polityczna) aby talon dotyczył Skody . W tym czasie był to samochód uznawany za nowoczesny . Faktem jest że kosztował przy naszych zarobkach dużo ale młodość jest zawsze optymistyczna (kosztował 102 tys zł my oboje zarabialiśmy miesięcznie w sumie 4200 i mieliśmy około 15 tys oszczędności). Dostaliśmy nisko oprocentowany kredyt resztę pożyczyła rodzina i w połowie 1971 r mieliśmy już Skodę.

Jak się okazało udało się nam ją spłacić w trzy lata czy cztery lata.

Na trzy dni przed urodzeniem się Marka dowiedziałem się że muszę odejść z Sarnowa , trzeba przyznać że dług, szukanie pracy i drugi poród nie napawało mnie to wszystko optymizmem a wręcz przeciwnie delikatnie mówiąc nie byłem w tym okresie łatwym partnerem.

Aby tradycji stało się zadość 1.02 72 r późnym wieczorem Marysia dostała buli porodowych(na trzy tygodnie przed przewidywanym terminem rozwiązania) i musiała być wieziona do Zgierza w bardzo potężnej zadymce, tym razem wszystko szło błyskawicznie tak że kierowca karetki nie bardzo był pewny czy przebieje się przez zasy i zdąży. Dość powiedzieć ,że według opowiadania Marysi bała się że urodzi w szpitalnej windzie. Tak więc przed północą 1.02 Urodził się Marek

Ze szpitala Marysia z Michałem i Markiem przejechała do Warszawy do Mamy na całe dwa miesiące a ja z Sarnowa szukałem roboty. Marysia z dziećmi wróciła do Sarnowa praktycznie na półtora miesiąca przed przeprowadzką.

Niby miałem pracę zagwarantowaną ale dyrektor Odrzechowej celowo opóźniał decyzję naszego przeniesienia, jak się później okazało obawiał się że zagrożę stanowisku jego żony . Z dniem 1.07.1972 zaczęliśmy pracę w Odrzechowej./ Beskid Niski między

Krosnem a Sanokiem w stronę granicy Słowackiej /Przez całe siedem lat praca tam dla nas obojga układała się bardzo dobrze i chyba oboje mieliśmy z niej satysfakcję. Do Odrzechowej pojechała z nami opiekunka chłopców i udało się ją utrzymać tam całe dwa miesiące co było sukcesem bo znalezienie opiekunki do dzieci było niesamowitą sztuką. W tamtych czasach zajmowanie się cudzymi dziećmi było wielkim dyshonorem a chętnych trzeba było ze świecą szukać. Kolejne opiekunki do dzieci to osobne historie tylko jedna z tych dziewczyn pozostawiła po sobie życzliwą pamięć. Dyrekcja Zakładu doświadczalnego mieściła się w Odrzechowej ale my mieszkaliśmy i pracowaliśmy w gospodarstwie Pastwiska.

O ile praca zawodowa była bardzo ciekawa a stosunki międzyludzkie tak z załogą jak i z dyrekcją bardzo dobre o tyle życie szczególnie zimą było trudne a że byliśmy młodzi znosiliśmy je bardzo dobrze.

Dla przykładu na zimę przy trzech pokojach zużywaliśmy 8-10 ton węgla (dom z pustaków obłożony jedną warstwą cegieł nie ocieplony) a i tak zamróz stał na ścianie szczytowej. Nie rzadko od głównej drogi byliśmy odcięci zaspami przez jeden trzy dni (nigdy dłużej) Do miasta Rymanowa dojazd tylko własnym środkiem komunikacji 10 km. Do przystanku autobusowego 6 km . Szkoła klasy 1-4 na miejscu (800m pod wiatr) Przedszkole drogą polną 4 km nie rzadko dzieci do przedszkola wożone były zamiast Nysą to saniami z powodu zasp, po prostu przywalone kożuchami tak że głowy im nie wystawały (bardzo to lubiły) i tym podobne dla mieszcucha trudności. Nie mniej żyło się tam nie najgorzej i bez większych kłopotów.

W 15 sierpnia 1973 r urodziła się Marta, oczywiście znowu trzy tygodnie wcześniej ale już bez żadnych sensacji po prostu jak Pan Bóg przykazał w izbie porodowej w Rymanowie.

W tym czasie była u nas Mama Cedrowa więc pierwszy okres po porodzie nie był dla Marysi bardzo trudny.

Trzeba przyznać że moja beztroska może w dzisiejszych czasach dziwić , bóle u Marysi zaczęły się koło piątej koło rano, o ósmej byliśmy w izbie porodowej (w tym czasie ojcom nie wolno było być przy porodzie) spokojnie więc pojechałem do Iwonicza do kawiarni z której do izby porodowej wróciłem koło dziesiątej aby dosłownie usłyszeć płacz Marty i dowiedzieć się że wszystko w porządku. Mama Cedro tego mojego wyjazdu na kawę latami nie chciała mi darować.

Mama Cedrowa generalnie zawsze była genialna i naprawdę potrafiła zdjąć z głowy Marysi szereg kłopotów. Przez cały okres naszego pobytu w Pastwiskach przyjeżdżała do nas na 2-3 miesiące lub dłużej i bardzo pomagała.

W listopadzie 1973 r wyjechałem jako pracownik Instytutu Zootechniki na miesięczną praktykę do Szwajcarii do związku hodowców bydła simentalskiego o ile pierwszy pobyt jak pisałem był ciekawy ze względów turystycznych ten bał mi bardzo dużo pod względem zawodowym i procentował jeszcze wiele lat potem. Wtedy dopiero zobaczyłem jak wielka przepaść rozwojowa była między Polską a krajami Zachodu.

Wstrząs przyjazdu do Pastwisk był jednak duży bo podświadomie oczekiwałem że będzie mnie rodzina tęsknie oczekiwać a tu Marysia zavalona pracą zawodową i domem nie miała chwili aby mnie poświęcić lub zauważyć.

Generalnie w kraju sytuacja ekonomiczna po początkowym sukcesie Gierka zaczęła się pogarszać pojawiły się trudności z zaopatrzeniem (nas one nie dotyczyły bo mieliśmy stały dostęp do mięsa z ubojów doświadczalnych które sami prowadziliśmy, ziemniaki

własne , deputat mleka , warzywa własne oczywiście pewna kłopotliwość zakupów istniała ale generalnie mało nas to bolało)

Jednym naprawdę złym wspomnieniem z całego naszego tam pobytu to siedem zgonów osób nam bliskich zaczynając od pogrzebu mojego teścia , mojego ojca a kończąc na siostrze mojej matki (mojej chrzestnej) naprawdę było tego zbyt dużo.

Jak pisałem wcześniej o ile polityki w Dębołecie i Sarnowie odbierało się bardzo mało o tyle w Odrzechowej istniała tylko polityka lokalna wojewódzka czy powiatowa polityka ogólnopolska nie docierała do nas wcale - jakaś zmiana sekretarza jednego czy drugiego jakieś przetasowania w powiecie i tyle. Oczywiście na pochody 1 majowe jeździło się do Rymanowa (potem oczywiście zakładowe parówki itp.) brało się udział w wyborach (chodziło się na nie dla świętego spokoju) tak więc można powiedzieć mała stabilizacja lub jak kto woli pełny konformizm.

W tym czasie w PZPR lub ZSL byli dyrektorzy trochę średniego personelu i tyle nie obserwowano się działania tych organizacji na poziomie zakładu pracy. Oczywiście istniały Powiatowe i wojewódzkie komitety partyjne które miały dużo do powiedzenia ale dla nas były one dość odległe i praktycznie w krośnieńskim nie słyszało się o SB. Prawdopodobnie organizacje partyjne były mocniejsze w dużych zakładach pracy , w gospodarstwach w których pracowaliśmy były to twory nieistotne.

Uchwalenie konstytucji z obowiązkiem kochania ZSRR zostało jednak zauważone przez społeczeństwo a wstrzymanie się od głosu posta Znak – Stommy odbiło się echem w kraju i zagranicą. To demonstracyjne wyjście z sejmu bezpośrednio po głosowaniu mam w oczach (było pokazywane w telewizji z odpowiednim komentarzem) . Kolejnym wstrząsem był list Biskupów – przebaczymy i prosimy o przebaczenie. Znaczenie tego listu było wtedy całkowicie niezrozumiałe i raczej społeczeństwo było w tym przypadku niezbyt przychylnie nastawione do episkopatu. Dopiero historia pokazała jak ważny był ten list..

Generalnie okres lat 1970- 1976 był okresem o którym można powiedzieć , że Gierek był akceptowany. O tym że opozycjoniści Kuroń Modzelewski i inni odsiadali areszty czasem wieloletnie, oraz że tworzyły się jakieś nieznaczne ruchy próbujące uświadomić młodzież że z demokracją nie jest w porządku mało było słychać / coś do nas docierało przy pobytach w Warszawie / informacje o tych sprawach w naszym środowisku wiejskim

prawie nie pojawiały się

. Więcej tych spraw mogła znać Jola bo ona w tym czasie była bliżej Warszawy a potem w samej Warszawie

Sytuacja zmieniła się od 1976 r kiedy sytuacja ekonomiczna w kraju zaczęła się gwałtownie pogarszać .Władza najpierw chciała podnieść dość znacznie ceny a po bardzo poważnych rozruchach robotniczych w Radomiu Ursusie i innych dużych zakładach pracy wycofała się z podwyżek a wprowadziła znów kartki najpierw na cukier a potem na inne produkty kartki te skończyły się dopiero pod koniec lat osiemdziesiątych. Strajki w Radomiu i innych zakładach były bardzo radykalnie likwidowane a robotnicy działający bici , aresztowani i zwalniani z pracy co w efekcie zaowocowało powstaniem Komitetu Obrony Robotników.

Komitety te zostały stworzone przez bardzo znane nazwiska i oficjalnie władza nie bardzo mogła mu coś zrobić bo bardzo się pilnowali aby oficjalnie działać zgodnie z konstytucją inna jest sprawa że wydawnictwa i kontakty z Zachodem były całkowicie nielegalne

O ile początkowe ruchy opozycyjne lat 1968 –76 były na prowincji praktycznie nie zauważalne o tyle pojawienie się Komitetu Obrony Robotników w 1976 r po wydarzeniach Radomskich i jego działanie odbijało się bardzo szerokim echem w społeczeństwie. Tej działalności Władza nie potrafiła ukryć jak również nie potrafiła zdławić ruchu Uniwersytetów Latających. Działalność KORu jest obecnie dość znana a sprowadzała się do tego że grupa powszechnie znanych obywateli oficjalnie jeździła na wszystkie procesy przeciwko robotnikom, sprawozdania z tych procesów ukazywały się w prasie zagranicznej. Rodziny represjonowanych otaczane były opieką tak materialną jak i w pewnym stopniu psychologiczną a dodatkowo KOR rozpoczął bardzo potężną akcję uświadamiającą skierowaną do robotników jak zachowywać się w przypadku pojawienia się SB lub gdy pojawiało się jakieś zagrożenie z e strony SB. Dla odmiany Uniwersytet Latający to organizowane przez tak profesorów wyższych uczelni czy działaczy KOR lub innych organizacji całych cykli wykładów tak dla robotników jak i inteligencji. Od 1976 pojawiło się już dużo prasy wydawanej bardzo prymitywnymi metodami ale ukazującej się poza oficjalnym obiegiem która trafiała nawet czasami na wieś.

Z jednej strony wyraźnie pogarszająca się sytuacja ekonomiczna szczególnie w miastach (wsi powodziło się bardzo dobrze) a z drugiej strony wzrastająca ilość bibuły i stosunkowo małe jak na odczucia społeczne represje powodowały wyraźne pojawianie się tendencji sprzeciwiającej się systemowi. W latach 1976-1980 takim hasłem przewodnim wszystkich większych dyskusji było hasło aby władza zezwoliła na powstanie niezależnych związków zawodowych. Nie było żadnych haseł przeciwko socjalizmowi lub Związkowi Radzieckiemu. Oczywiście proszę pamiętać że w tych latach siedzieliśmy w Odrzechowej i naprawdę nie w głowach była nam jakaś polityka – dużo ważniejszy był rozwój Michała Marka i Marty czy wyniki produkcyjne i doświadczalne bydła simentalskiego niż jakaś tam polityka. Polityka docierała do nas jako sprawa całkowicie marginalna i nieistotna

Ciekawostką może być fakt, że w latach 1972-78 w naszym gospodarstwie jako gość kierownika p. Kosiarskiego bywał ówczesny kardynał Karol Wojtyła (spędzał po parę dni urlopu). Ze względu na to , że zbyt oficjalne kontakty z arcybiskupem mogły by p Kosiarskiemu w pewnym stopniu zaszkodzić wizyty te były utajniane i dowiedzieliśmy się o nich dopiero po powołaniu Wojtyły na papieża .

Wybór Wojtyły na papieża był dla wszystkich wielkim szokiem i przeżyciem. W czasie transmisji wieś była jak wymarła wszyscy siedzieli z nosami w telewizorach, zdawaliśmy sobie sprawę że to wielka sprawa ale że to będzie miało taki wpływ na losy Polaków przez myśl nie przechodziło nikomu z nas.

Inną ciekawostką choć oczywiście o nikłym znaczeniu może być nasze spotkanie z głównym szefem cenzury z Poznania (był na urlopie w sąsiednim ośrodku wypoczynkowym) który w rozmowie nie dwuznacznie sygnalizował , że najtrudniejszą dla niego sprawą jest jak pogodzić instrukcje cenzorskie z tekstami które cenzurował aby tekstowi nie zaszkodzić a z drugiej strony nie narazić się samemu, z jego słów wynikało , że wiele dyspozycji przysyłanych z Mysiej / siedziba Cenzury w Warszawie/ mu nie odpowiadało.

Generalnie w Odrzechowej a konkretnie w Pastwiskach (bo tak nazywało się gospodarstwo w którym mieszkaliśmy) żyło się nam dobrze jak na tamte warunki finansowo poprawnie , kłopotów z zaopatrzeniem niewiele bo na wsi kartki nigdy nie były specjalnie istotne szkoła czteroklasowa na miejscu ,przedszkole 4 km dalej (o czym

pisałem) zasy zimą choć duże można się do nich przyzwyczaić stosunki w pracy tak na miejscu jak i w dyrekcji w Krakowie bardzo dobre generalnie więc wszystko w porządku gdyby nie kilka ale.

Zbliżał się rok 1979/80 w którym Michał powinien iść do klasy 5 co wiązało by się z jego dojazdami do szkoły Marek powinien zaczynać szkołę podstawową a Marta zostawała by sama w przedszkolu, dodatkowo doświadczenie które prowadziliśmy praktycznie zakończyło się sukcesem organizacyjnym ale na skutek tego że dyrekcja nie potrafiła wyprodukować odpowiedniej paszy dalsze ciągnięcie tego doświadczenia miało nikły sens (dyrektor choć bardzo miły był całkowicie w tym zakresie nie reformo walny). Sprawy te zdecydowały że już w 1978 r zaczęliśmy oglądać się za robotą w Warszawie.

Dodatkowym bodźcem była informacja że 1980 r możemy dostać mieszkanie w Warszawie na które zostały złożone papiery 12 lat wcześniej.

Tak się złożyło że nasza szefowa z Instytutu Zootechniki w Krakowie przeszła na dyrektora do Centralnej Stacji Hodowli Zwierząt i zaproponowała nam przyjsie do siebie. Ostatecznie w grudniu 1978 zdecydowane zostało że z dniem 1.07.1979 rozpoczynamy pracę w Warszawie. W dniu 28.2.1979 r w obecności całej naszej trójki na stoku położonym o 6 km od Pastwisk na oślej łące złamałem nogę. Po prostu założyłem za dobre narty do moich umiejętności. Kolega odwiózł nas do Pastwisk, Marysia mnie do szpitala w Sanoku a potem prosto na operację do Warszawy tak mój kontakt zawodowy z rolnictwem Podkarpacia urwał się na stałe.

.Ze szpitala zostałem wypuszczony z gipsem 31.5 i zamieszkałem u Łukaszewiczów którzy na okres do przyjazdu Marysi mnie przysgarnęli.

Z okien na Żwirki i Wigury 9.06 obserwowałem przejazd papieża i owacje mu zgotowane, oczywiście na Placu Zwycięstwa nie byłem relacje znam z opowiadań

Marysia z całą trójką dotarła do Warszawy 15 czerwca aby od 1.07 rozpocząć pracę w Centralnej Stacji Hodowli Zwierząt w międzyczasie przenosząc nasze rzeczy z trzech dużych pokoi w Pastwiskach do dwóch małych w Warszawie, Załatwiając szkoły dla chłopców i przedszkole dla Marty i praktycznie organizując tu życie od nowa .

Najkrócej mówiąc była to robota tytaniczna i chwala jej za to.

Ja w nowym mieszkaniu „Łaskawie” zamieszkałem dopiero 1.07 jeszcze chodząc o kulach bo nogę wolno mi było postawić na ziemi dopiero na początku sierpnia. Do pracy poszedłem od 1.10.79. bardzo mocno kulejąc. Szczęśliwie to kalectwo nie miało chyba wpływu na głowę.

W okresie od lipca do października próbowałem być pomocny w domu i tyle. W tym okresie dostaliśmy już lokalizację naszego mieszkania na Kwitnącej. Budowa postępowała bardzo szybko bo w sierpniu 1979 dostaliśmy też przydział i wtedy było widać drugie piętro a rok potem wprowadzaliśmy się do piętnastopiętrowego bloku.

Sprawa mieszkania na kwitnącej to cała epopeja urzędniczych utrudnień i problemów dość powiedzieć, że aby uformalnić ten przydział Mama Cedrowa musiała zmienić mieszkanie z większego na mniejsze zrzec się mieszkania na Żwirki które przejęli Łukaszewiczowie a wszystko okupione godzinami siedzenia po urzędach. Szczegóły tej sprawy są już mało istotne a kłopoty wynikały z durnych przepisów

W tamtych czasach mieszkanie dostawało się po zapisaniu się do spółdzielni i wpłaceniu wpisowego które wyniosło w naszym przypadku około siedmiu pensji / było to naprawdę sporo/ po czym czekało się na mieszkanie 10- 15 lat zależy od spółdzielni. Z nami też tak było wpłata w 1977 mieszkanie 1980.

W lecie 1980 byliśmy całą piątką na pojezierzu brodnickim ze spraw które mogły utknąć w pamięci to pierwsza noc pod namiotem Marka i Marty. W czasie bardzo silnej burzy gdy dach namiotu pod wpływem wody zwałił się im prawie na głowy i który Marek próbował go bardzo dzielnie podtrzymywać nie było żadnych wrzasków muszę przyznać że byłem z naszej dwójki bardzo dumy że dzielnie się spisali. Marysia z Michałem dojechali do nas następnego dnia. W moich wspomnieniach tego urlopu pozostały też wspólne wyprawy kajakami .

W tym czasie rozgrywały się pamiętne strajki w stoczni gdańskiej o których wiadomości mieliśmy wyłącznie z telewizji choć jak zawsze telewizja kłamała ile wlezie , szczegółów dowiedzieliśmy się dopiero po powrocie z wakacji.

Dziś to jest już trochę zapomniane ale przemówienie Wyszyńskiego z Klasztoru Częstochowskiego w okresie strajków na pewno nie zostawiło dobrego wspomnienia bo strasznie namawiał w nim do wyciszenia i rezygnacji z działania.

Pośrednim efektem strajków dla nas było to że przyspieszyliśmy przeprowadzkę na Kwitnącą bo w naszym odczuciu czasy niepewne i nie wiadomo co będzie dalej. W pierwszych dniach września byliśmy już w nowym mieszkaniu

Od września rozpoczął się ferment związany z powstaniem „Solidarności.” Powstawanie organizacji zakładowych było tak spontaniczne że zaskakiwało wszystkich. Organizacje powstawały tak w dużych zakładach pracy jak i w małych PGR-ach na prowincji. Był to niesamowity ruch praktycznie wszędzie.

Nasza Centralna Stacja jako typowa instytucja urzędnicza była stosunkowo długo spokojna choć mowy na temat tworzenia Związku podnosiły się coraz głośniejsze. Specjalnie do działania nie rwałem się z dwóch powodów ,w instytucji byłem stosunkowo nowym bo pracowałem zaledwie rok a druga rzecz działalności związkowej nigdy nie lubiłem i zupełnie jej nie czułem.

Przypadek jest jednak motorem bardzo wielu działań i tak było też w tym przypadku, zebrała się grupa urzędników (instytucja była bardzo sfeminizowana) które gwałtownie chciały coś stworzyć i działać nawet wyznaczyły z pośród siebie trzy które miały pójść na Bracką (bo tam był tymczasowy Zarząd Solidarności) aby dostać jakieś materiały i dowiedzieć się co robić aby stworzyć własną organizację. Jak przyszło co do czego to dwie się wycofały pod jakimś banalnym pretekstem a trzecia przyszła do mnie abym poszedł z nią bo będzie czuła się pewniej.

Wejście na Bracką to był całkowity szok, tłumy osób chcących odebrać deklaracje dla swoich powstających organizacji, młodzi działacze o nieprawdopodobnym zacięciu i charyzmie objaśniający zasady, poczucie w dosłownym znaczeniu że powstaje coś o przełomowym znaczeniu atmosfera absolutnie nie powtarzalna. Przyspieszając chronologię po przeniesieniu Mazowieckiego Zarządu Solidarności z Brackiej na Mokotowską ta atmosfera nawet w części nie powróciła.

To jedno wejście na Bracką spowodowało , że wraz z tą koleżanką wzięliśmy się za organizację Solidarności w naszej instytucji po prostu pojawił się mus wewnętrzny że trzeba działać

W tym okresie Solidarność nie była zalegalizowana i zupełnie nie można było przewidzieć jak to wszystko potoczy się dalej stąd dziś może wydawać się to niezrozumiałe że miałem szereg rozmów z kolegami lub koleżankami które były w partii i mówiły mi popieramy was ale zostaniemy z boku.

Na pierwszym zebraniu uprzedzałem lojalnie wszystkich obecnych , że wszyscy możemy ponieść kompletnie nieprzewidywalne konsekwencje spowodowane działaniem władz

nawet do zwolnień włącznie . Pomimo tego wszyscy obecni na sali w ciągu dwóch dni złożyli deklaracje . Praktycznie deklaracje wstępne podpisało ponad 50% urzędników co było dużym sukcesem w takiej zachowawczej instytucji. Świadczy to o atmosferze bo przecież były to w większości matki dzieciom a sytuacja na pewno nie była pewna. Szczęśliwie żadne konsekwencje nikogo z nas nie spotkały ale uczciwie przyznaję , że gdyby Marysia nie wyraziła zgody na moje działanie był bym w poważnym kłopotcie. Oczywiście OPZZ organizacja partyjna w firmie istniały ale było to w sumie koło 30 osób. Stosunki z nimi układały mi się dobrze i raczej czuło się sympatię a nie niechęć. Legalizacja Solidarności, potem Solidarności Wiejskiej i z dużym opóźnieniem Niezależnego Związku Studentów w jakiś sposób unormowała działalność i choć władze naszej firmy patrzyły na nas życzliwie to pewien niepokój co będzie dalej istniał bez przerwy.

Bardzo szybko zdałem sobie sprawę , że do rozmów z ministerstwem organizacja Centrali z Warszawy nie ma co siadać ,jest po prostu za słaba , stąd z mojej inicjatywy powstała reprezentacja Solidarności całej Centralnej Stacji .W skali kraju była to instytucja zatrudniająca parę tys ludzi więc jej reprezentacja była partnerem dla władz. Ze względu na to że teren źle patrzył na Warszawiaków a na dodatek byłem przecież z samej centrali, tak więc świadomie rozgrywałem wybory , że wszedłem tylko do szerokiego Zarządu a nie ścisłego zarządu Solidarności ogólnopolskiej przy Centralnej Stacji. W tym szerokim zarządzie byłem jako przewodniczący sekcji Solidarności w szefostwie Centralnej Stacji. Ten układ powodował , że w jakiś sposób byłem szarą eminencją a nie głównym szefem choć trzeba przyznać że szereg akcji było przeze mnie inicjowanych. Na poziomie naszej Solidarności działań politycznych nie było, były głównie działania dotyczące podwyżek płac i działalności socjalnej. Za to była olbrzymia akcja ulotkowa którą prowadziło się w porozumieniu z Zarządem Mazowieckiej Solidarności i stamtąd odbierało się materiały rozdając potem pracownikom .

Z drugiej strony trzeba sobie zdawać sprawę że Solidarność Centralnej Stacji nawet o znaczeniu krajowym była dla władz jednostką politycznie praktycznie nie istotną . Naprawdę liczyły się organizacje z dużych zakładów przemysłowych lub określonej inteligencji i działacze działający na poziomie rządu i władz wojewódzkich.

O ile działalność dziesięciomilionowej Solidarności owiana jest legendą wspaniałego ruchu trzeba sobie zdawać sprawę , że w terenie szefami organizacji zostawali nie rzadko bardzo nieciekawi ale za to o charakterach bardzo roszczeniowych ludzie co w efekcie powodowało niepowetowane szkody bo organizacje terenowe wywalały bez litości bardzo często dobrych ale despotycznych dyrektorów często doprowadzając do rozpadu całych zakładów czy nawet firm o tym się nie mówi i nie pisze a w rzeczywistości takich sytuacji było dużo.

W 1980 /81r cała nasza trójka pociech była jeszcze mała stąd nie było żadnej konieczności tłumaczenia im zaistniałej sytuacji a do zmiennej sytuacji zaopatrzeniowej byli już przyzwyczajeni i umieli stać w kolejkach. Z tymi trudnościami zaopatrzeniowymi sprawa jest całkowicie nie do wyjaśnienia bo w całym okresie od 1949r do 1990 były stale niedobory tak produktów zaopatrzeniowych jak i przemysłowych ale praktycznie społeczeństwo było zaopatrzone zupełnie poprawnie inna sprawa że zaopatrzenie to było prowadzone sobie znanymi sposobami. Okresy w których były kartki żywnościowe to okres 1949- 1956 i 1976- 1990 ale poza żywnością były okresy że kartki dotyczyły butów , alkoholu lub innych produktów przemysłowych. Aby była jasność produkty kartkowe też trzeba było wystawać w kolejkach

Sama działalność związkowa może nie była bardzo ambarasująca ale bardzo stresująca bo zdawałem sobie sprawę że jestem stale pod obserwacją może nikt za mną nie chodził ale wiedziałem że sprawozdania na mój temat były pisane. Potwierdzeniem moich przypuszczeń może być fakt że 1981 r miałem dwa włamania do piwnicy w czasie których nic nie zginęło ale papiery (stare listy artykuły czy opracowania zawodowe) były wyraźnie przeglądane. Nie ulegało też dla mnie żadnej wątpliwości że siedziby Mazowsza najpierw na Brackiej potem na Mokotowskiej były dobrze obserwowane a ja stamtąd odbierałem gazetki i ulotki.

Na pierwszym zjeździe Solidarności Mazowsza byłem delegatem sekcji rolnej ale do władz Mazowsza nie wszedłem choć kilkoro naszych bliskich znajomych tam weszło. Strajki które organizowałem w firmie można określić jako mało poważne protesty bo w sali konferencyjnej zbierało się 30 może 50 pracowników i tam przesiadywaliśmy określony przez Zarząd Mazowsza czas, w tym czasie rozdawało się wtedy jakąś bibułę i tyle. Drzwi biura całkowicie nie zabezpieczone a na dodatek szklane więc wejście milicji czy SB nie stanowiło by żadnego problemu. Dla władzy takie zakłady jak nasze były całkowicie nie istotne. Nie zmienia to faktu że zgodnie z przepisami firma miała emerytowanego pułkownika który teoretycznie był od spraw obrony cywilnej a co było oficjalnie wiadomo stale składał raporty do SB.

W ciągu całego 1981 roku zaopatrzenie pogarszało się systematycznie a radykalizm władzy i solidarności stale wzrastał. Takim bardzo poważnym momentem było pobicie do nieprzytomności w marcu 1981 przez SB-eków Rulewskiego działacza Solidarności z Bydgoszczy wtedy strajk powszechny w kraju wisiał na włosku i szczęśliwie Wałęsa rozładował napięcie w ostatniej chwili.

Generalnie jednak atmosfera w społeczeństwie była raczej dobra pomimo pustek sklepowych natomiast strach u działaczy partyjnych i służb SB-eckich był ogólnie widoczny.

Ogłoszenie stanu wojennego 13 grudnia w czasie ogólnopolskiego zjazdu Solidarności było całkowitym zaskoczeniem dla całego społeczeństwa w tym też dla działaczy Solidarności. Aresztowanie tak czołówki Związkowej jak autorytetów moralnych (aktorów pisarzy, działaczy Klubu Inteligencji Katolickiej, bardziej znaczących komentatorów politycznych) spowodowało że zryw oporu był relatywnie minimalny i oficjalne ofiary tylko w kopalni Wujek choć dziś historycy doliczają się około 200 zabitych w całym stanie wojennym.

Stan wojenny był tak olbrzymim wstrząsem tak dla całego społeczeństwa jak i dla nas samych a jego skutki (trwał chyba trzy lata)psychiczne były zauważalne jeszcze w latach dziewięćdziesiątych.

O ile pamiętam ogłoszenie stanu wojennego było już tak przeze mnie jak i Marysię tłumaczone całej naszej trójce bardzo dokładnie. O ile do tej pory zawiłości historyczne Polski w rozmowach domowych były omawiane raczej w kontekście wojny a nie czasów bieżących o tyle chyba stan wojenny zwiększył zakres rozmów politycznych w domu. Szczęśliwie nie zostałem internowany choć wiem od wspomnianego wyżej pułkownika że w tej sprawie był pytany i dawał jakieś wyjaśnienia, szczegółów nie znam.

Oboje z Marysią byliśmy wybuchem stanu wojennego całkowicie zaskoczeni a jego groza narastała stopniowo

Trzynastego grudnia zdziwiło nas że radio i telewizja milczą i dopiero chyba o siódmej lub ósmej rano poszła mowa Jaruzelskiego. Z pełnym spokojem poszliśmy wszyscy na mszę do Marii Magdaleny po czym doszedłem do wniosku że mam bardzo mało paliwa

i niespiesznie pojechałem na stację zdziwiło mnie że kolejka miała minimum dwa kilometry. Odstałem ze dwie godziny aby dowiedzieć się że paliwo na stacji się skończyło i więcej go nie będzie. W efekcie samochód stał na parkingu chyba trzy miesiące nie ruszany z braku benzyny.

Strach narastał w ciągu dnia a jak o dziesiątej wieczór usłyszeliśmy dość mocne pukanie do drzwi to podejrzewałem że przyszli po mnie a to taki nawiedzony sąsiad który jeszcze roznosił bibułę. Zawsze przykrym przeżyciem była obserwacja jeżdżących po ulicach uzbrojonych tankietek lub samochodów pancernych.

Kolejnym wrażeniem była moja delegacja do Tarnowa w drugim tygodniu stanu wojennego w całym pociągu byłem chyba jedynym pasażerem absurd polegał na tym że teoretycznie trzeba było mieć przepustkę ale można było jechać z delegacją jako dokumentem i ja tą metodę zastosowałem.

Stan wojenny wprowadził godzinę policyjną która oczywiście w małych miejscowościach nie istniała ale w Warszawie zatrzymanych po jedenastej w nocy blokowano na komisariatach. Raz jeden wracając z Marysią parę minut po jedenastej zostaliśmy przez patrol zatrzymani przed domem szczęśliwie puścili ale stracha miałem mocnego.

Tak w okresie stanu wojennego jak i po nim nie miałem najmniejszych przykrości związanych z działalnością związkową oczywiście następnego dnia po ogłoszeniu stanu wojennego działalność solidarnościowa w naszej firmie została wstrzymana.

Nie znaczy to wcale że nie byłem w jakiś sposób kontrolowany bo nasz etatowy szef obrony cywilnej przyznał mi się gdzieś w 1986 r. że musiał pisać raporty na mój temat i tłumaczyć że nie jestem groźny dla porządku publicznego.

Jeszcze w czasie stanu wojennego dzieciaki zaczynały kolejno działać w harcerstwie i uważam że działalność ta nie tylko nie wypaczyła im charakterów a wręcz odwrotnie pomogła w rozwoju politycznym i społecznym.

Sami to oceniacie ale według mnie tak udział w manifestacjach dotyczących obchodów powstania warszawskiego jak obsługa wizyt papieża pozostawiły trwałe ślady na waszych świadomościach.

Pamiętam jak wielkim przeżyciem dla Michała i Marka była śmierć Przemyska i jak Michał był niezadowolony kiedy nie pozwoliłem mu pójść na jego pogrzeb jak również oburzenie Marka że na pogrzeb Popiełuszki pozwoliłem pójść Michałowi a jemu nie. Obliczano że spontanicznie na tym pogrzebie było milion osób. Była to największa w Warszawie demonstracja od 1956 r. następne wielkie to dopiero druga i kolejne wizyty Papieża

Zabójstwo księdza Popiełuszki w złym tego słowa znaczeniu nauczyło władzę i kolejne polityczne zabójstwa księży a było ich jeszcze co najmniej dwa były upozorowane jako morderstwa w czasie rabunku i nikogo nigdy nie złapano.

Generalnie od demonstracji wieców i działalności solidarnościowej tak ja jak i Mama trzymaliśmy się z daleka, oczywiście w pewnym stopniu bibuła przechodziła przez nasze ręce ale generalnie było jej bardzo dużo w Warszawie

W latach 1982-1990 nie miałem żadnych odmów wydania paszportu i za każdym razem jak Centralna Stacja wnioskowała o moje wyjazdy paszport dostawałem bez żadnych problemów a o wyjazdy prywatne nie występowałem.

W całym okresie dziesięciolecia szczęśliwie nasza sytuacja finansowa nie była tragiczna przez cały ten okres mieliśmy samochód i co prawda trzeba było uważać ale nie było sytuacji aby tak jak w dzieciństwie nie było czego włożyć do garnka.

Na to że cały okres naszej pracy zawodowej i wychowania naszej trójki finansowo przeszedł bez żadnych wstrząsów i główny wpływ miała Marysia bo choć nasze zarobki jak na tamte czasy nie były złe ale wykarmienie i ubranie całej naszej piątki nie było łatwe nie wolno też zapominać że przez wiele lat wszystkie wnuki obszywała Babcia Cedrowa a to była też olbrzymia pomoc

Co rocznie jeździliśmy na trzytygodniowe urlopy rodzinne które w jakiś sposób przeszły do historii, na obozy i zimowiska dla całej trójki starczało tak więc nie było najgorzej w każdym razie w porównaniu ze znajomymi i rodziną. Próbowałem niedawno ustalić kolejność i miejsca tych wyjazdów wspomnienia bardzo się plączą ale to chyba było to tak:

Jezioro Studzieniczne	1976 jeszcze bez Marty ,	Łukaszewicze i krótko Skrzyńscy
Kwiejce	1977	Łukaszewicze, Berkowscy Szwejczerowie, Dobrzyńscy, Sierotowie Roztworowscy
Raduńskie, Dębki	1978	Łukaszewicze , dwie rodziny Skrzyńskich
Pobyt w Wa-wie	1979	
Ciche	1980	Mieszkowscy, Teresa Tymieniecka
Popielno	1981	Łukaszewicze. Cedrowie, Mieszkowscy, Skrzyńscy
Skomentne	1982	Łukaszewicze, Cedrowie, Wiszniewscy, Mieszkowscy, Dobrzyńscy, Skrzyńscy, Czarnoccy
Skomentne	1983	podobny skład bez Dobrzyńskich, dojechała mama Cedrowa
Skomentne	1984	podobny skład
Kalwa	1985	skład podobny dodatkowo Wiktoria , Marta Lisowska. Nadolni
Naterskie	1986	mnie nie było a Mama miała poważne problemy z misą olejową w Syrenie choć pobyt był podobno udany ja już Szałałem na działce w Zaborówku skład normalny

Do każdego z tych wyjazdów każde z was może dołożyć swoją legendę stąd tych wypraw nie opisuję. Generalnie zaopatrzenie na te wyjazdy szykowało się ze trzy miesiące wcześniej a ponieważ każda z gospodyń miała ambicję aby jedzenia nie zabrakło wyzerki były niesamowite i nie mające żadnego odniesienia do trudnej sytuacji zaopatrzeniowej w Polsce

W omawianym okresie dziesięciolecia na sytuację polityczną w kraju wielki wpływ miały przyjazdy papieża. Jestem przekonany , że jego działalność miała olbrzymi wpływ na to

co działo się w kraju z naszego rodzinnego punktu widzenia zaangażowanie całej trójki w organizacyjny udział w czasie pobytów Papieża poprzez działania harcerskie był wyraźny choć nie sądzę (może się mylę) aby wysłuchali choć jedną homilię papieską.

Przez cały okres stanu wojennego 1981- 1984 a szczególnie po nim czuło się jednak powolną odwilż ludzie zaczęli mówić dużo śmieiej i sporo ludzi tak na początku stanu wojennego jak i po nim zwracało legitymacje partyjne.

Dziś zapomina się że do partii należało ponad dwa miliony ludzi a przecież pracujących było pewno 13 może 14 mil. więc nie była to taka mała organizacja . Inna sprawa że 95 % z tych partyjnych było w partii albo dla kariery albo z oportunistu.

Pomimo pewnego rozluźnienia działalność opozycyjna od zniesienia stanu wojennego do 1988 praktycznie nie narastała a nawet można określić że chyba słabła choć bibuły było stale bardzo dużo.

Strajki 1988 r były właściwie już niezbyt silne nie mniej musiały na władzy robić wrażenie bo pomimo prób działań rządu sytuacja ekonomiczna w kraju była zła a zaopatrzenie fatalne.

Strajki spowodowały że władza zezwoliła na publiczną telewizyjną debatę Wałęsy z Miodowiczem przewodniczącym OPZZ. Wszyscy podejrzewali że Miodowicz zmiażdży Wałęsę. Okazało się że to Wałęsa okazał się wielkim zwycięzcą i praktycznie ta debata w konsekwencji doprowadziła do obrad okrągłego stołu .

Wcześniej olbrzymią zasługą Wałęsy było to że internowany sam w Bieszczadach w Arłamowie nie dał się zastraszyć i nie poszedł na współpracę z władzą a bezpośrednio po wyjściu z interny natychmiast zaangażował się w działalność. Dzięki temu Solidarność choć nielegalna i stosunkowo słaba ale działała. W tym przypadku Wałęsa uratował Solidarność w odróżnieniu od Kułaja przywódcy Solidarności Wiejskiej który wiosną 1982 poszedł na współpracę z władzą i organizacja ta znikła momentalnie z powierzchni jeszcze w 1982 r.

W odczuciu społecznym ogłoszenie obrad okrągłego stołu przeszło słabo zauważone dopiero początek tych obrad i pokazanie się przedstawicieli Solidarności w telewizji jako bardzo mądrych ludzi spowodowało szok. Dramatyzm obrad narastał z dnia na dzień a już w dniu podpisania napięcie dochodziło naprawdę do szczytu opóźnienie podpisania spowodowane oporem Miodowicza było bardzo trudne do zniesienia.

Z konsekwencji obrad okrągłego stołu nikt nie zdawał sobie sprawy wynik został przyjęty może z entuzjazmem ale bez euforii.

Pozytywnym wstrząsem było pokazanie się na dwa miesiące przed czerwcem Gazety Wyborczej jakie to robiło wrażenie jeżeli do dziś pamiętam emocje związane z tym że udało się kupić jakiś numer.

Dopiero wybory 4.06.1989 stały się szokiem byłem wtedy w komisji wyborczej i mam tą satysfakcję że liczyłem głosy ,jako ciekawostkę może podam powód dlaczego niejaki Zieliński będący na liście PZPR w ogóle przeszedł , był ostatni na liście , przepis mówił że kandydatów niechcianych trzeba skreślać jeżeli ktoś listę przekreślił skosem na krzyż to najczęściej nie dociągał kreski do Zielińskiego i wtedy jako jedynego trzeba go było uznawać. Krew nas zalewała ale nie wolno było się domyślać że to niechlujstwo skreślających. W naszym obwodzie był to jedyny partyjny który przeszedł w pierwszej turze.

Liczenie głosów skończyliśmy o piątej rano i woziliśmy wyniki na punkt zborny gdzie po raz pierwszy i jedyny rozmawiałem z Lityńskim.

Wracając do małej polityki uznałem że oddział Solidarności w Centralnej Stacji trzeba reaktywować choć zdecydowanie nie miałem na to ochoty bo jak pisałem wcześniej nie mam natury roszczeniowca. Bezpośrednio po reaktywowaniu spowodowałem zorganizowanie zjazdu ogólnokrajowego dla poszczególnych organizacji stąd pod koniec 1989 r lub na początku 1990 odbył się Zjazd na którym ogłosiłem że odchodzę z firmy i podpowiedziałem szefa na stołek krajowy na tym moje role polityczne zakończyły się całkowicie.

Praktycznie przez cały okres pracy w CSHZ zajmowałem to samo stanowisko zawodowe, miałem na nim swoje sukcesy i przegrane nie mniej generalnie praca była ciekawa i dawała satysfakcję zawodową.

Zupełnie inna była kariera Mamy w tej instytucji bo zaczynała jako urzędnik niższego rzędu a stopniowo zmieniała stołki na coraz wyższe i zakończyła karierę idąc na emeryturę jako kierownik odpowiadający za hodowlę świń w Polsce. Wyżej można było być tylko szefem działu w Ministerstwie lub nawet wice ministrem.

W okresie mojej pracy w CSHZ miałem sporo wyjazdów zagranicznych tak z delegacjami z ministerstwa jak i po prostu zarobkowych jako konwojent ze zwierzętami do Grecji, Austrii czy Jugosławii nie lubiłem tych zarobkowych wyjazdów choć były to ciekawe przygody ale ilości alkoholu które wlewało się w siebie przekraczały zdecydowanie moje możliwości. Różnica w cenie dolarów była tak atrakcyjna że przykładowo dwa wyjazdy tygodniowe (oficjalne diety) plus sto dolarów spowodowały że bez problemu zapłaciłem za nowego Malucha.(Fiata)

W czasie wyjazdów służbowych poznałem we Francji przedstawiciela firmy Biret, firmy zajmującej się importem zwierząt z krajów demokracji ludowej i widać spodobałem mu się bo w 1990 r zaproponował mi abym został przedstawicielem tej firmy na Polskę.

Robota była nieprawdopodobnie ciężka i bardzo jej nie lubiłem bo musiałem zbijać cenę kupowanych zwierząt od polskich przedsiębiorców ale pensja podstawowa była trzykrotnie wyższa jak w CSHZ a jeszcze apanaże w postaci samochodu , pełnego pokrycia kosztów w podróżach itp. Inna sprawa że często 20 godz za kierownicą wożenie z sobą olbrzymich ilości pieniędzy przeznaczonych na zakup cieląt i nerwy czy uda zgromadzić się cały TIR cieląt - 300 szt a samochód nie mógł z Polski wyjechać tylko z częścią. Dodatkowo nerwy czy na granicę dotrą wszystkie zezwolenia aby transport przekroczył granicę bez problemów.

Dlatego po dwóch latach jak firma (okazało się że w pół roku po tym zbankrutowała na skutek rozliczeń z Irakiem) nie zgodziła się na dużą podwyżkę dla mnie odszedłem bez żalu do Agencji Nieruchomości Rolnych.

Z okresu pracy u Bireta utkwily mi w pamięci dwa fakty pierwszy to telefon od Marty, że mieszkanie zostało okradzione, potem jej opowiadanie o kontakcie ze złodziejami, choć szczęśliwie po wejściu do domu zobaczyła co się święci i bardzo mądrze zamknęła drzwi na klucz więc powtórne przyjście złodziei widziała przez wizjer a oni nie odważyli drzwi drugi raz otwierać.

Fakt drugi to już czysta polityka z 1992 r w czasie jednej trasy zakupowej po Polsce a byłem na niej z Francuzem wybuchł w Moskwie bunt Janajewa który szczęśliwie poskromił Jelcyn ale cały dzień ważyło się jak to się skończy obaj z Francuzem bardzo mieliśmy ponure miny on miał stracha czy będzie mógł spokojnie odlecieć do Francji a ja czy przypadkiem czasy „ Breżniewa” nie wrócą.

Jako ciekawostkę i charakterystykę czasów które przyszło nam przeżyć może być uzupełnienie życiorysu Lechosława Goździka trybuna wydarzeń 1956 r

Na początku lat 2000 wpadł mi w ręce wywiad z nim otóż jak Gomułka zdjął go w cztery miesiące po październiku z sekretarza PZPR w FSO, Goździk zrozumiał że to nie przelewki i musi zniknąć, był dla Gomułki zbyt dużym zagrożeniem. Zabrał swoją walizkę z hotelu robotniczego gdzie mieszkał poszedł na dworzec Główny i poprosił o bilet do najdalej położonego od Warszawy miasta, kasjerka dała mu bilet do Świnoujścia. Tam zatrudnił się jako robotnik w jakimś przedsiębiorstwie rybackim. Nikomu nie przyznał się kim jest nawet żonie którą tam poznał, nie działał i nie wychylił się przy żadnych zawirowaniach historycznych. Przyznał się kim jest dopiero w połowie lat dziewięćdziesiątych. W tym czasie był już właścicielem kutra rybackiego. Był bardzo szanowanym radnym i działaczem samorządowym- już nie żyje.

Ciekawostką może być to że SB miało go ciągle przez te lata na oku bo jak odchodził na emeryturę Dyrektor powiedział mu że ile razy opiekun polityczny przychodził do firmy całymi latami zadawał między innymi pytanie a co robi Goździk a tego zainteresowania dyrektor nie mógł zrozumieć (bo przecież nie wiedział kto to naprawdę Goździk). Tak więc SB miała bardzo dobry słuch i pamięć. Czy ten życiorys można nazwać życiorysem konformisty może raczej racjonalisty i chyba takie konformistyczne nastawienie cechowało większość społeczeństwa w tym i nas samych.

Patrząc na obecne próby rozliczeń prawdą jest że działanie IPN nie ma żadnego większego sensu bo większość materiałów SB została zniszczona celowo w latach 89,90 i nawet 91 to co zostało to smętne mało istotne resztki, archiwa te na pewno nie dają rzeczywistego obrazu działań SB szkód, deprawacji i łamania charakterów. A co jeszcze smutniejsze rozlicza się dziś ludzie którzy w jakiś sposób mniejszy lub większy załamali się a tych co łamali charaktery i deprawowali charaktery nikt nie rozlicza to jest po prostu niesmaczne

Szczęśliwie ani ja ani Marysia z tymi panami z SB w dorosłym życiu nie mieliśmy żadnych spotkań

Tak szczęśliwie dojrzałem do prawie końca 1992 r a to już czasy które cała nasza trójka bardzo dobrze pamięta i ma swoje wrażenia, mogę więc spokojnie całe to pisanie zakończyć.

Wracając wspomnieniami do przeżytych lat mogę z całą pewnością powiedzieć czy napisać, że o charakterze rodziny, jej sukcesach, wychowaniu dzieci, uświadomieniu im cech porządnego człowieka decydowała w głównej mierze Mama stąd też choć w tekście mało informacji o działaniach Waszej Mamy (zawsze przeprowadzała to co chciała i robiła to bezkonfliktowo) to ona jest głównym sprawcą tego czym jesteście i chwala jej za to.

Czy mogliśmy w życiu razem z Marysią więcej osiągnąć nie nam oceniać, nie mniej z całej naszej trójki jesteście bardzo dumni a to że widzimy że potraficie się z sobą dogadywać i jakoś siebie potrzebujecie sprawia nam mnóstwo satysfakcji. Wnuki też są wspaniałe więc ze spokojem te moje zapisy mogę zakończyć a jeżeli któryś z was dla swoich dzieci coś napisze będzie to potwierdzało celowość tych zapisów...